

Lauren DeStefano

ATROFIA

Wither

Przełożyła
Magdalena Rychlik



Mojemu tacie,
który powtarzał, że pewnego dnia
dokonam wielkich rzeczy.

*I tak się właśnie kończy świat
Nie hukiem ale skoleniem.*

Thomas Stearns Eliot „Wydrążeni Ludzie”
W przekładzie Czesława Miłosza

1

Czekam. Przetrzymują nas w całkowitej ciemności, nie wiemy już, czy mamy otwarte, czy zamknięte powieki. Śpimy stłoczone w gromadkę, jak szczury, kiwamy się na boki, a może tylko nam się śni.

Jakaś dziewczyna wyczuwa ścianę, wali w nią i wrzeszczy. Rozlega się metalowy pogłos. Żadna nie przyłącza się do wołania o pomoc, zbyt długo milczaliśmy, zagłębiamy się tylko jeszcze bardziej w ciemność.

Ktoś otwiera drzwi.

Światło budzi w nas grozę. Jesteśmy jak niemowlęta zerkające na świat przez kanał rodny, a może to światło na końcu tunelu, które widzi się po śmierci. Cofam się, przerażona zarówno wizją końca, jak i początku.

Wychodzimy z pomieszczenia, potykając się o własne nogi, zapomnieliśmy, jak ich używać. Ile czasu minęło? Dni? Tygodnie? Niebo nie zmieniło się ani trochę, nad naszymi głowami rozciąga się nieskończone, jasne i nieruchome.

Mężczyźni w szarych fartuchach ustawiają nas w szereg i przypatrują się nam uważnie.

Słyszałam, że takie rzeczy się zdarzają. Tam, skąd pochodzę, dziewczyny znikają bez śladu od dawna. Z własnych łóżek i z ulicy. Tak było z moją sąsiadką. Cała rodzina wyjechała wkrótce po jej zaginięciu. Wszczęli poszukiwania albo się poddali, wiedząc, że nigdy nie wróci.

Nadeszła moja kolej. Wiem, że młode kobiety znikają, ale nie mam pojęcia co dalej. Zamordują mnie, uznając za nieprzydatną? Sprzedadzą do domu publicznego? Jedno i drugie prawdopodobne. Istnieje jeszcze jedna możliwość. Mogę zostać wydana za męża. Widziałam w telewizji wystraszone i śliczne nastoletnie panny młode oddawane zamożnym mężczyznom, będącym prawie u kresu swojego życia w wieku lat dwudziestu pięciu.

Nie wszystkim dziewczynom udaje się dostać do telewizji. Te, które nie przechodzą wstępnej selekcji, wysyła się do burdeli w czerwonych dzielnicach. Inne się znajduje gnijące na poboczach dróg, bo Kolekcjonerzy nie zadają sobie nawet trudu zlikwidowania ciał. Niektóre przepadają na zawsze, rodziny nigdy nie poznają ich losu.

Znikają, mając około trzynastu lat, tuż po pierwszej miesiączce. Wirus zabija wszystkie kobiety z naszego pokolenia, nim przekroczą dwudziesty rok życia.

Mierzą nam szerokość bioder i oceniają stan zdrowia po użębieniu. Jakaś dziewczyna

wymiotuje. Pewnie ta, która krzyczała. Czym prędzej ociera usta wierzchem dłoni, trzęsie się z przerażenia. Stoję sztywno, boję się wychylić z pomocą, za wszelką cenę staram się pozostawać anonimowa, niewidoczna.

Czuję się przepelniona witalnością w porównaniu z innymi dziewczętami, które wyglądają, jakby konały. Z trudem utrzymują półotwarte powieki, ich serca ledwie biją. Moje serce pozostało silne, mocno uderza. Po niekończącej się podróży w ciemnym wnętrzu ciężarówki stałyśmy się jednym bezimiennym organizmem dzielącym to samo piekło. Nie chcę się wyróżniać.

Nie ma to już najmniejszego znaczenia, zostałam zauważona. Jakiś mężczyzna spaceruje przed nami, obserwuje, jak jesteśmy badane i poszturchiwane przez tych w szarych fartuchach. Wydaje się zamyślony i zadowolony.

Jego zielone oczy spoglądają prosto w moje. Błysk złota w uśmiechu świadczy o statusie i bogactwie. To niezwykle, sprawia wrażenie zbyt młodego, żeby tracić zęby. Nie przerywa spaceru, a ja wpatruję się w swoje buty. Ależ jestem głupia! Niepotrzebnie podniosłam wzrok. Przecież wszyscy zwracają uwagę na niespotykany kolor moich oczu.

Mężczyzna mówi coś do ludzi w szarych fartuchach, ci przyglądają się przez chwilę naszej grupie, kiwają głowami. Człowiek ze złotymi zębami znów się uśmiecha, patrząc w moją stronę, a następnie zostaje odprowadzony do samochodu, który rusza, wzbijając tuman kurzu.

Wymiotująca dziewczyna i dwanaście innych dostają rozkaz powrotu do ciężarówki, jeden z mężczyzn idzie razem z nimi. Zostajemy tylko trzy. Kolekcjonerzy wymieniają ze sobą parę słów, a potem zwracają się do nas:

- Idźcie.

Spełniamy polecenie, domyśliwszy się, że chodzi o limuzynę zaparkowaną w pobliżu. Jesteśmy na bocznej drodze nieopodal autostrady. Z oddali dochodzą odgłosy ruchu ulicznego, w purpurowej mgle mającej światła wielkiego miasta. Nie rozpoznaję okolicy, tam gdzie mieszkam, trudno byłoby znaleźć tak opuszczoną ulicę.

Idziemy. Wchodzę do limuzyny ostatnia. Od kierowcy oddziela nas przyciemniona szyba. Zanim zamykają się drzwi, słyszę odgłos pierwszego z dwunastu wystrzałów.

Budzę się w satynowej pościeli, roztrzęsiona i złana potem. Przesuwam się do brzegu łóżka, wymiotuję na czerwony dywan. Krztuszę się i pluję, a ktoś już zaczyna sprzątać.

- Każdy inaczej reaguje na gaz usypiający - odzywa się łagodnie.

- Gaz usypiający? - Mężczyzna podaje mi czerwoną chusteczkę, powstrzymując przed

wytarciem ust koronkowym rękawem.

- Rozpyła się go w limuzynie. Żebyście nie wiedziały, dokąd jedziecie.

Przypominam sobie, że oddzielała nas od kierowcy szyba; mgliście kojarzę dziwny świst towarzyszący pompowaniu powietrza z klimatyzacji.

- Jakaś dziewczyna - chłopak spryskuje dywan białą pianką - chciała wyskoczyć przez okno, była zdezorientowana. Oczywiście okna są pozamykane i niemożliwe do rozbicia. - Mówi straszne rzeczy cichym i spokojnym, wręcz przyjaznym, tonem.

Zerkam ukradkiem na szczelnie zamknięte okno. Świat za szybą jest barwny, zielono-niebieski, z okien mojego domu widać jedynie szarości oraz resztki matczynego ogrodu, którego nie udało mi się ożywić.

Z korytarza dobiega kobiecy krzyk. Chłopak nieruchomieje na moment, po czym wraca do szorowania dywanu.

- Może pomóc? - proponuję. Znalazłam się tutaj wbrew woli i teoretycznie nie odpowiadam za bałagan. Myślę sobie, że chłopak jest za młody, by być Kolekcjonerem, i prawdopodobnie bogu ducha winien. Niewykluczone, że sam został uprowadzony. Nie słyszałam o uprowadzaniu chłopców, ale może coś się zmieniło. Przed pięćdziesięcioma laty, zanim pojawił się wirus, także dziewcząt nikt nie porywał. Nikogo nie porywano.

- Dzięki. Skończyłem.

Rzeczywiście po plamie nie został nawet ślad. Otwiera zsyp w ścianie i wrzuca do niego dywan, a pojemnik z odplamiaczem chowa do kieszeni fartucha. Wraca do przerwanej czynności, podnosi z podłogi srebrną tacę i stawia ją na stoliku.

- Przyniosłem ci lunch, zjedz trochę, jeśli dasz radę. Nic nie dodali do jedzenia, słowo. - Uśmiecha się oczami, ale na jego twarzy maluje się koncentracja, odkrywa wazę z parującą zupą i zdejmuje pokrywkę z małego talerza, na którym są warzywa i ziemniaki z sosem. Zostałam porwana, naszprycowana narkotykami, uwięziona, a teraz serwują mi wykwinny posiłek. Znów zbiera mi się na wymioty.

- Co się stało z dziewczyną, która próbowała wyskoczyć przez okno? - Nie śmiem dopytywać o krzyki w holu, nie chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

- Trochę się uspokoiła.

- A co z tą drugą?

- Obudziła się dziś rano. Zdaje się, że Zarządca Domu zabrał ją na spacer po ogrodzie.

Zarządca Domu. Opadam z rezygnacją na poduszki. Zarządcy Domów mieszkają w ogromnych posiadłościach i kupują dziewczyny od Kolekcjonerów patrolujących ulice w

poszukiwaniu idealnych kandydatek na żony. Kolekcjonerzy, jeśli zachowali jeszcze resztki ludzkich uczuć, sprzedają odrzucone dzieci do domów publicznych, ale ci, którzy mnie porwali, woleli je zastrzelić. Słyszałam pierwszy strzał i wciąż pojawiały się w narkotykowych koszmarach.

- Długo tu jestem?

- Od dwóch dni. - Chłopak podaje mi kubek z gorącą herbatą.

Przyjmuję ją, chociaż z oporem. Herbata kojarzy mi się z domem, mama podawała ją codziennie rano i wieczorem mnie i bratu Rowanowi. Nuciała, przygotowując ją.

Siadam prosto, biorę kubek, wdycham przyjemny aromat. Jestem bliska łez. Powoli dociera do mnie groza sytuacji, chłopak cicho zamyka drzwi, zostawiając mnie sam na sam z czarnymi myślami. Zanurzam twarz w miękkiej poduszce i wydaję z siebie przeraźliwy zwierzęcy skowyt. Nie miałam pojęcia, że człowiek potrafi wydawać z siebie takie odgłosy i czuć taką pierwotną furję.

Mężczyźni umierają przed dwudziestym piątym rokiem życia, kobiety rzadko dożywają dwudziestych urodzin.

Siedemdziesiąt lat temu naukowcy opanowali do perfekcji sztukę planowania narodzin. Wynaleziono lekarstwo na straszną chorobę zwaną rakiem, która atakowała różne partie organizmu, przyczyniając się do śmierci miliardów ludzi. Szczepionki aplikowane niemowlętom zlikwidowały alergię, przeziębienia, choroby zakaźne, zabezpieczały nawet przed wirusami przenoszonymi drogą płciową. Dzieci poczęte naturalnie uznano za niedoskonałe w porównaniu z tymi z próbowki. Produkowano embriony bez najmniejszych obciążeń genetycznych, miały one stworzyć nowe pokolenie idealnych ludzi. Spora część tego pokolenia nadal żyje, starzeje się z wdziękiem. Nieustraszone pierwsze pokolenie, niemal nieśmiertelne.

Nikt nie przewidział potwornych konsekwencji. Choć pierwsze pokolenie miewa się doskonale, coś jest nie tak z kolejnymi. Potomkowie perfekcyjnych ludzi, do których i ja się zaliczam, rodzą się zdrowi i silni, zdrowsi nawet od rodziców, lecz ich życie kończy się raptownie po dwudziestu, dwudziestu kilku latach. Od pięćdziesięciu lat świat żyje w nieustannej panice, doświadczając masowej śmierci dzieci. Rodziny, które mają pieniądze, nie cofają się przed niczym, rozpaczliwie usiłując zapewnić ciągłość rodu. Pojawiło się zapotrzebowanie na Kolekcjonerów, ludzi trudniących się wyszukiwaniem potencjalnych matek. Pomyślałam na przeżycie jest eksperymentowanie z naturalnym rozrodem. O wszystkim dowiedziałam się od brata, opowiadał o tym z odrazą. Był czas, kiedy uparcie poszukiwał informacji na temat dziesiątkującego nas wirusa, zadawał rodzicom pytania, na które nie potrafili odpowiedzieć. Śmierć rodziców zupełnie go załamała i pozbawiła nadziei. Mój brat marzyciel, kiedyś z głową pełną planów na zbawienie świata, dziś śmieje się cynicznie z każdego, kto jeszcze nie stracił wiary w cuda.

Ani on, ani ja nigdy nie zdołaliśmy dotrzeć do informacji, co dokładnie dzieje się z dziewczynami po porwaniu.

Cóż, niedługo będę mogła sprawdzić to na własnej skórze.

Godzinami przemierzam pokój ubrana tylko w koronkową koszulę nocną. Jestumeblowany i wyposażony tak, jakby przygotowano go na moje przybycie. Znajduję wbudowaną w ścianę garderobę pełną ubrań w moim rozmiarze. Patrzą w górę, ale nie ma

klapy będącej wejściem na strych. Komoda z lakierowanego ciemnego drewna stanowi komplet z toaletką i otomaną, na ścianie wiszą dwa obrazy: zachód słońca i piknik na plaży. Tapeta we wzorek z pionowych różanych pnączy kojarzy mi się z więziennymi kratami. Omijam wzrokiem lustro, chyba popadłabym w obłąd, widząc siebie w tym miejscu.

Na próżno próbuję otworzyć zablokowane okno z widokiem na ogród. Słońce chyli się ku zachodowi, niebo przybrało różową barwę. Patrzę na tysiące kwiatów i pluskające wesoło fontanny. Równo skoszona trawa mieni się pasami różnych odcieni zielonego. Żywopłot oddziela pozostałą część ogrodu od nienaturalnie lazurowego basenu. Botaniczny raj, o jakim pewnie marzyła mama, sadząc lilie w naszym ogródku. Wyglądały pięknie na przekór wszechobecnej szarości. Po śmierci mamy w sąsiedztwie przestały rosnąć kwiaty. Można kupić przywiedle goździki farbowane na czerwono i różowo z okazji walentynek albo czerwone róże, które wyglądają jak zrobione z gumy. Podobnie jak ludzie, są chemiczną namiastką swoich pierwowzorów.

Słyszałam, że jedną z dziewcząt wyprowadzono na spacer. Zastanawiam się, czy Zarządca okaże się wspaniałomyślny i pozwoli nam na samodzielne wyjście do ogrodu. Musi mieć albo mniej niż dwadzieścia pięć lat, albo zbliżać się do siedemdziesięciu. Zdarzają się bowiem wśród zarządców, choć rzadko, przedstawiciele pierwszego pokolenia. Większość starszych zbyt dużo doświadczyła, żeby eksperymentować na własnych potomkach. Biorą udział w agresywnych demonstracjach przeciwko tego rodzaju praktykom.

Rowan już o wszystkim wie; nie wróciłam z pracy od trzech dni. Musi być zrozpaczony, nieraz ostrzegał mnie przed szarymi ciężarówkami sunącymi ulicami. Nie zostałam wciągnięta do żadnej, atak nadszedł z zupełnie niespodziewanej strony.

Wyobrażam sobie brata samego w pustym domu i od razu przestaję się nad sobą użalać. To nic nie da, muszę zachować jasność myślenia. Zawsze jest jakieś wyjście. Okno zostało solidnie zabezpieczone, w garderobie nie znalazłam przejścia na strych, zsymp ma zaledwie kilka centymetrów szerokości. Pozostaje tylko nadzieja na zdobycie sympatii Zarządcy, może pozwoli mi na swobodny spacer po ogromnym ogrodzie. Spróbuję dotrzeć do końca i znaleźć przejście w żywopłocie lub wspiąć się po ogrodzeniu. A jeśli wybiorą mnie do ceremonii transmitowanej w telewizji, może uda mi się niepostrzeżenie wmieszać w tłum. Dziwne, że dziewczyny nie próbują uciekać. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie ma jakiegoś niewidocznego dla kamer systemu bezpieczeństwa.

Ale tego chyba nigdy się nie dowiem. Musiałabym zostać wybrana i dożyć ceremonii. Zdobycie zaufania Zarządcy to zadanie na lata. Za cztery będą moje dwudzieste urodziny, a

potem śmierć.

Chwytam za klamkę i ku mojemu zdumieniu drzwi są otwarte. Wyglądam na korytarz.

Słychać tykanie zegara, wszystkie drzwi oprócz moich są pozamykane na zasuwę.

Skradam się powoli, bosymi stopami sunę bezszelestnie po zielonym chodniku. Nasłuchuję jakichkolwiek oznak życia. Drzwi pokoju na końcu korytarza są niedomknięte, dobiegają stamtąd jęki i westchnienia.

Zatrzymuję się w pół kroku. Czekają mnie kłopoty, jeżeli przeszkodzę gospodarzowi w próbie zapłodnienia którejś żony. Może kazałby mnie rozstrzelać, a może chciałby, żebym się przyłączyła. Jedno gorsze od drugiego.

Po chwili uświadamiam sobie, że dziewczyna jest sama, jękom nie towarzyszy męski głos. Ostrożnie zaglądam przez szczelinę, potem otwieram drzwi.

- Kto tu jest? - szepcze kobieta. Dostaje ataku kaszlu.

Leży sama w atlasowej pościeli. Jej pokój jest ładniejszy i przytulniejszy od mojego, w niczym nie przypomina więzienia, na ścianach wiszą zdjęcia dzieci, okno jest otwarte, wiatr wydyma zasłony.

Na szafce obok łóżka piętrzą się leki: tabletki, krople, syropy. Dziewczyna unosi się na łokciach i wlepia we mnie zaskoczone spojrzenie. Ma podobne do moich jasne włosy, niezdrowy odcień skóry i dzikie oczy.

- Kim jesteś?

- Mam na imię Rhine - odpowiadam cicho, zbyt przejęta, żeby kłamać.

- Prześliczne miejsce - mówi. - Widziałaś fotografie?

Chyba majaczy, myślę, nie wiem, o co jej chodzi.

- Nie.

- Nie przyniosłaś mi lekarstwa. - Wzdycha i opada z wdziękiem na poduszki.

- Przynieść? - Nie mam już wątpliwości, że majaczy. Skorzystam z pretekstu do wyjścia, mając nadzieję, że nie zapamięta mojej wizyty.

- Zostań. - Poklepuje brzeg łóżka. - Mam dość faszeringowania się lekami. Chciałabym już umrzeć.

Tak ma wyglądać moja przyszłość, kobiety zamężnej? Znalazłam się w pułapce, z której trudno uciec nawet w śmierć?

Siadam w miejscu, które wskazała. Przytłacza mnie zapach lekarstw, rozkładu i czegoś przyjemnego. To potpourri: suszone perfumowane płatki kwiatów. Jest wszechobecny, przywołuje wspomnienia o domu.

- Kłamczucha - odzywa się kobieta. - Wcale nie przyszedłeś, żeby mi przynieść lekarstwo.

- Nie powiedziałam tego.

- Kim jesteś? - Dotyka drżącą dłonią moich włosów. Przygląda się uważnie jasnemu puklowi, a w jej oczach dostrzegam ból. - Ach tak. Moja następczyni. Ile masz lat?

- Szesnaście. - To zgodne z prawdą. Następczyni? Czyżbym miała przed sobą którąś z żon gospodarza?

Nie spuszcza ze mnie wzroku, cierpienie widoczne na twarzy ustępuje miejsca zatroskaniu.

- Nie podoba ci się tu? - Jej ton i spojrzenie mają w sobie coś macierzyńskiego.

- Nie.

- W takim razie powinnaś zobaczyć werandę. - Uśmiecha się i przymyka oczy. Ręka dotykająca moich włosów opada bezwładnie na kołdrę.

Dziewczyna zaczyna kasłać, bryzga krwią, plami moją koszulę nocną. Prześladowają mnie koszmary senne: wchodzę do pokoju, gdzie zostali zamordowani rodzice. Patrę na ich ciała leżące w kałuży świeżej krwi i nie mogę się ruszyć, zamieram na zawsze ze strachu na progu tego pokoju. Podobnie czuję się teraz. Pragnę uciec, znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tu, ale nie jestem w stanie zmusić ciała do ruchu. Przyglądam się tylko jej walce z atakiem kaszlu i powiększającej się czerwonej plamie na swojej koszuli. Ciepło jej krwi czuję także na twarzy i rękach.

Nie mam pojęcia, ile czasu to trwa. Do sypialni wbiega starsza kobieta z pierwszego pokolenia, niosąc metalową miskę wypełnioną wodą z mydlinami.

- Pani Rose, dlaczego nie wezwała mnie pani na pomoc? - pyta.

Czmycham do drzwi, staruszka nie zwraca na mnie uwagi. Pomaga chorej usiąść, zdejmuje jej koszulę i przemywa ciało mokrą gąbką.

- W tej wodzie jest lek - jęczy dziewczyna. - Wyczuwam jego zapach. Wszędzie leki. Pozwólcie mi już wreszcie umrzeć.

Jej głos i słowa przekazują takie cierpienie, że mimo swoich problemów odczuwam współczucie.

- Co ty robisz? - Słyszę za plecami ochryply nerwowy szept. To chłopak, który wcześniej przyniósł mi posiłek. - Jak wyszedłeś z pokoju? Wracaj tam natychmiast! Ale już! - W moich koszmarnych snach zawsze brakowało osoby, która zmusiłaby mnie do działania. Jestem mu wdzięczna. Gdy biegnę w stronę otwartych drzwi sypialni, ktoś staje na mojej drodze i wpadam w jego ramiona.

Rozpoznaję mężczyznę o złotym uśmiechu.

- Witaj - mówi.

Nie wiem, czy uśmiecha się przyjaźnie czy złowroźnie. Po chwili dostrzega krew na mojej twarzy i ubraniu. Wbiega do sypialni zanoszącej się kaszlem kobiety.

Wracam do swojego pokoju, zdieram z siebie koszulę, ocieram krew, chowam się pod kołdrą i zakrywam uszy dłońmi. Nie chcę słyszeć jej potwornego kaszlu. Nie chcę być w tym strasznym miejscu.

Tym razem obudził mnie odgłos otwieranych drzwi. Chłopak przyniósł kolejny posiłek.

- Kolacja - mówi oschle. Stawia srebrną tacę na stoliku, unikając mojego spojrzenia.

Podnosi z podłogi koszulę z plamami krwi i wrzuca do zsypu. Podchodzi do drzwi.

- Zaczekaj - proszę.

Zatrzymuje się zwrócony do mnie plecami.

Lubię jego towarzystwo. Być może dlatego, że jest prawie moim rówieśnikiem, nie narzuca się i sprawia wrażenie pogodzonego z losem.

- Kim jest ta kobieta? - rozpaczliwie usiłuję go zatrzymać choćby na parę minut.

- To Rose. Pierwsza żona gospodarza. - Każdy Zarządca wyznacza swoją pierwszą żonę, numer nie oznacza kolejności zaślubin, lecz zakres władzy. Pierwsze żony towarzyszą mężom na przyjęciach, pojawiają się publicznie u ich boku oraz korzystają z innych przywilejów (takich jak otwarte okno). Są faworyzowane.

- Co jej jest?

- Ma wirusa. - Odwraca się i patrzy na mnie z niekłamanym zdziwieniem. - Nigdy nie widziałaś nikogo chorego?

- Nie z bliska.

- Nawet własnych rodziców?

- Nawet. - Moi rodzice pochodzili z pierwszego pokolenia, mieli około pięćdziesięciu lat, kiedy urodziliśmy się ja i mój brat. Nie jestem pewna, czy powinnam mu to tłumaczyć. - Staram się z całych sił nie myśleć o chorobie.

- Zupełnie jak ja. Rose pytała o ciebie, kiedy wyszłaś. Masz na imię Rhine?

Przygląda mi się uważnie. Kiwam głową, okrywając się szczelniej kołdrą, zaczyna mi nagle przeszkadzać, że jestem pod nią zupełnie naga.

- A ty? - pytam.

- Gabriel. - Znów widzę w kącikach jego ust ten prawie uśmiech stłumiony przez

straszliwe okoliczności. Chciałabym się dowiedzieć, co robi w tym okropnym miejscu otoczonym piękną roślinnością i basenami z błękitną wodą, skąd pochodzi i czy pragnie tam wrócić. Gdybym miała plan ucieczki, czułabym pokusę podzielenia się nim z Gabrielem. To niebezpieczne myśli. Mój brat doradziłby mi, żebym nie ufała nikomu. Miałby rację.

- Dobranoc - rzuca Gabriel. - Zjedz coś i wyśpij się dobrze. Jutro ważny dzień. - Zabrzmiało jak ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

Odchodzi lekko utykając, wcześniej poruszał się sprawnie. Pod białą przezroczystą tkaniną uniformu dostrzegam siniec. To z mojego powodu? Został ukarany dlatego, że wyszłam z pokoju? Mam wiele pytań, których nie zadaję.

Gabriel wychodzi i zamyka drzwi na zasuwę.

Następnego dnia rano odwiedzają mnie trzy kobiety. Są z pierwszego pokolenia, lecz świadczą o tym jedynie ich siwe włosy, gdyż oczy promienieją młodością. Gawędzą między sobą, ściągając ze mnie kołdrę.

Jedna komentuje moją nagość:

- Dobrze, że przynajmniej tej nie będziemy musiały rozbierać siłą.

Przynajmniej tej. Zapomniałam o dwóch dziewczynach uwięzionych w tym domu.

Kobiety wyciągają mnie z łóżka i wloką do łazienki.

- Lepiej się nie szarp - odzywa się radosnym tonem ta druga.

Potykam się, usiłując za nimi nadążyć. Trzecia kobieta zostaje, żeby pościelić łóżko.

Sadzają mnie na obitej różowym futerkiem desce klozetowej. Wszystko tu jest różowe, fikuśne i niepraktyczne.

W domu zasłaniałiśmy okna brudnymi szmatami, aby podkreślić wrażenie ubóstwa i nie kusić sierot szukających schronienia albo datków.

Dom rodzinny, który dzieliłam z bratem, ma trzy sypialnie, lecz noce spędzaliśmy na materacu w piwnicy, drzemiąc na zmiany. Jedna osoba pełniła wartę ze starą wiatrówką ojca, na wypadek gdyby któryś zamek nie wytrzymał.

Tam, skąd pochodzę, ładne rzeczy należy ukrywać, a nie wystawiać na pokaz.

Bardzo tu kolorowo. Jedna kobieta przygotowuje kąpiel, podczas gdy druga otwiera szafkę pełną mydeł we wszystkich barwach tęczy i o przeróżnych kształtach, są gwiazdki, serduszka i tym podobne. Wrzuca parę kostek do wody, pienią się i rozpuszczają, zostaje po nich puszysta niebiesko-różowa pianka, bąbelki pękają jak miniaturowe fajerwerki.

Bez oporu wchodzę do wanny. Trochę się wstydzę swojej nagości, lecz kąpiel wygląda i pachnie zachęcająco. W niczym nie przypomina żółtawej cieczy, jaka ciekła z kranu w domu, który dzieliłam z bratem.

Dzieliłam. Dlaczego pozwalałam sobie na myślenie w czasie przeszłym?

Napawam się aromatem wody, bąbelki pękają na mojej skórze, uwalniając woń cynamonu, potpourri i najprawdziwszych róż. Nie pozwolę, aby małe cuda uspiły moją czujność. Przenoszę się wyobraźnią do domu, w którym urodziła się na początku wieku moja mama. Ściany z cegły pokrywa cień dawno zwiędłego bluszczu. Połamana drabina prowadzi do

wyjścia przeciwpożarowego. Budynki na naszej ulicy stoją obok siebie, tak blisko, że mała dziewczynka, jaką byłam, mogła przez okno swojego pokoju ucisnąć rączkę koleżanki mieszkającej po sąsiedzku. Przegadałyśmy ze śmiechem niezliczone godziny, przystawiając do uszu połączone sznurkiem papierowe kubki. Udawałyśmy, że to telefon.

Moja przyjaciółka z dzieciństwa wcześniej straciła rodziców, oboje pochodzili z zakażonego pokolenia. Matkę ledwie zdążyła poznać, ojciec zmarł kilka lat później. Pewnego dnia wyciągnęłam rękę, a jej już nie było.

Rozpaczałam po stracie pierwszej prawdziwej przyjaciółki. Często ją wspominam: jej jasnoniebieskie oczy, rozmowy, zabawy i dźwięk miętówek uderzających o szybę, kiedy chciała zwrócić moją uwagę. Po odejściu naszej małej sąsiadki mama popatrzyła na sznurek, który służył nam za kabel telefoniczny, i powiedziała, że to linka od latawca. Kiedy była dzieckiem, puszczała latawce w parku. Poprosiłam, żeby opowiedziała mi o tamtych czasach. Zgodziła się i wieczorami słuchałam historyjek o ogromnych sklepach z zabawkami, zamarzniętych jeziorach, gdzie mama wyczyniała akrobacje na łyżwach, o czasach, kiedy nasz dom był nowy i porośnięty zieloną winoroślą, pod oknami przechadzali się ludzie, a ulice Nowego Jorku przepelniały rzędy kolorowych błyszczących aut.

Po śmierci rodziców zasłoniliśmy okna jutowymi workami po ziemniakach i fasoli. Piękne rzeczy mamy i najlepsze ubrania taty pozamykaliśmy w kufrach. Resztę dobytku zakopaliśmy nocą w ogrodzie.

Oto moja historia. Przeszłość, którą zachowam na zawsze w sercu. Znajdę sposób, żeby tam wrócić.

- Ma ładne włosy - stwierdza kobieta, polewając mi głowę ciepłą wodą. - Śliczny kolor. Ciekawe, czy naturalny? - Oczywiście, że naturalny, myślę. A jaki miałby być?

- Założę się, że właśnie jej włosy przyciągnęły uwagę Zarządcy.

- Pokaż. - Druga kobieta unosi mój podbródek, by uważnie przyjrzeć się twarzy. Wzdycha z zaskoczeniem i nerwowo przyciska rękę do piersi. - Jej oczy, Helen!

Przerywają mycie i obie przyglądają mi się po raz pierwszy dokładnie.

Moje oczy zwracają uwagę. Lewe ma niebieski kolor, a prawe jest brązowe. Brat też ma takie oczy. Heterochromia iridium, powiedzieli nam rodzice, którzy byli genetykami. Gdyby nie umarli tak młodo, może dowiedziałabym się o tym czegoś więcej. Dotychczas sądziłam, że różnobarwność tęczówek to bezużyteczna genetyczna pomyłka, lecz jeśli właśnie ona przyciągnęła uwagę Zarządcy, zawdzięczam jej życie.

- Oczy chyba ma prawdziwe?

- A jakie miałabym mieć? - odpowiadam na głos, wzbudzając najpierw zdumienie, potem zachwyty. Lalka potrafi mówić. Zасыpują mnie lawiną pytań: skąd jestem, czy wiem, gdzie się znajduję, czyż widok z okien nie jest przepiękny, czy lubię konie - na terenie posiadłości znajduje się wspaniała stajnia - czy wolę włosy związane czy rozpuszczone?

Milczę. Nie mam zamiaru udzielać żadnych informacji nieznanym osobom związanym z tym miejscem. Nieważne, jakie mają intencje. Spada na mnie grad pytań, nawet gdybym chciała odpowiedzieć, byłoby mi trudno. Rozlega się ciche pukanie do drzwi.

- Szukujemy dziewczynę na spotkanie z Zarządcą - mówi któraś kobieta.

- Pani Rose chciałaby się z nią zobaczyć. - Stłumiony głos po drugiej stronie drzwi jest młody i delikatny.

- Jesteśmy w połowie kąpieli, a jej paznokcie...

- Bardzo przepraszam - tłumaczy cierpliwie osoba za drzwiami. - Mam polecenie przyprowadzenia jej natychmiast, niezależnie od stanu, w jakim się znajduje.

Pani Rose, jak widać, ma ostatnie słowo w tym domu. Bez dyskusji wycierają mnie szybko różowym ręcznikiem. Po wyszcotkowaniu mokrych włosów podają mi jedwabny szlafrok, który delikatnie pieści skórę. Cokolwiek dodano do kąpieli, sprawiło, że skóra stała się wrażliwsza na dotyk. Czuję się obnażona i bezbronna.

Posłańcem okazała się mała dziewczynka, dużo niższa ode mnie, ubrana tak samo jak starsze kobiety w białą bluzkę i czarną spódnicę. Gabriel nosi męską wersję takiego samego uniformu. Dziewczynka jest uczesana w koronę, uśmiecha się, ma dołeczki w policzkach.

- Ty jesteś Rhine?

Potwierdzam skinieniem głowy.

- Mam na imię Deirdre. - Podaje mi rękę. Miękką i chłodną w dotyku. - Tędy. - Idziemy przez korytarz, tą samą drogą, którą pokonałam poprzedniego dnia.

- Nie zadawaj pytań, nie lubi tego - poucza mnie z powagą, kiwa głową i patrzy przed siebie. - Najlepiej w ogóle się nie odzywaj nieproszona. Zwracaj się do niej: pani Rose. Jeżeli źle się czuje, naciśnij biały guzik nad nocną szafką. Ona tu rządzi. Gospodarz zrobi dla niej wszystko, dlatego lepiej nie wchodzić jej w drogę.

Zatrzymujemy się, Deirdre zawiązuje pasek mojego szlafroka w idealną kokardę, po czym puka w uchylone drzwi.

- Pani Rose? Przyprowadziłam dziewczynę, jak pani sobie życzyła.

- Wprowadź ją, na co czekasz? I idź sobie. Zajmij się czymś pożytecznym.

Deirdre ujmuje moją dłoń w obie ręce, jej oczy są okrągłe jak spodeczki.

- Błagam cię - szepcze. - Postaraj się omijać temat śmierci.

Po jej odejściu przestępuję próg pokoju Rose wypełniony zapachem znieawidzonych przez nią leków piętrzących się na nocnym stoliku.

Tym razem kobieta siedzi na satynowej otomanie pod oknem. Jej jasne włosy połyskują w słońcu, cera ma odrobinę żywszy odcień. Przywołuje mnie skinieniem ręki, a kiedy podchodzę bliżej, już wiem, że kolor na policzkach i ustach nie jest naturalny, zdrowszy wygląd nie świadczy o lepszym samopoczuciu Rose. Zasluga makijażu. Prawdziwe są jej orzechowe oczy; wpatruje się we mnie z niesamowitą intensywnością. Młode oczy. Wyobrażam sobie świat pełen naturalnych ludzi, świat z czasów, kiedy dwudziestoltnia osoba naprawdę była młoda, nie ciążył na niej wyrok nieuchronnej śmierci bez odroczenia.

Naturalni ludzie dożywali co najmniej osiemdziesięciu lat, mówiła mama. Czasem stu. Nie wierzyłam jej.

Teraz lepiej rozumiem, co miała na myśli. Rose jest pierwszą dwudziestolatką, z którą mam bliższy kontakt. Z trudem powstrzymuje kaszel, zasłania usta dłonią i ociera krew, ale skórę wciąż ma gładką, a twarz jest pełna życia. Nie wygląda na dużo starszą ode mnie.

- Siadaj - rzuca.

Przysuwam sobie krzesło.

Podłoga wokół zasypana jest papierkami po cukierkach; miska karmelków stoi obok na otomanie. Kiedy Rose się odzywa, widać, że ma niebieski język. Bawi się słodyczami, podnosi je do twarzy, jakby chciała pocałować, po czym odkłada do miski.

- Skąd jesteś? - W jej głosie nie ma już śladu zniecierpliwienia, okazanego Deirdre. Trzepocze gęstymi rzęsami, obserwując owada, który przelatuje obok niej, by po chwili zniknąć.

Wolałabym nie mówić, skąd pochodzę. Mam tu siedzieć i prowadzić uprzejmą pogawędkę? To niedorzeczne. Ona umiera, a ja mam urodzić jej mężowi dzieci wbrew swojej woli.

- A pani? - Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę ze swojej bezczelności. Zaraz zacznie wrzeszczeć, myślę, każe mnie wyprowadzić, ostatnie cztery lata życia spędzę w lochu.

- Urodziłam się w tym mieście - odpowiada spokojnie ku mojemu zaskoczeniu. Zdejmuje fotografię ze ściany i pokazuje mi.

Jest na niej promiennie uśmiechnięta dziewczynka trzymająca konia za uzdę. Oczy ma przymknięte z zachwyty. Za nią stoi dużo wyższy chłopiec z założonymi do tyłu rękami. Uśmiecha się nieśmiało, jakby mimowolnie.

- To ja - wyjaśnia Rose. Obrysowuje palcem sylwetkę swojego towarzysza. - I mój Linden. - Wpatruje się z czułością w chłopca na fotografii. - Wychowaliśmy się razem.

Nie mam pojęcia jak zareagować. Rose zatraciła się we własnych wspomnieniach, wydaje się wcale nieporuszona sytuacją. Żal mi jej. W innych czasach i okolicznościach nie potrzebowałyby następczyni.

- Widzisz? - Wciąż patrzy na zdjęcie. - To gaj pomarańczowy mojego ojca. Tutaj, na Florydzie. Mieliśmy całe hektary ziemi.

Floryda, myślę z rozpaczą. Jestem na Florydzie, na samym końcu Wschodniego Wybrzeża, tysiące kilometrów od domu. Tęsknię za ceglanym murem budynku, w którym mieszkam, za odległym pomrukiem pociągów. Jak odnaleźć drogę powrotną?

- Śliczne. - Zerkam na pomarańcze. Rzeczywiście tak uważam. Wszystko tu pięknie rozkwita. Nie do wiary, że pełna życia dziewczyna ze zdjęcia powoli kona na moich oczach.

- Prawda? Chociaż Linden woli kwiaty. Najbardziej lubi wiosnę, kiedy drzewka pomarańczowe okrywają się pąkami. Świętujemy wtedy. Zimą także urządzamy przyjęcie, i z okazji przesilenia. Ale on za nimi nie przepada. Mówi, że są zbyt krzykliwe.

Rozwija zielony cukierek i wkłada go do ust. Przymyka z lubością powieki. Każdy cukierek jest innego koloru, zielony pachnie miętą, kojarzy mi się z dzieciństwem. Przypominam sobie dziewczynkę, która wrzucała cukierki przez okno do mojej sypialni. Miętowy zapach wypełniał papierowy kubek wraz z moimi słowami i oddechem, kiedy rozmawialiśmy przez nasz telefon.

Język Rose przybrał szmaragdowy odcień.

- Świetnie tańczy. Nie rozumiem, czemu jest takim mrukiem.

Kładzie zdjęcie na otomanie wśród kolorowych papierków. Nie wiem, co myśleć o tej zmęczonej, smutnej kobiecie - drażliwej, sądząc po tym, jak potraktowała Deirdre - która traktuje mnie, jakbym była jej przyjaciółką. Chwilowo ciekawość przeważa nad urazą. Karmię się nadzieją, że być może w tym dziwacznym świecie pełnym luksusu i piękna znajdę także przejawy człowieczeństwa.

- Wiesz, ile lat ma Linden? - Kręcę głową. - Dwadzieścia jeden. Już jako dzieci postanowiliśmy się pobrać. On pewnie się ludził, że lekarstwa przedłużą mi życie o cztery lata i umrzemy razem. Jego ojciec należy do pierwszego pokolenia i jest wybitnym lekarzem. Pracuje w pocie czoła nad wynalezieniem antidotum. - Ostatnie zdanie wypowiada pobłażliwym tonem i kwituje machnięciem ręki. Nie wierzy w wyleczenie, lecz są tacy, którzy wierzą. W moich stronach do laboratoriów zgłaszają się tłumy sierot gotowych za kilka dolarów posłużyć

naukowcom za króliki doświadczalne. Dotychczas wysiłki lekarzy nie przyniosły pożądaných rezultatów, a dokładna analiza naszej puli genowej nie wykazała żadnych odstępstw od normy, które mogłyby wyjaśnić pojawienie się wirusa.

- Ale ty... - ciągnie Rose. - Szesnaście lat to idealny wiek. Będziecie mogli spędzić razem resztę życia i Linden nie zostanie sam.

Ogarnia mnie przeraźliwy chłód. Piękna zieleń i śpiew ptaków za oknem przestają mieć znaczenie. Przez chwilę niemal zapomniałam, po co tu jestem i jak się tu znalazłam. To piękne miejsce jest niebezpieczne jak cudowny biały trujący oleander. Bujny ogród ma za zadanie zatrzymać mnie w środku.

Linden porwał dziewczyny, żeby nie umierać w samotności. A co z moim bratem, który został sam w pustym domu? Co z innymi? Zastrzelono je z zimną krwią.

Gniew powraca, zaciskam pięści, pragnę, żeby mnie zabrano z tego pokoju, nawet jeśli to znaczy, że zostanę uwięziona w innej części domu. Nie wytrzymam ani minuty dłużej w towarzystwie Rose, w jej sypialni z otwartym oknem. Rose, która jeździła konno po gajach pomarańczowych. Ta kobieta chce przerwyc na mnie swój wyrok dożywotniego więzienia.

Moje życzenie niestety się spełnia.

- Przepraszam, pani Rose - mówi Deirdre. - Przyszedł doktor, żeby przygotować dziewczynę na spotkanie z panem Lindenem.

Idziemy do windy. Uruchomienie dźwigu wymaga użycia specjalnej karty. Moja przewodniczka sprawia wrażenie spiętej i zmartwionej.

- Poznasz dziś Mistrza Vaughna - szepcze. Jest bardzo blada, patrzy na mnie oczami przestraszonego dziecka. Współczuje mi? Boi się? Trudno powiedzieć. Ale kiedy wychodzimy z windy, odzyskuje pełną kontrolę nad sobą. Prowadzi mnie bez słowa mrocznym korytarzem przesyconym zapachem środków odkażających.

- Która to? - pyta jakiś mężczyzna, zanim Deirdre ma szansę dać mi jakiegolwiek wskazówki.

- Rhine, panie - odpowiada, nie podnosząc głowy.

- Szesnastolatka.

Ciekawe, czy mężczyzna to wspomniany Mistrz Vaughn, czy też mój przyszły narzeczony. Nawet nie zdążyłam na niego spojrzeć. Czuję ukłucie w ramię. Ogarniam przelotnie wzrokiem pomieszczenie bez okien, z łóżkiem zaopatrzonym w pasy do krępowania rąk i nóg.

W pokoju fruwią połyskliwe motyle. Pękają niczym dziwaczne bańki mydlane, rozpryskując wokół krew. Potem zapada ciemność.

4

Moja kolej na trzymanie warty. Pozamykaliśmy drzwi i okna, zabarykadowaliśmy się na noc w piwnicy. Mała lodówka pomrukuje w rogu, zegar odmierza czas cichym tykaniem, żarówka na kablu pod sufitem lekko się kołysze. Wydaje mi się, że w cieniu buszuje szczur poszukujący okruszków.

Rowan śpi na materacu, pochrapuje, co do niego niepodobne, zazwyczaj nie chrapie. Nie przeszkadza mi to. Dźwięki wydawane przez drugiego człowieka są pokrzepiające, przypominają mi, że nie jestem sama. W razie jakichkolwiek kłopotów mój brat bliźniak poderwie się na nogi w ułamku sekundy. Stanowimy niezły zespół. On dysponuje większą siłą i celnie strzela, ja jestem drobniejsza, szybsza, bywa, że bardziej spostrzegawcza.

Mieliśmy do czynienia tylko z jednym uzbrojonym złodziejem, trzy lata temu. Przeważnie zakradają się małe dzieci, wybijają szyby lub próbują wyłamać zamki. Odchodzą, gdy się okazuje, że w domu nie ma nic cennego ani jadalnego. To szkodniki, ale chętnie bym je nakarmiła, żeby sobie poszły. Mamy się czym dzielić. Jednak Rowan protestuje. Twierdzi, że jeśli nakarmimy jednego, będziemy musieli żywić coraz więcej dzieciaków, a na to nas nie stać. Od tego są sierocińce i laboratoria. A może pierwsze pokolenie wzięłoby się do sprzątanania bałaganu, którego narobiło?

Facet z bronią był dwa razy większy ode mnie i tyleż samo starszy. Udało mu się bezgłośnie wyłamać zamek w drzwiach wejściowych. Szybko zorientował się, że mieszkańcy schronili się gdzieś wraz z dobytkiem. Rowan pełnił wartę, lecz zmorzył go sen po całym dniu harówki. Podejmuje się dorywczej pracy, kiedy tylko może, zawsze jest ciężka, wieczorem wszystko go boli. Kiedyś amerykański przemysł zlecał większość prac tańszej sile roboczej z innych krajów. Dziś import nie istnieje, a zatem większość nowojorskich drapaczy chmur przekształcono w fabryki produkujące wszystko: od mrożonych dań po arkusze stali. Ja zwykle zajmuję się telemarketingiem, natomiast Rowanowi najłatwiej znaleźć zatrudnienie przy rozładunkach i dostawach, to wyczerpujące zajęcia, bardziej niż sam jest skłonny przyznać. Wypłatę dostajemy zawsze w gotówce, nigdy nie brakuje nam na jedzenie, a nawet udaje się nieco odłożyć na czarną godzinę. Sklepikarze cenią klientów z pieniędzmi, zmęczeni ciągłym przeganianiem namolnych dzieciaków. Dostajemy specjalne zniżki na niektóre produkty, czasem dodatkowe opakowanie aspiryny lub taśmy elektrycznej.

Tak więc oboje zapadliśmy w płytki sen. Obudziłam się z nożem na gardle, zobaczyłam nad sobą twarz nieznanego mężczyzny. Jęknęłam cicho, a mój brat natychmiast poderwał się i wycelował broń w napastnika.

Byłam zupełnie bezbronna, nie mogłam się ruszyć. Radziłam sobie jakoś z drobnymi złodziejaskami pozbawionymi morderczych instynktów. Oni tylko odgrazali się w nadziei, że wymuszają coś do jedzenia lub sprzedania. Zwykle uciekali, kiedy się ich przyłapało na gorącym uczynku. Walczyli jedynie o przetrwanie.

- Strzelaj - odezwał się mężczyzna. - A poderżnę jej gardło.

Coś huknęło jak pękające rury, po twarzy włamywacza pociekła strużka krwi. Na jego czole widniała czerwona dziura od kuli, ręka z nożem zwiotczała. Kopnęłam go, odsuwając od siebie, a wcześniej zabrałam broń. Oddychałam z trudem, oczy wychodziły mi z orbit. Mężczyzna był martwy. Rowan podszedł do niego, żeby się upewnić. Nie chciał na próżno tracić amunicji.

- Cholera - mruknął, kopiąc zwłoki. - Zasnąłem, żeby to szlag jasny trafił!

- Byłeś zmęczony - odparłam pocieszająco. - Wszystko w porządku. Poszedłby sobie, gdybyśmy go nakarmili.

- Nie bądź naiwna. - Rowan uniósł ramię nieboszczyka, zwracając mi uwagę na jego szary płaszcz - służbowy strój Kolekcjonerów. - On chciał... - zawiesił głos, nie potrafiąc dokończyć zdania. Drżał na całym ciele.

Aż do tamtej nocy sądziłam, iż Kolekcjonerzy porywają młode dziewczyny z ulic. Okazało się, że nie tylko. Czasem wypatrzą jakąś dziewczynkę i jeżeli ich zdaniem warta jest dużo pieniędzy, śledzą ją w oczekiwaniu na dogodny moment, żeby zabrać. Tak właśnie zdarzyło się tamtej nocy, Kolekcjoner przyszedł za mną do domu. Odtąd Rowan nie spuszczał mnie z oka. Oglądał się niespokojnie przez ramię, kiedy gdzieś razem wychodziliśmy, zaglądał podejrzliwie w każdy zaułek. Założyliśmy dodatkowe zamki w drzwiach i zastawiliśmy w kuchni pułapkę ze sznurków oraz pustych aluminiowych puszek, która ma nas zaalarmować, jeśli ktokolwiek przekroczy próg.

Rozległ się jakiś nowy dźwięk, chyba szczur buszuje na górze. Tylko gryzoń zdołałby ominąć nasz system alarmowy. Ktoś lub coś uderza w drzwi do piwnicy u szczytu schodów. Zasuwki otwierają się jedna po drugiej.

Chrapanie ustało, nasłuchuję. Rowan, włamanie. Żadnej odpowiedzi. Odwracam się i widzę puste posłanie.

Piwniczne drzwi stanęły otworem. Zamiast ciemności korytarza moim oczom ukazał się

widok zapierający dech w piersiach: ogród skąpany w promieniach słońca. Ledwie zdołałam ogarnąć przestrzeń zachwyconym spojrzeniem, kiedy drzwi znów się zatrzasnęły. Drzwi szarej ciężarówki pełnej przerażonych dziewcząt.

- Rowan - szepnęłam, rzucając się do przodu.

Budzę się i próbuję uspokoić. Jawa nie przynosi pocieszenia. Wciąż znajduję się w posiadłości na Florydzie, mam zostać wydana za mąż za Zarządcę, podczas gdy Rose kona na końcu korytarza w otoczeniu służby próbującej ukoić jej cierpienie.

Przeciągam się w satynowej pościeli. Bola mnie nogi i biodra. Unoszę kołdrę. Mam na sobie białą prostą halkę, skóra jest wrażliwa i pozbawiona owłosienia, paznokcie opiłowane, błyszczące. Jestem w mojej nowej sypialni z zablokowanymi oknami i różową łazienką.

Drzwi uchylają się, ale nie wiem, kogo zobaczę tym razem: kulejącego posiniaczonego Gabriela, który przyniósł posiłek, brygadę staruszek gotowych do zabiegów pielęgnacyjno-upiększających czy sadystycznego doktora z łóżkiem na kółkach. To Deirdre z jakąś ciężką białą paczką w wątych ramionkach.

- Cześć - rzuca dziecinnym głosem. - Jak się czujesz?

Nie mam jej do powiedzenia nic miłego, zatem milczę.

Dziewczynka nie ma dziś na sobie służbowego stroju, tylko białą sukienkę.

- Przyniosłam ci twoją kreację. - Kładzie pakunek na toalecie i rozwiązuje wstążkę, którą jest obwiązany. Unosi do góry suknię połyskującą diamentami i wyszywaną perłami. Suknia jest większa od Deirdre, więc dół opada kaskadą na podłogę.

- Powinna pasować. Zmierzyli cię, kiedy spałaś, a ja zrobiłam poprawki krawieckie. Przymierz.

Nie chcę wkładać ślubnej sukni ani rozmawiać z porywaczem, Zarządcą Lindenem. Wołałabym także nie spotykać Mistrza Vaughna, na którego widok Deirdre blednie jak ściana. Dziewczynka podaje mi strój, wygląda przy tym tak sympatycznie i niewinnie, że nie mam sumienia narażać dziecka na nieprzyjemności. Wkładam suknię i nachylam się, by Deirdre mogła zapiąć zamek błyskawiczny z tyłu.

Staje na otomanie obok toaletki i zawiązuje wstążkę pod szyją. Jej małe palce są wyjątkowo zwinne. Suknia leży jak ulał.

- Ty ją uszyłaś? - nie kryję pełnego podziwu zdumienia. Na okrągłe dziecinnie policzki wypływa rumieniec. Mała kiwa głową i zeskakuje z podwyższenia.

- Najdłużej schodzi z przyszywaniem pereł i diamentów. Reszta to łatwizna.

Suknia jest bez ramion, gorset nad piersiami wykrojony w kształt serca, tren

przypomina literę V. Przypuszczam, że z góry, idąc w stronę ołtarza, będę wyglądać jak satynowe białe serce. Nie wyobrażam sobie piękniejszego stroju na ceremonię początku dożywotniego więzienia.

- Sama uszyłaś trzy suknie ślubne? - Nie mogę uwierzyć.

Deirdre kręci głową, delikatnie prowadzi mnie do otomany i daje znak, żebym usiadła.

- Tylko tę - wyjaśnia. - Jestem twoją pokojówką. Każda żona ma swoją garderobianą.

Otwiera szufladę toaletki pełną kosmetyków i spinek do włosów, wyjmując różową szczotkę.

- Naciśnij biały przycisk, jeśli będziesz czegoś potrzebować. - Pokazuje guziki na ścianie tuż nad moim nocnym stolikiem. - Niebieski daje ci łączność z kuchnią.

Zabiera się do makijażu, nakłada mi na twarz rozmaite kolory, co chwila unosi mój podbródek w skupieniu, sprawdza efekty swojej pracy. Potem układa mi włosy, nie przestając udzielać dobrych rad.

- Ślub odbędzie się w ogrodzie różanym. Kolejność zależy od wieku, od najmłodszej do najstarszej. Będziesz druga, po tobie jeszcze jedna dziewczyna. Oczywiście nastąpi wymiana przyrzeczeń, ale twoje zostaną przeczytane przez kogoś innego, nie będziesz się odzywać. Potem wymiana obrączek. Co jeszcze...

Rusza lawina informacji i opisów. Deirdre poucza mnie nawet, jakim tonem mam mówić i jak głośno.

Jej słowa przepływają przeze mnie, zlewając się w jeden przeraźliwy bełkot. Ślub ma się odbyć dziś. Dziś. Co znaczy, że nie zdołam uciec. Nie udało mi się nawet otworzyć okna ani wyjść na zewnątrz. Robi mi się słabo. Marzę o otwarciu okna już nie po to, żeby uciec, ale żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Otwieram usta, by wziąć głęboki oddech, a Deirdre wkłada mi do buzi czerwony cukierek.

- Oddech będzie dzięki temu słodko pachniał - wyjaśnia. Cukierek od razu się rozpuszcza, zostawiając po sobie intensywny słodki truskawkowy smak. Wydaje się zbyt mocny, lecz po chwili łagodnieje. Koi rozdygotane nerwy.

- No proszę. - Deirdre sprawia wrażenie zadowolonej z siebie. Prowadzi mnie do lustra, po raz pierwszy spoglądam na swoje odbicie.

Zapiera mi dech w piersiach.

Mam różowy cień na powiekach. Nie wściekły łazienkowy róż, lecz pastelowy odcień nieba o zachodzie słońca. Połyskuje milionem maleńkich gwiazdek, przechodzi w subtelne biele i fiolety. Usta są pomalowane w podobny sposób, skóra jaśnieje niczym poranna zorza.

Po raz pierwszy w życiu nie wyglądam jak dziecko. Jestem kobietą, przypominam ubraną odświętnie mamę. Czasem wieczorami, kiedy leżeliśmy już w łóżkach, ona tańczyła z tatą w salonie. Tak wtedy wyglądała. Przychodziła pocałować mnie na dobranoc. Pachniała potem i perfumami, promieniała miłością do taty.

- Dziesięć paluszków u rączek i nóżek - szeptała mi do ucha. - Moja córeczka smacznie śpi. - I odchodziła, zostawiając mnie oczarowaną.

Co by powiedziała mama tej dziewczynie, prawie kobiecie, w lustrze?

Nie mogę wykrztusić ani słowa. Deirdre ma talent, sprawiła, że niebieskie oko jest jeszcze bardziej niebieskie, a brązowe patrzy tak samo intensywnie jak orzechowe oczy Rose. Ubrała mnie i umalowała stosownie do okazji. Wkrótce zostanę udręczoną panną młodą, małżonką Zarządcy Lindena.

Wydaje mi się, że mój wygląd mówi sam za siebie, lecz Deirdre z niecierpliwością czeka na opinię.

- Pięknie. - Naprawdę jestem pod wrażeniem.

- Mój ojciec był malarzem - mówi z dumą. - Próbował mnie uczyć, ale chyba nigdy mu nie dorównam. Mawiał, że wszystko może być płótnem. Dziś ty byłaś moim.

Na tym kończy się jej opowieść o rodzicach, a ja nie zadaję pytań.

Poprawia mi włosy zakręcone w loki i ściągnięte do tyłu prostą białą opaską. Przerywa, kiedy zegarek na jej ręku zaczyna pikać. Pomaga mi włożyć wysokie białe buty na szpilkach, zbiera tren, idziemy wzdłuż nieskończenie długiego korytarza. Wreszcie stajemy przed ogromnymi drewnianymi drzwiami. Deirdre uchyla je i wsuwa głowę przez szparę. Z kimś rozmawia. Cofa się, odsłaniając chłopca w swoim wieku, który mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Ładnie - stwierdza.

- Dziękuję, Adair. Twoja też mi się podoba - odpowiada Deirdre poważnym tonem profesjonalistki. - Wszystko gotowe?

- U mnie tak. Sprawdź, co u Elle.

Deirdre i chłopiec znikają za drzwiami, dobiega mnie szmer rozmowy. Po chwili czuję na sobie krytyczny wzrok kolejnego dziecka.

- Jakie to śliczne! - woła dziewczynka i odchodzi.

Deirdre wprowadza mnie do małego, pozbawionego okien, pełnego bel materiału, maszyn i przyborów do szycia pomieszczenia. To szwalnia.

- Inne narzeczone są już gotowe. - Spogląda na boki, upewniając się, że nikt nie słucha. -

Jesteś najładniejsza - dodaje konspiracyjnym szeptem.

Dwie dziewczyny stoją w przeciwległych rogach pokoju. Zajmują się nimi przejęci swoją rolą pomocnicy, wszyscy ubrani na biało. Adair poprawia atlasowy gorset sukni smukłej ciemnowłosej oblubienicy, która zupełnie tym niezainteresowana wpatruje się tępo w przestrzeń.

Elle wpina perłowe grzebienie w kok przeraźliwie chudego rudzielca w białej sukni leciutko mieniającej się barwami tęczy przy każdym ruchu. Kreacja ma doczepione na plecach przezroczyste skrzydła, z których tryskają fontanny brokatu. To musi być złudzenie optyczne, gdyż brokat nie opada na ziemię. Dziewczyna wierci się w niewygodnym gorsecie, miseczki są nieodpowiednie do jej małego biustu.

Rudowłosa dziewczynka jest o głowę niższa ode mnie i na pewno za młoda na żonę. Ciemnowłosa, zbyt nieobecna. A ja niechętna.

Ale to wszystko bez znaczenia.

Suknia przyjemnie gładzi moją skórę, Deirdre pęka z dumy. Znajduję się w pomieszczeniu, gdzie, tak sędzę, będą powstawać wszystkie moje stroje aż do śmierci. Nie przestaję myśleć o ucieczce. Przewody wentylacyjne? Jakies niedomknięte drzwi?

Oczywiście myślę także o Rowanie. Jesteśmy niczym połówki jednej osoby. Serce mi się kraje, gdy wyobrażam go sobie samego nocą w piwnicy. Będzie odwiedzać przybytki płatnej rozkoszy? Pojedzie służbową ciężarówką szukać mojego ciała na poboczach dróg? Cokolwiek zrobi, gdziekolwiek się uda, nigdy nie trafi na ślad odległej od Nowego Jorku rezydencji otoczonej przez gaje pomarańczowe, ogrody i pastwiska z mnóstwem koni.

To ja muszę odnaleźć jego. Naiwnie upatruję rozwiązań tam, gdzie ich nie ma. Przewody wentylacyjne odpadają, są za małe.

Stoimy na środku pokoju. Po raz pierwszy mamy okazję przyjrzeć się sobie nawzajem. W ciężarówce było ciemno, potem wpadłyśmy w panikę, a w limuzynie uspio nas gazem. Jesteśmy sobie zupełnie obce.

Mały rudzielec syczy w stronę Elle, że gorset za ciasny. Jakim cudem ona ma stać spokojnie przez całą ceremonię - najważniejszą w jej życiu, dodaje - skoro ledwie oddycha?

Smukła brunetka nie odzywa się ani nie porusza. Adair wchodzi na przenośną drabinę i ozdabia jej splecione w warkocze włosy maleńkimi sztucznymi liliami.

Ktoś puka do drzwi. Nie wiem, czego się spodziewać. Czwartej narzeczonej? Kolekcjonerów, którzy wrócili, żeby nas rozstrzelać? Wchodzi Gabriel z wielkim kołowrotkiem w rękę. Pyta pokojowych, czy oblubienice gotowe, nie patrząc na żadną z nas. Kiedy Elle

potwierdza, kładzie kołowrotek na podłodze. Słysząc jakieś dziwne dźwięki i z kołowrotka rozwija się długi czerwony dywan, który prowadzi na korytarz. Gabriel znika w cieniu.

Niepokojąca muzyka zdaje się dobiegać ze ścian. Dzieci ustawiają nas w rzędzie od najmłodszej do najstarszej. Ruszamy przed siebie miarowym równym krokiem w zdumiewająco zgodnym rytmie, biorąc pod uwagę brak prób i sposób, w jaki tu trafiłyśmy. Najpierw wrzucono nas jak przedmioty do ciężarówki, potem pozbawiono przytomności, a za chwilę mamy zostać żonami jednego mężczyzny. Siostrzanymi żonami. Słyszałam ten termin w wiadomościach, nie wiem co znaczy. Nie potrafię ocenić, czy te dziewczyny są moimi sprzymierzeńcami czy wrogami. O ile w ogóle będziemy się widywać po ślubie.

Mały rudzielec podskakuje, skrzydła podrygują, wiruje brokat. Gdybym nie znała sytuacji, pomyślałabym, że dziewczyna jest podekscytowana.

Dywan prowadzi na zewnątrz, do ogrodu różanego. Kwiaty porastają wysoki mur, na powietrzu czuję się tak samo uwięziona jak w domu.

Wieczorne niebo mieni się od gwiazd. W Nowym Jorku nigdy nie wychodziłam na dwór po zmroku. Drzwi wejściowe były już zaryglowane, pułapka w kuchni zastawiona. O tej porze jadłabym z Rowanem kolację, potem obejrzelibyśmy wiadomości, żeby zorientować się w ofertach pracy i sprawdzić, co się dzieje na świecie, który może kiedyś zmienić się na lepsze. Miejscowe laboratorium spłonęło cztery lata temu, od tego czasu wciąż mam nadzieję, że na jego miejscu powstanie nowe, a naukowcy znów podejmą pracę nad poszukiwaniem szczepionki. Na razie w ruinach osiedliły się osierocone dzieciaki. Ludzie powoli się poddają, godzą z losem. Wiadomości to przede wszystkim lista dostępnych miejsc pracy oraz transmisje z elitarnych uroczystości możnych i bogatych - na ekranie można oglądać Zarządców w towarzystwie smutnych oblubienic. To ma chyba za zadanie dodać ludziom otuchy, dać złudzenie, że świat się nie kończy.

Czuję nadciągającą falę tęsknoty za domem, ale ktoś popycha mnie do przodu, więc przechodzę na niewielką polankę przy końcu różanego traktu, gdzie ustawiają nas w półokręgu.

Otwarta przestrzeń stanowi miłą niespodziewaną odmianę. Ogród jest przeogromny, wygląda jak miasto oświetlone milionem świec. Są tu także maleńkie fontanny. Muzyka dobiega z samogrającego keyboardu, klawisze rozbłyskują z każdą nutą, która brzmi, jakby wygrywała ją cała orkiestra. Znam tę melodię, nuciła ją moja matka. To „Marsz weselny” z jej czasów.

Na środku polany wzniesiono altanę ogrodową, tam nas prowadzą. Nieco dalej stoi mężczyzna w białej szacie, służki stają naprzeciwko niego z rękami złożonymi jak do modlitwy.

Najmłodsza rudowłosa dziewczyna chichocze, kiedy przed nosem przelatuje jej świetlik. Najstarsza patrzy przed siebie oczami pociemniałymi jak wieczorne niebo. Ja staram się nie wyróżniać, wtopić w tło. Nie wiem, czy to ma sens, skoro Zarządca już mnie sobie upatrzył.

Nie znam się na tradycji ani na ślubach, nigdy na żadnym nie byłam. Rodzice, jak większość par w tamtych czasach, pobrali się w ratuszu. Ludzie umierają dziś tak młodo, prawie nikt już nie myśli o małżeństwie. Przypuszczam, że podobnie musiały wyglądać śluby w dawnych czasach: panna młoda przy ołtarzu, muzyka w tle, pan młody we fraku podchodzi do niej. Zarządca Linden zbliża się ku nam, prowadzony pod rękę przez starszego mężczyznę. Obaj są wysocy i bladzi. U podnóża schodów starszy mężczyzna puszcza jego ramię, narzeczoną pokonuje trzy schodki dzielące go od nas. Staje na środku altany, zwrócony twarzą do swoich przyszyłych żon. Najmłodsza puszcza do niego oczko, on uśmiecha się do niej czule, po ojcowsku. Tyle że ona nie jest jego córką, lecz przyszłą matką ich dzieci.

Robi mi się niedobrze. Z przyjemnością zwymiotowałabym na wypolerowane czarne buty Lindena. Chyba nie miałabym czym, prawie nie tknęłam jedzenia, odkąd tu przybyłam. Poza tym z pewnością nie przysporzyłoby mi to niczyjej sympatii, a przecież zdobycie zaufania Lindena to moja jedyna szansa. Im szybciej, tym lepiej.

Muzyka cichnie, człowiek w białej szacie rozpoczyna przemowę.

- Zebraliśmy się tu, by połączyć cztery dusze świętym węzłem małżeńskim, który da początek kolejnym pokoleniom...

Linden lustruje nas wzrokiem. Czy to w blasku świec czy pod wpływem łagodnej wieczornej bryzy nie wydaje mi się już groźny, jak wcześniej. Jest wysoki, drobnej budowy, przywodzi na myśl bezbronny chłopca. Ma intensywnie zielone oczy i błyszczące kręcone czarne włosy. Nie uśmiecha się. Nie wiem, czy to na pewno ten sam mężczyzna, na którego wpadłam w korytarzu. Kiedy dostrzegam błysk złota w jego ustach, nie mam już wątpliwości.

Służba postępuje krok naprzód. Mężczyzna w białej szacie przestaje wywodzić na temat rozmnażania, Linden zwraca się do każdej z nas po imieniu.

- Cecily Ashby. - Patrzy na rudowłosą dziewczynkę. Elle otwiera splecione dłonie, ukazując złotą obrączkę, którą Linden wsuwa na palec rozpromienionej panny młodej. - Moja żona.

Następnie bierze obrączkę z rąk Deirdre i wkłada na mój palec.

- Rhine Ashby. Moja żona.

To nic nie znaczy, przekonuję się w myślach. Niech mnie nazywa swoją żoną. Kiedy tylko znajdę się po drugiej stronie ogrodzenia, obrączka będzie zwykłym kawałkiem złota.

Pozostanę sobą, Rhine Ellery. Mimo wszystko oblewam się zimnym potem, ciężko mi na sercu. Linden spogląda mi w oczy, nasze spojrzenia się krzyżują. Wytrzymuję jego wzrok, nie rumienię się, nie okazuję żadnych uczuć. Nie pozwolę mu sobą zawładnąć.

Przechodzi do trzeciej narzeczonej.

- Jenna Ashby. Moja żona - powtarza.

- Co los złączył, człowiek niech nie rozłącza. - Mistrz ceremonii przybrał uroczysty ton.

Los jest zwykłym złodziejem, myślę.

Znów rozbrzmiewa muzyka, Linden sprowadza nas po kolei za rękę po schodkach. Jego dłoń jest zimna i spocona. Nasz pierwszy małżeński dotyk. Usiłuję przyjrzeć się dokładnie rezydencji, która stała się moim więzieniem, dostrzegam jedynie mur i okna, stoję zbyt blisko, a dom jest zbyt okazały. Wydaje mi się, że w oknie przez chwilę dostrzegam Gabriela. Rozpoznaję jego starannie uczesane z przedziałkiem włosy i wpatrzone we mnie duże niebieskie oczy.

Linden odchodzi w towarzystwie starszego mężczyzny, który prowadził go do ołtarza. Panny młode mają wrócić do domu. Po drodze urywam listek bluszczu i zamykam go w dłoni. Przypomina mi o domu, który też kiedyś porastały zielone pędy.

Po powrocie do sypialni ukradkiem chowam zielony skarb w poszewkę poduszki. Deirdre pomaga mi zdjąć suknię ślubną, składa ją starannie, po czym spryskuje mnie czymś, co powoduje zawrót głowy i atak kichania, lecz po chwili przechodzi w przyjemny zapach róż. Sadza mnie na otomanie i otwiera szufladę z kosmetykami. Zmywa ślubny makijaż, robi nowy; bardziej wyzywający. Podoba mi się, jest agresywny, dobrze oddaje moje emocje.

Wkładam obcisłą czerwoną sukienkę, w tym samym odcieniu co pomadka, wykończoną czarną koronką.

Sukienka sięga mi zaledwie do połowy uda. Deirdre starannie poprawia materiał na mojej figurze. Wkładam parę butów na niedorzecznie wysokich obcasach i przyglądam się sobie w lustrze. Ubranie uwydatnia każdy szczegół sylwetki: piersi, biodra, nawet lekki zarys żeber.

- Ten strój sygnalizuje, że nie jesteś już dzieckiem - wyjaśnia. - Podkreśla twoją gotowość do spotkania z mężem.

Pokojówka prowadzi mnie przez labirynt korytarzy do sali jadalnej z kryształowymi żyrandolami, gdzie czekają już dwie panny młode. Mają na sobie kreacje podobne do mojej, czarną i żółtą. Wszystkie mamy rozpuszczone włosy. Zostaję posadzona w środku, przy długim stole. Cecily wciąż jest podekscytowana, a Jenna zdaje się powoli otrząsać z otępienia. Dotyka pod stołem mojej dłoni.

Pachniemy jak kwiaty, z włosów Cecily wciąż tryska fontanna brokatu.

Linden pojawia się znów w towarzystwie mężczyzny z pierwszego pokolenia. Całuje nas po kolei w ręce, przedstawiając swojego ojca, Mistrza Vaughna.

Starszy człowiek także składa pocałunki na naszych dłoniach. Z trudem powstrzymuję grymas, czując na skórze dotyk chłodnych suchych warg, kojarzy mi się z dotykaniem zwłok. Jak przystało na przedstawiciela pierwszego pokolenia, Mistrz Vaughn zestarzał się z godnością: ma ciemne włosy gdzieś tylko poprzetykane siwizną i dość gładką skórę, jednak przeraźliwie bladą. Cera Rose to okaz zdrowia w porównaniu z trupią bledością tego mężczyzny. Jego twarz jest poważna, sposób bycia oschły. Nawet Cecily wydaje się onieśmielona.

Oddycham z ulgą, gdy mężczyźni siadają po przeciwległej stronie stołu. Linden zwrócony twarzą do nas, a jego ojciec u szczytu. My siedzimy w rzędzie obok siebie, a krzesło naprzeciwko Mistrza Vaughna pozostaje puste. Przypuszczam, że siadywała na nim niegdyś pani Vaughn, której nieobecność przypisuję zejściu z tego świata.

Gabriel nakrywa do stołu, z ulgą witam jego przybycie. Nie rozmawialiśmy od zeszłego wieczoru. Bałam się, że został ukarany z mojego powodu; że Mistrz Vaughn wtrącił go do lochu na resztę życia. Moje lęki koncentrują się na piwnicach i lochach. Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż uwięzienie w takim miejscu. Zwłaszcza kiedy człowiek ma tylko kilka lat, by nacieszyć się życiem.

Wbrew moim obawom Gabriel wygląda całkiem dobrze. Na skórze nie widać sińców, przestał kuleć. Podejmuję próby nawiązania kontaktu wzrokowego, aby przekazać mu swoje przeprosiny i wyrazy współczucia, lecz on na mnie nie patrzy. Za Gabrielem wchodzi jeszcze czterech chłopców w jednakowych ubraniach. Niosą wodę, wino, popychają wózki z jedzeniem. Uczta zapowiada się wystawnie: kurczęta w karmelowym sosie, ananasy i truskawki poukładane w kwiatowe wzory.

Drzwi do jadalni są otwarte na oścież, obsługa wchodzi i wychodzi. Ciekawe, co by się stało, gdybym się teraz poderwała do ucieczki. Ktoś by mnie złapał? Może Gabriel? Z pewnością nie odbiegłabym daleko. Wolę się nie przekonywać, co zrobiłby mój mąż. Boję się zamknięcia i tego, że nigdy nie zdołałabym odzyskać jego zaufania.

Dlatego siedzę na swoim miejscu, angażuję się nawet w wymuszoną, obrzydliwie uprzejmą rozmowę. Linden nie mówi zbyt wiele, zdaje się być myślami gdzie indziej. Cecily uśmiecha się do niego, w pewnej chwili upuszcza łyżkę tylko po to, żeby, jak podejrzewam, zwrócić jego uwagę.

Mistrz Vaughn opowiada o stuletnich ogrodach oraz słodczy jabłek z miejscowych jabłonek. Nawet owoce i roślinność wydają się złowrogie, kiedy ich opis pada z jego ust. Wszystko przez głos: niski i zgrzytliwy. Nikt ze służby nie ośmiela się podnieść na niego wzroku, gdy podają jedzenie czy zabierają brudne naczynia.

To on, uświadamiam sobie. On pobił Gabriela, kiedy ten nie domknął drzwi mojej sypialni. Pod maską uśmiechu i przyjaznych słów kryje się coś niebezpiecznego. Coś, co odbiera apetyt mnie i kolor sympatycznej buzi Deirdre. Tak, Mistrz Vaughn stanowi większe zagrożenie niż przygnębiony Zarządca Linden, kiedy patrzy na swoje nowe żony niewidzącym wzrokiem, zagubiony w myślach o miłości swojego życia, która umiera.

Po kolacji przebieram się w białą koszulkę nocną i kładę do łóżka. Deirdre masuje mi obolałe stopy. Nie mam siły protestować, a jej dotyk jest kojący. Dziewczyna waży tyle co piórko, na materacu prawie nie pojawia się wgłębienie, kiedy na nim przykłęka.

Kładę się na brzuchu, wtulam twarz w poduszkę. Deirdre ugniata mi łydki, właśnie tego potrzebuję po godzinach męczarni na wysokich obcasach. Wokół płoną zapachowe świece, wypełniając pokój kwiatowym aromatem. Pod wpływem ogólnego rozluźnienia zadaję pytanie niegodne damy:

- Jak ma wyglądać noc poślubna? Ustawi nas w szeregu i będzie wybierał? Odurzy nas narkotykami i wpakuje wszystkie naraz do jednego łóżka?

Moja obcesowość nie robi na niej wrażenia.

- Zarządca nie skonsumuje dziś zaślubin - oświadcza z powagą. - Nie, gdy pani Rose... - Zawiesza głos.

Unoszę się na łokciach, żeby na nią spojrzeć.

- Co z nią?

- Bardzo ją kocha - wyjaśnia pogrzebowym tonem. - Nie odwiedzi żadnej z nowych żon, póki pani Rose żyje.

Deirdre gasi świece i odchodzi, a ja zapadam w sen. Wczesnie rano budzi mnie dźwięk przekręcanej gałki u drzwi. Mam bardzo czujny sen, kiedy mój system nerwowy nie jest przytłumiony narkotykami. Wokół panuje jeszcze ciemność, leżę bez ruchu, wpatrując się w drzwi.

Rozpoznaję w mroku sylwetkę Lindena.

- Rhine? - Wypowiada moje imię po raz drugi od naszych dziwnych zaślubin. Chciałabym udać, że śpię, lecz obawiam się, iż paniczne bicie mojego serca słychać w całym pomieszczeniu. Wciąż odczuwam irracjonalny lęk, iż w każdej chwili mogą wrócić Kolekcjonerzy, żeby mnie zastrzelić. Poza tym, Linden z pewnością już zauważył moje szeroko otwarte oczy.

- Tak - odpowiadam.

- Wstawaj. - Jego głos brzmi łagodnie. - I ubierz się ciepło. Chciałabym ci coś pokazać.

Ubierz się ciepło! Czyżbyśmy wychodzili na zewnątrz?

Wykazuje się dużym taktem, opuszczając pokój, bym mogła się swobodnie przebrać. Otwieram drzwi bogato zaopatrzonej garderoby, automatycznie zapala się światło. Wybieram grube wełniane spodnie i sweter wyszywany perełkami, niewątpliwie dzieło Deirdre.

Linden czeka za drzwiami. Z uśmiechem podaje mi ramię i prowadzi w stronę windy. Liczba korytarzy w tym domu jest frustrująca. Nawet gdyby drzwi wejściowe były otwarte na oścież, zapraszając do ucieczki, nie zdołałabym ich znaleźć. Staram się zapamiętać drogę, idziemy przez wąski hol wyłożony nową zieloną wykładziną. Dzieła sztuki przypominają stylem te w mojej sypialni zdobiące beżowe ściany. Nie widzę żadnego okna, orientuję się, że jesteśmy na parterze, dopiero kiedy Linden otwiera drzwi i wychodzimy na znajomą różaną ścieżkę. Tym razem mijamy altanę. Słońce jeszcze nie wzeszło, ogród spowija senna cisza.

Pokazuje mi fontannę, w której pływają duże kolorowe ryby.

- Karp koi. Słyszałaś o nich? Pochodzą z Japonii.

Podróże są w dzisiejszych czasach zupełną abstrakcją, a geografia stała się jednym z elementów historii. Ledwie się z nią zetknęłam w krótkim okresie, gdy uczęszczałam do szkoły przed śmiercią rodziców. Zajęcia odbywały się w opuszczonym kościele, garstka uczniów ledwie zapełniała przednie rzędy ławek. Przychodziło najwięcej dzieci przedstawicieli pierwszego pokolenia, bo wyniosły z domów szacunek dla wiedzy i nie zniechęciło ich, że nie będą miały czasu z niej skorzystać. Niektórzy podjęli naukę, marząc o karierze aktorskiej, potrzebowali znajomości czytania, aby rozumieć scenariusze. Na geografii dowiedziałam się jedynie, że nasza planeta dzieliła się kiedyś na siedem kontynentów i kilkadziesiąt państw, lecz trzecią wojnę światową przetrwała jedynie Ameryka Północna, kontynent najbardziej zaawansowany technologicznie. Reszta świata obróciła się w ruinę, został bezkresny ocean, a na nim maleńkie, niewidoczne z kosmosu wysepki.

Ojca pasjonował dawny świat, dużo o nim opowiadał. Miał kolorowy atlas z dwudziestego pierwszego wieku z mnóstwem fotografii i opisów różnych kultur. Najbardziej lubiłam Japonię. Podobały mi się gejsze z ich charakterystycznym makijażem. Zachwycaly mnie kwitnące wiśnie, tak niepodobne do cherlawych krzaczków na naszych trawnikach. Wyobrażałam sobie Japonię jako kraj z kolorowej fotografii - pełen kolorów i blasku. Mój brat wolał Afrykę z mnóstwem wielkouchych słoni i barwnych ptaków.

Świat był kiedyś piękny, tę wiedzę zawdzięczam tacie. Czasem ogarnia mnie tęsknota za nieistniejącymi już miejscami. Patrzę na oczko wodne pełne biało-czerwono-pomarańczowych ryb i myślę: „Szkoda, że tata tego nie widzi”.

Obezwładnia mnie poczucie straty, czuję okropny ucisk w gardle.

- Słyszałam - odpowiadam z wysiłkiem.

Linden jest pod wrażeniem. Uśmiecha się i wyciąga rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale zmienia zdanie. Prowadzi mnie na drewnianą huśtawkę w kształcie serca. Siadamy w pewnej odległości od siebie, kołyszymy się lekko, patrzymy na mieniący się barwami fioleto horyzont i błędne gwiazdy.

- Popatrz, jakie to piękne. - Unosi rękę w szerokim geście.

- Wschód słońca? - upewniam się. Owszem, ładny, ale czy wart utraty kilku godzin snu? W domu sypiam na zmianę z Rowanem, odpoczynek jest dla mnie na wagę złota.

- Początek nowego dnia. Zdrowie, żeby się nim cieszyć.

Dostrzegam smutek w jego zielonych oczach. Nie wzrusza mnie. Nie robi na mnie wrażenia smutek mężczyzny, który kupuje dziewczyny od Kolekcjonerów, by móc je hodować w swoim domu do końca ich życia. On ma na rękach krew zamordowanych. Moje dni są policzone, nie zamierzam ich tracić jako żona Lindena Ashby'ego.

Siedzimy w ciszy. Jego twarz rozpromienia się na widok słońca. Obrączka na moim palcu skrzy się w świetle. Nie znoszę jej. Wczoraj powstrzymałam się w ostatniej chwili przed spuszczeniem paskudztwa w toalecie. Muszę się poświęcić, jeśli mam zdobyć zaufanie Lindena.

- Słyszałaś o Japonii. Co jeszcze wiesz o dawnym świecie?

Nie powiem mu o atlasie, który spoczywa w naszym domu na dnie kufra z cennymi rzeczami. Linden nie musi chować swoich kosztowności w zamkniętych kufrach. Zamyka jedynie swoje żony. Nie wie, co to życie w ciągłym zagrożeniu.

- Nic - kłamię i udaję zainteresowanie, kiedy opowiada o Europie, zegarze na wieży, który nazywano Big Benem (pamiętam go dobrze ze zdjęcia, oświetlony na tle wieczornego nieba, górujący nad ruchliwą ulicą Londynu), wymarłym gatunku ptactwa, flamingach o długich nogach i szyjach.

- Najwięcej dowiedziałem się od Rose - wyznaje, odwracając wzrok. - Wracaj do domu - dodaje. - Zaraz przyjdzie twoja pokojówka. - Głos mu się łamie, uznaję więc, iż nie jest to właściwy moment na demonstrowanie fałszywego podziwu dla jego wiedzy oraz męskości. Odnajduję drogę powrotną, zostawiając go samego z myślami o Rose, która nie obejrzy już wielu zachodów słońca.

Kolejne dni mijają, a Linden nie odwiedza nowych żon. Drzwi do naszych sypialni zostawia się teraz otwarte, zyskałyśmy pewną swobodę. Wolno nam poruszać się samodzielnie po piętrze, na którym nie ma nic poza naszymi pokojami, salonem i biblioteką. Windy możemy używać tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy Linden zaprasza nas na kolację, co nie zdarza się

często. Zwykle służba dostarcza nam posiłki do pokoi. Spędzam mnóstwo czasu w bibliotece. Zachwyam się ilustracjami kwiatów, żałuję, że nie widziałam ich w naturze; większość już nie istnieje, nieliczne można jeszcze spotkać w innych częściach kraju. Czytam o polarnych czapach lodowych, które roztopiły się i wyparowały podczas wojny. Dowiaduję się, że podróżnik Krzysztof Kolumb udowodnił, iż Ziemia jest okrągła. Zatracam się w bogatej historii nieskończonego świata.

Rzadko widuję swoje siostry w niedoli. Jenna czasem przychodzi po jakąś powieść i zagaduje mnie nieśmiało, co czytam. Jest wciąż wystraszona, chyba nawet mnie się boi. Wyczuwam, że ta pokonana dziewczyna była kiedyś silna, pewna siebie i odważna, ale dziś niewiele zostało z tamtej osoby. Jej oczy są zazwyczaj zasnutę łzami. Nasze rozmowy ograniczają się do dwóch, trzech zdań.

Cecily narzeka, że w sierocińcu nie nauczyli jej dobrze czytać. Kiedy wyduka pojedyncze litery, czeka niecierpliwie, żebym je złożyła i wyjaśniła znaczenie słowa. Choć ma dopiero trzynaście lat, najbardziej lubi czytać poradniki dotyczące ciąży i porodu.

Oprócz ograniczeń ta mała posiada wspaniały dar. Jest muzycznym geniuszem. Czasem słyszę, jak gra na keyboardzie w salonie. Za pierwszym razem cudowne dźwięki wywabiły mnie z łóżka po północy. Zastałam drobnutką dziewczynkę z burzą rudych loków siedzącą wśród wirtualnych płatków śniegu wytwarzanych przez hologramową funkcję instrumentu. Cecily, tak podatna na sztuczny blichtr, grała z zamkniętymi oczami zatopiona w muzyce. Nie była dzieckiem w sukni ze skrzydłami ani rozkapryszoną panienką, która rzuca sztućcami w służących, kiedy coś jej się nie spodoba. Była jakby istotą z innego świata. Kiedy gra, wydaje się nieśmiertelna.

Po południu bawiła się klawiszami, wygrywając bzdurne melodyjki. Instrument nie działa, jeśli nie włoży się karty holograficznej. Do wyboru są setki: wirujące tęcze, wodospady, roje świetlików... Nigdy nie widziałam, żeby użyła dwukrotnie tego samego hologramu, choć w ogóle nie zwraca na nie uwagi.

W salonie nie brakuje fikcyjnych światów do wyboru. Można włączyć telewizor i przenieść się na stok narciarski lub tor wyścigowy. Mamy do dyspozycji piloty, kierownice, narty oraz mnóstwo konsoli, dzięki którym możemy się przenieść gdzie indziej, choć tylko w wyobraźni. Zastanawiam się, czy mój nowy mąż został wychowany w zamknięciu rodowej rezydencji, wiedzę o świecie czerpiąc jedynie z symulatorów. Spróbowałam swoich sił w wirtualnym wędkowaniu i okazało się, że jestem w nim świetna, choć w realnym świecie zupełnie mi nie wychodziło łowienie ryb.

Najwięcej czasu spędzam w samotności, nie mając właściwie nic do roboty. Przemierzyłam już wielokrotnie całe piętro: od sypialni Rose po bibliotekę. Obejrzałam dokładnie otwory wentylacyjne umieszczone na suficie oraz nieduże zsypy na brudną bieliznę. Sprawdziłam wszystkie okna, otwiera się tylko to w sypialni Rose, z której ona nigdy nie wychodzi.

Kominek w bibliotece jest sztuczny, hologramowy płomień trzeszczy, lecz nie daje ciepła. Nie ma sposobu, aby wyjść na dach.

Nie trafiłam także na schody, nawet na zamknięte wyjście przeciwpożarowe. Dokładnie przyjrzałam się ścianom, zaglądałam za regały i pod meble. W razie jakiegokolwiek pożaru, jeśli windy przestaną działać, oblubienice Lindena spłoną na popiół. Cóż, nietrudno nas zastąpić. Nie płakał po zastrzelonych dziewczynach, to i po nas nie zapłacze.

Ale co z Rose? Przecież ją kocha, czy życie tej kobiety nie ma dla niego wartości? Może pierwsze żony są łatwe do zastąpienia.

Naciskam guziki windy tylko po to, żeby się przekonać, iż żaden nie działa bez uprzedniego użycia karty. Usiłuję rozsunąć drzwi rękami i czubkiem buta, wyobrażając sobie, że uciekam przed pożarem. Ani drgną. Wracam do swojego pokoju, by rozejrzeć się za odpowiednim narzędziem. Zauważam wiszący w szafie parasol i postanawiam spróbować. Udaje mi się wsunąć czubek parasola w szczelinę, która rozchyła się, mogę włożyć stopę między metalowe skrzydła. Sukces! Rozsuwają się.

Czuję na twarzy powiew stęchłego powietrza z szybu windy, patrzę w górę i w dół, jest ciemno, widzę tylko płataninę kabli. Nie mam pojęcia, ile pięter jest pode mną, a ile nade mną. Chwytam za kabel, mogłabym się po nim wspiąć lub zjechać na dół. Być może piętro niżej znajdę jakieś otwarte okno lub schody.

Ale nie wiem, czy uda mi się otworzyć drzwi windy od wewnątrz. Grozi mi zmiżdżenie przez dźwig, jeśli ruszy.

- Rozważasz samobójstwo? - pyta Rose. Podskakuję i cofam rękę z szybu windy. Żona mojego męża stoi tuż obok, z założonymi rękami, w koszuli nocnej. Ma potargane włosy, bladą skórę, jaskrawoczerwone usta rozsunięte w uśmiechu. - Nie bój się, nie naskarzę. Rozumiem cię.

Drzwi windy zamykają się cicho, beze mnie.

- Naprawdę rozumiesz?

- Aha. - Sięga po parasol, otwiera go i obraca nad głową. - Gdzie go znalazłaś?

- W szafie.

- No tak. A wiesz, że otworzenie parasola w domu przynosi pecha? Nawiasem mówiąc, mąż jest bardzo przesądny. - Składa parasol, przygląda mu się uważnie. - Linden decyduje o wszystkim, co znajduje się w twojej sypialni. Ubrania, buty... ten parasol, wszystko on wybierał. Skoro postanowił dać ci parasol... Wiesz, co to znaczy?

- Nie chce, żebym zmokła. - Zaczynam rozumieć.

- Dokładnie. - Z uśmiechem oddaje mi parasol. - A przecież pada tylko na zewnątrz.

Na zewnątrz. Nie sądziłam, że pojedyncze słowo jest w stanie wprawić mnie w drżenie. Marzę o odrobinie wolności, oddałabym wszystko za możliwość wyjścia na powietrze. Zaciskam kurczowo palce na rączce parasola.

- Na zewnątrz można się wydostać tylko korzystając z windy?

- Zapomnij o windach. Twój mąż jest jedyną szansą wyjścia na zewnątrz.

- Nie bardzo rozumiem. Przecież jeśli wybuchnie pożar, wszystkie zginiemy.

- Każda żona to inwestycja. Mistrz Vaughn słono za was zapłacił, ma obsesję na punkcie genetyki, założę się, że kosztowałaś go najwięcej, ze względu na twoje oczy. Zależy mu na waszym bezpieczeństwie, a zatem nie musisz się obawiać pożaru, huraganu ani tsunami.

Pewnie powinnam się poczuć wyróżniona, lecz to, co usłyszałam, tylko mnie zmartwiło. Skoro jestem tak cenna, trudniej mi będzie uciec.

Rose wygląda na wyczerpaną. Wrzucam parasol do swojego pokoju i pomagam jej wrócić do łóżka. Pozwala na to bez protestów, choć zazwyczaj walczy ze służącymi, którzy każą jej odpoczywać. Ja nie wmuszam w nią lekarstw.

- Otwórz okno. - Układa się w jedwabnej pościeli. Wpuszczam do pokoju chłodne wiosenne powietrze. Rose oddycha głęboko. - Dziękuję.

Przysiadam na parapecie i gdy przyciskam dłoń do szyby, wydaje się całkiem łatwa do wyważenia. Mogłabym spróbować wyskoczyć, choć to wysoko, kilka pięter, no i nie ma drzew. Nie warto. Przypominam sobie słowa Rose, nie naskarży, bo mnie rozumie.

- Rose? Próbowалаś kiedyś uciekać?

- Nieważne.

Myślę o pełnej życia uśmiechniętej dziewczynce z fotografii. Ona jest tutaj już od lat. Spłodzono ją specjalnie po to, by została żoną tego mężczyzny? Czy sama tego chciała od zawsze? Zanim decyduję się zadać pytanie, Rose siada na łóżku i mówi:

- Jeszcze kiedyś zobaczysz świat. Linden zakocha się w tobie, to pewne. Stosuj się do moich rad, a kiedy umrę, zostaniesz pierwszą żoną. - Swobodnie wspomina o własnej śmierci. - On zabierze cię dokąd zechcesz.

- Ale nie do domu.

Poklepuje materac obok siebie z zapraszającym uśmiechem. Siadam, a ona zaczyna zaplatać mi włosy w warkocz.

- Tu jest teraz twój dom. Im bardziej będziesz się opierać... - Ciągnie mnie za włosy. - ...tym mocniej pułapka będzie się zaciskać. Proszę. - Zawiązuje warkocz wstążką z toaletki. Patrzy mi w oczy i odgarnia kosmyk włosów z czoła. - Ładnie ci ze związanymi włosami. Masz wspaniałe kości policzkowe.

Ona także ma wydatne kości policzkowe. Nie sposób nie zwrócić uwagi na łączące nas podobieństwo: gęste falujące jasne włosy, zdecydowany podbródek, delikatny nos. Brakuje jej tylko dwukolorowych oczu. Istnieje jeszcze jedna zasadnicza różnica. Ona zaakceptowała swój los i pokochała męża. Ja zrobię wszystko, żeby uciec, choćby miało mnie to kosztować życie.

Nie rozmawiamy już tego dnia o ucieczce. Rose faworyzuje mnie spośród innych żon, które nie zamieniły z nią nawet słowa. Jenna w ogóle niewiele mówi, a Cecily nie może zrozumieć, czemu w ogóle zwracam sobie głowę umierającą żoną Lindena.

- Kiedy umrze, on zacznie nam wreszcie poświęcać więcej czasu. - Jakby nie mogła się już doczekać śmierci rywalki. Jestem oburzona, że cudze życie nic dla niej nie znaczy. Podobnie jak byłam oburzona na brata, kiedy znaleźliśmy zeszłej zimy na naszym ganku zamrożone dziecko.

Ja odkryłam ciało i zapłakałam nad nieszczęsną dziewczynką w przetartym płaszczyku. Tymczasem Rowan stwierdził tylko, że powinniśmy na jakiś czas zostawić zwłoki jako ostrzeżenie dla potencjalnych intruzów.

- Świetnie zabezpieczyliśmy drzwi - dodał. - Prędzej umrzesz, niż dostaniesz się do środka. - Walka o przetrwanie. My albo oni. Kilka dni później zaproponowałam, żebyśmy urządzili pogrzeb. Skończyło się na tym, że pomogłam mu wrzucić martwą dziewczynkę do kontenera na śmieci. - Za bardzo się wszystkim przejmujesz - powiedział. - Taka słabość zwykle dużo kosztuje.

Może nie tym razem, Rowan, myślę. Wrażliwość czasem się przydaje. Rozmawiam z Rose godzinami, dowiadując się istotnych rzeczy, które pomogą mi zdobyć przychyłność Lindena.

Mijają dni i tygodnie, a moja znajomość z nią powoli przekształca się w autentyczną przyjaźń. Jaki jest sens zaprzyjaźniania się z umierającą? Nie wiem, ale lubię spędzać z nią czas. Opowiedziała mi o swoich rodzicach. Pochodzili z pierwszego pokolenia, zginęli w wypadku, kiedy była mała, przyjaźnili się z ojcem Lindena, dlatego po ich śmierci zamieszkała w tym

domu. Tak została pierwszą żoną.

Matka Lindena - druga, młodsza małżonka Mistrza Vaughna - zmarła w połogu, wydając go na świat. Mistrz nie ożenił się ponownie, całkowicie pochłonęły go badania. Od urodzenia syna ogarnęła go obsesja, aby przedłużyć mu życie. Gdyby nie to, że jest doskonałym lekarzem, można by go uznać za wariata, stwierdziła Rose. Jednak jako właściciel jednego z najlepszych szpitali w okolicy oraz wybitny genetyk może sobie pozwolić na wszelkie ekstrawagancje. Pierworodny syn Vaughna żył całe dwadzieścia pięć lat, zmarł przed urodzeniem Lindena.

Kolejna rzecz, która mnie łączy z moim nowym mężem. Zanim mój brat i ja przyszedliśmy na świat, rodzice mieli już dwoje dzieci, także bliźnięt, które urodziły się ślepe, nieme i zdeformowane. Przeżyły zaledwie pięć lat. Podobne deformacje genetyczne zdarzają się niezwykle rzadko, gdyż pierwsze pokolenie jest idealne, ale jednak się zdarzają. Zdaje się, że moi rodzice nie byli zdolni do poczęcia potomstwa bez skaz genetycznych, dlatego powinnam być wdzięczna, iż mam jedynie heterochronię, dzięki której prawdopodobnie uniknęłam śmierci przez rozstrzelanie.

Czasem rozmawiamy na weselsze tematy. Ostatnio opowiedziałam Rose o kwitnących wiśniach. Zaufałam jej na tyle, by podzielić się wspomnieniami o tacie i jego książkach. Żałuję, że nie zobaczę już świata w jego pełnym rozkwicie, wyznałam. Gdyby Rose mogła sobie wybrać dowolne miejsce do życia, chciałaby zamieszkać w Indiach, nosiłaby sari i tatuaże z henny, przemierzałyby ulice na grzbiecie przystrojonego szlachetnymi kamieniami słonia.

Maluję jej paznokcie różowym lakierem, a ona przykleja mi na czole indyjskie błyskotki.

Pewnego popołudnia, kiedy wylegujemy się na łóżku, zajadając kolorowe cukierki, wrywa mi się pytanie:

- Jak ty to możesz wytrzymać, Rose?

- Co takiego?

- Nie przeszkadza ci, że ożenił się jeszcze za twojego życia?

- Sama go do tego namawiałam - przyznaje z uśmiechem. Patrzy w sufit i bawi się kolorowym papierkiem. - Łatwiej pogodzi się z moim odejściem, jeśli nie będzie sam. - Zamyka oczy i ziewa. - Poza tym, znajomi zaczęli się z niego naśmiewać. Większość mężczyzn ma co najmniej trzy żony. Niektórzy siedem, po jednej na każdy dzień tygodnia. - Śmieje się, tłumi kaszel. - Ojciec od kilku lat namawiał go na kolejne żony, Linden nie chciał się zgodzić. Wreszcie skapitulował, postawił jedynie warunek, że sam dokona wyboru kandydatek. Mnie nie wybrał, zostałam mu narzucona.

Mówi z upiornym spokojem, bez emocji. Czasem nachodzą mnie obawy, iż polubiła mnie tylko dlatego, że jestem do niej podobna zewnątrz. Rose to bardzo inteligentna dziewczyna. Czy zdaje sobie sprawę, że nigdy nie pokocham Lindena tak jak ona, a on nigdy nikogo nie obdarzy tak silnym uczuciem jak ją? Mimo jej wysiłków, aby mnie odpowiednio przygotować, nie zajmę miejsca Rose.

6

- Chcę się w coś pobawić - oświadcza Cecily.

- Masz mnóstwo gier do wyboru - odpowiada Jenna, nie podnosząc wzroku znad książki. Leży rozparta na kanapie, machając przełożonymi przez poręcz nogami.

- Znudziły mi się gry. Chcę się pobawić. - Patrzy na mnie z nadzieją, ale jedyną zabawą, jaką znam, jest ustawianie pułapek w kuchni i walka o przetrwanie nocy. Przegrałam swoją grę, kiedy uprowadzili mnie Kolekcjonerzy.

Siedzę skulona na parapecie w salonie pełnym wirtualnych zabawek i patrzę na płatki kwiatów pomarańczy wirujące na wietrze niczym maleńkie białe kolibry. Rowan nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby zobaczył pomarańczowe drzewka, piękne, zdrowe i pełne życia, niepodobne do rachitycznych krzaczków wyrastających z asfaltu na Manhattanie ani do sztucznie wyhodowanych nędznych goździków przechowywanych w lodówkach.

- Znasz jakieś zabawy? - Cecily nie daje za wygraną, wbijając we mnie natarczywe spojrzenie brązowych oczu.

Przypominam sobie o telefonie ze sznurka i papierowych kubków. Po chwili wahania postanawiam zachować dla siebie ten pomysł. Zabawa polegała na dzieleniu się sekretami, a ja mam tylko jeden sekret. Plan ucieczki.

- Może połowimy ryby? - proponuję.

Cecily odmawia.

- Musi istnieć coś, co można robić naprawdę. Musi. - Demonstracyjnie wychodzi z pokoju.

- Biedny dzieciak. - Jenna przewraca oczami, po czym wraca do lektury. - Nie zdaje sobie sprawy, gdzie trafiła.

To się dzieje w południe. Gabriel przynosi mi lunch do biblioteki - stała się moim ulubionym miejscem - i spogląda przez moje ramię na ilustrację w książce.

- Co czytasz?

- Książkę historyczną. O pewnym odkrywcy, który udowodnił, że Ziemia jest okrągła, opływając ją dookoła. Zgromadził grupę ludzi i trzy statki...

- Nina, Pinta i Santa Maria - kończy za mnie.

- Znasz historię?

- Znam się na statkach. - Przysiada na oparciu fotela. Wskazuje ilustrację. - To karawela. - Zaczyna opisywać budowę okrętu, trzy maszty, ożaglowanie łańskie. Niewiele z tego rozumiem, ale pozwalam mu mówić, widzę pasję w jego niebieskich oczach i słyszę radość w głosie.

Nagle do pokoju wpada Elle, pokojówka Cecily.

- Tu jesteś! - woła do Gabriela. - Biegnij do kuchni po lekarstwo na kaszel dla pani Rose.

Dopiero wtedy zwracam uwagę na odgłosy dobiegające z końca korytarza. Tak się już przyzwyczałam do jej kaszlu, że przestałam go słyszeć. Gabriel wstaje czym prędzej, ja zamykam książkę, chcę mu towarzyszyć.

- Nie. - Zatrzymuje mnie w progu. - Lepiej zostań.

W korytarzu panuje niecodzienne poruszenie. Roi się od służby. Z windy wysiadają sanitariusze z jakimiś butelkami i maszyną przypominającą nawilżacz powietrza. W napiętej atmosferze wyczuwa się pośpiech, ale też jakby rezygnację.

- Zostań - powtarza Gabriel.

Oczywiście idę za nim. Jak wystraszone dziecko. Chcę wsiąść do windy, nie obchodzi mnie, że to zabronione. Chłopak przystawia kartę i drzwi się rozsuwają, w tym samym momencie ruch w korytarzu zamiera. Po prostu zamiera. Wszyscy stają w miejscu. Przez otwarte drzwi sypialni Rose widać Lindena; klęczy przy łóżku z twarzą ukrytą w materacu. Trzyma bladą wiotką rękę nieruchomej dziewczyny. Rose nie oddycha, jej twarz i koszula nocna są brudne od krwi. Panuje upiorna cisza. Bezbrzeżna jak cały świat, jak nieskończony ocean, cisza widoczna z kosmosu.

Cecily i Jenna wychodzą ze swoich sypialni, nie słychać prawie żadnych dźwięków prócz cichego głosu Lindena.

- Odejdźcie - chrypi przez ściśnięte gardło. - Odejdźcie - powtarza głośniejszym głosem. - Rozchodzimy się, dopiero kiedy rozbija wazon o ścianę. Wsiadam do windy z Gabrielem. Oddycham z ulgą, kiedy zasuwiają się drzwi.

Idę z nim do kuchni, co innego mi pozostaje, zgubiłabym się sama w labiryncie korytarzy. Siadam na blacie, przysłuchuję się rozmowom kucharzy, skubiąc winogrona. Gabriel zabiera się do czyszczenia sreber.

- Wiem, że przyjaźniłaś się z Rose - odzywa się szeptem. - Ale tutaj mało kto ją lubił. Dała służącym mocno w kość.

Jakby na potwierdzenie jego słów szefowa kuchni woła piskliwym głosem:

- Ta zupa jest za gorąca! A teraz za zimna! - Pluje demonstracyjnie, a parę osób wybucha gromkim śmiechem.

Przykro mi tego słuchać. Byłam co prawda świadkiem podobnych zachowań Rose wobec służby, lecz na mnie nigdy nie podniosła głosu. Uważałam ją za jedyną przyjaciółkę w tym ponurym domostwie pełnym strzykawek oraz posępnych i niebezpiecznych mężczyzn.

Postanawiam zachować milczenie. To moja prywatna żaloba, ci bezduszni ludzie i tak nic by nie zrozumieli. Obracam w palcach kulki winogron i odkładam je z powrotem do miski, Gabriel obserwuje mnie kątem oka, personel kuchenny wesoło trąkocze. Na górze leży martwa Rose.

- Lubiła cukierki barwiące język na różne kolory - mówię ze smutkiem.

- Tak - przyznaje Gabriel.

- Są jeszcze?

- Pewnie. Całe kilogramy. Kazała je zamawiać w hurtowych ilościach. Proszę... - Prowadzi mnie do kredensu między lodówką wbudowaną w ścianę a rzędem kuchenek. W środku pełno jest cukierków w kolorowych sreberkach, których Rose już nie zje. Czuję zapach różnych sztucznych dodatków.

Gabriel pakuje kilka garści w papierową torbę, podaje mi ją.

- Nie żałuj sobie. Zmarnują się.

- Dzięki.

- Hej, blondyna - woła do mnie szefowa kuchni, starsza kobieta o siwych przetłuszczonych włosach spiętych w kok. Jest z pierwszego pokolenia. - Zmiataj na górę, zanim mąż cię tu przyłapie!

- Nie przyłapie. Nie zwraca na mnie uwagi.

- To nieprawda - wtrąca się Gabriel.

Patrzę na niego ze zdziwieniem, odwraca wzrok.

Kucharka otwiera drzwi, żeby wylać wodę z garnka, bo zlew jest zajęty przez szefową. Powiew chłodnego powietrza odgarnia mi włosy z twarzy, przez chwilę widzę skrawek błękitnego nieba i kawałek zieleni. Drzwi otwierają się normalnie, bez kluczy i kart. To dlatego nie wolno nam opuszczać naszego pietra: reszta domu nie została przekształcona w więzienie.

- Wolno ci czasem wychodzić? - zagaduję Gabriela.

- Kiedy trzeba skosić trawnik albo przyjąć dostawę. Nieszczególnie zajmujące. - Uśmiecha się krzywo.

- Co tam jest?

- Wieczność - śmieje się. - Ogrody. Pole golfowe. Takie tam. Nie widziałem całego terenu.

- Dla ciebie są tam tylko kłopoty, blondyna - stwierdza szefowa kuchni. - Twoje miejsce jest na pięterku, w jedwabnej pościeli. Zmykaj malować paznokcie, zanim sprowadzisz nieszczęście na nas wszystkich.

- Chodź - mówi Gabriel. - Odprowadzę cię.

Drzwi do pokoju Rose są zamknięte, korytarz pusty, jeśli nie liczyć Cecily. Bawi się kawałkiem włóczki rozpostartym między dłońmi i śpiewa. Milknie, kiedy nas zauważa, odprowadza mnie wzrokiem do pokoju.

- Co robiłaś z tym służącym? - pyta po odejściu Gabriela.

Chowam torbę z cukierkami do szuflady szafki nocnej, obok powieści, w której przechowuję kawałek winorośli. W bibliotece jest mnóstwo książek, nikt nie zauważy braku jednej.

Cecily stoi na progu, czekając na odpowiedź. Nie podoba mi się jej obcesowy ton i wiecznie roszczeniowa postawa. Nie ufam tej dziewczynie.

- Nic - zbywam ją.

Siadam na łóżku, Cecily wpatruje się we mnie wyczekująco. Nie wchodzimy do swoich sypialni bez zaproszenia, cieszę się z tej odrobiny prywatności. Nie mogę jej jednak zabronić mówić.

- Teraz, kiedy Rose nie żyje, Linden może do nas przychodzić.

- Gdzie on jest? - Korzystam z okazji, by się dowiedzieć.

Spogląda na trzymaną w rękę włóczkę, jest niezadowolona.

- W jej sypialni. Kazał się wszystkim wynosić. Pukałam, ale nie chciał otworzyć.

Podchodzę do toaletki i zaczynam szczotkować włosy. Daję do zrozumienia, że jestem zajęta, nie mam ochoty na rozmowę, tymczasem niewiele tu do roboty poza siedzeniem i gapieniem się w ścianę. Cecily zostaje jeszcze przez chwilę, kołysze się na boki, falując spódniczką.

- Nie powiedziałam naszemu mężowi, że wyszłaś ze służącym. Chociaż mogłam.

Odchodzi w podskokach, ciągnąc za sobą sznur jaskrawoczerwonej włóczki.

Tej nocy odwiedza mnie Linden.

- Rhine? - słyszę szept w mroku.

Jest późno, od paru godzin przewracam się z boku na bok, nie mogąc się doczekać

końca tej okropnej nocy. Rose odeszła, a ja wciąż nasłuchuję jej głosu, mam wrażenie, że lada chwila zacznie krzyczeć na służbę albo zawoła mnie, żebym wyszczotkowała jej włosy i porozmawiała z nią. Cisza doprowadza mnie do szaleństwa, być może dlatego z ulgą przyjmuję pojawienie się Lindena. Nie odpycham go, nie ignoruję, lecz odsuwam zapraszająco koldrę.

Zamyka drzwi, kładzie się obok mnie, gładzi mnie po policzku chłodną dłonią. Nachyla się do naszego pierwszego pocałunku, ale z jego ust wydobywa się łkanie. Czuję ciepło jego ciała i oddech na skórze.

- Rose. - Głos ma zduszony, przepelniony strachem. Chowa twarz w moim ramieniu i wybucha płaczem.

Domyślam się, co czuje. Po śmierci rodziców przeplakałam niejedną noc. Z tego powodu udzielam mu schronienia w swoim łóżku i pozwalam, aby ciepło mojego ciała nieco złagodziło ból.

Jego stłumione krzyki przyprawiają mnie o dreszcz przerażenia. Wtula się we mnie rozpaczliwie, zanim wreszcie usypia.

Zapadam w krótkie drzemki. Śnię mi się sceny rozstrzelania, mężczyźni w szarych kitlach i zmieniające kolor usta Rose. Nad ranem udaje mi się zasnąć mocniejszym snem, z którego budzi mnie odgłos otwieranych drzwi. Jest już jasno, za oknem śpiewają ptaki.

Gabriel jak zwykle przyniósł śniadanie. Staje jak wryty na widok Lindena. Mąż leży zwrócony do mnie plecami, lekko pochrapuje, jego ręka zwisa z materaca. Przysuwam palec do ust, dając znak Gabrielowi, żeby był cicho, i wskazuję na toaletkę.

Chłopak bez słowa odstawia tacę, z jakiegoś powodu wydaje się głęboko zraniony. Uświadamiam sobie, jak ta sytuacja może wyglądać z jego punktu widzenia: nie minął nawet dzień od śmierci Rose, a ja już zajęłam jej miejsce. Ale dlaczego miałoby go to dotknąć? Sam mówił, że nikt ze służby nie lubił zmarłej.

Na moje bezgłośnie podziękowanie, kiwa głową i odchodzi. Wyjaśnię mu wszystko później. Powoli dociera do mnie, że Rose nie żyje, wkrótce będę potrzebować kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać.

Ostrożnie wychodzę z łóżka, nie chcę budzić Lindena. Miał ciężką noc, podobnie jak ja. Cicho otwieram szufladę toaletki, biorę cukierka i podchodzę do okna. Nie sposób go otworzyć. Siadam na szerokim parapecie.

Patrzę na ogród, ssąc zielony jak trawa za oknem cukierek. Służący wyławia coś z basenu za pomocą siatki z długim uchwytem. Promienie słoneczne odbijają się w wodzie. Wspominam Nowy Jork i ocean. Dawno temu były tam plaże, teraz zastąpił je beton. Za pięć

dolarów można skorzystać z zardzewiałego teleskopu, zobaczyć Statuę Wolności i wysepki ze sklepami pamiątkarskimi. Można też wsiąść na statek wycieczkowy z przewodnikiem, popłynąć wzdłuż brzegu i wysłuchać opowieści, jakim zmianom podlegało miasto na przestrzeni wieków. Można się prześlizgnąć pod balustradą i zanurzyć bosą stopę w brudnej słonej wodzie pełnej ryb nienadających się do jedzenia (wędkarze łowią je dla sportu i wypuszczają z powrotem).

Ocean od zawsze mnie fascynuje. Dotykając jego powierzchni, mam wrażenie, że stykam się z wiecznością. Nieskończoną głębią, która zaczyna się i kończy w tym samym miejscu. Gdzieś tam leżą ruiny kolorowej Japonii i ukochanych Indii Rose, ojczyzny narodów, które nie przetrwały. Nasz samotny kontynent jest ostatnim na tle czarnego, tajemniczego, urzekającego oceanu. Jasnoblękita woda w basenie wydaje się zbyt frywolna w tym zestawieniu. Czysta, połyskliwa, bezpieczna. Ciekawe, czy Linden dotknął kiedyś oceanu. Może nawet nie wie, że kolorowy raj, w którym żyje, jest fikcją?

Czy Rose kiedykolwiek opuściła to miejsce? Opowiadała o świecie, jakby widziała go na własne oczy, ale czy kiedykolwiek wyszła poza gaj pomarańczowy? Mam nadzieję, że teraz przebywa w miejscu, gdzie jest mnóstwo wysp i kontynentów, wiele języków do nauczenia oraz słonie, na których można jeździć.

- Żegnaj - szepczę i obracam językiem miętowy cukierek. Oby cukierków też ci nie zabrakło, dodaję w myślach.

Od strony łóżka dobiega westchnienie, Linden leży na wznak, podpierając się łokciami. Ma potargane włosy, zapuchnięte oczy i zdezorientowane spojrzenie. Chyba jeszcze na dobre się nie obudził.

- Rose? - odzywa się chrapliwie z nieśmiałym uśmiechem.

Kiedy zdaje sobie sprawę z pomyłki, jest skonsternowany. Odwracam wzrok w stronę okna, niepewna, jak zareagować. Odczuwam dziwną mieszankę litości i nienawiści. Nie potrafię mu wybaczyć trzymania w zamknięciu i strzałów, które przesładują mnie w koszmarach snach. Mam być jego pocieszycielką, bo podobnie jak zmarła żona jestem blondynką? I ja straciłam ukochane osoby. Kto mnie pocieszy?

- Masz zielone usta - odzywa się po dłuższej chwili milczenia. Siada na łóżku. - Skąd wzięłaś barwiące cukierki?

Nie mogę powiedzieć mu prawdy, Gabriel mógłby wpaść w kłopoty.

- Od Rose.

- Lubiała cię.

Nie mam ochoty rozmawiać z nim o Rose. Noc dobiegła końca, a tym samym moja rola

pocieszycielki. W mroku nocy oboje byliśmy podatni na zranienie, ja ujawniłam skłonność do wybaczenia. W świetle dnia wszystko jest wyraźniejsze. Wciąż jestem więźniem Lindena.

Nie mogę sobie pozwolić na otwartą wrogość ani oziębłość. Muszę udawać, żeby zdobyć zaufanie swojego prześladowcy.

- Umiesz pływać? - pytam.

- Nie. A ty lubisz wodę?

W dzieciństwie rodzice zabierali mnie i brata na basen do pobliskiego klubu fitness. Nauczylismy się pływać, nurkować i skakać do wody. Od lat nie pływałam, po śmierci rodziców świat stał się niebezpiecznym miejscem. Najpierw spłonęło jedyne laboratorium w mieście, pozbawiając ludzi pracy i nadziei na pokonanie wirusa, a potem było już tylko gorzej. Z początku naukowcy wypowiadali się z optymizmem na temat badań nad opracowaniem szczepionki przeciwko wirusowi, jednak mijały lata i dziesięciolecia, a młodzi ludzie wciąż umierali. Wraz z nimi umierała nadzieja.

- Trochę.

- Koniecznie muszę cię zabrać na basen. Na pewno ci się spodoba.

Basen wygląda całkiem zwyczajnie, ale nie wszystko w świecie Lindena Ashby'ego jest takie, na jakie wygląda.

- Bardzo bym chciała pójść - odpowiadam szczerze. Byłaby to jakaś namiastka normalności.

Kątem oka widzę, że mnie obserwuje. Udaję zaabsorbowaną widokiem za oknem.

- A zechciałabyś przyjść i usiąść obok mnie?

Nie. Wcale nie chcę. W ogóle nie chcę tu być. Ciekawe, czy on zdaje sobie sprawę z nieuczciwej przewagi, jaką ma nade mną. Jeżeli okażę choćby cień obrzydzenia, nigdy w życiu nie opuszczę tego piętra. Nie mam wyboru.

Sięgam po tacę ze śniadaniem jak po tarczę, stawiam ją między nami na łóżku.

- Powinniśmy coś zjeść. - Unoszę srebrną pokrywę. Podano gofry z jagodami. Owoce mają intensywniejszy kolor niż te sprzedawane w nowojorskich warzywniakach. Rowan odradzałby mi jedzenie czegokolwiek o nienaturalnie jaskrawej barwie. Czyżby tak wyglądały jagody hodowane we własnym ogrodzie, zanim zaczęto je chemicznie modyfikować?

Linden uważnie przygląda się gofrowi. Znam to spojrzenie. Po śmierci rodziców patrzyłam na posiłki z podobnym niedowierzaniem i obojętnością. Jakby jedzenie przestało mieć jakikolwiek sens. Nie wiem czemu, ale podsuwam mu do ust jagodę. Nie mogę znieść wspomnienia tego rozdzierającego smutku.

Przyjmuje ją z zaskoczeniem, uśmiecha się lekko.

Gdy znów podaję mu owoc, chwytą mnie za nadgarstek. Nie jest to silny uchwyt, jakiego się spodziewałam. Przytrzymuje moją rękę delikatnie, aby mieć czas na połknięcie tego, co ma w ustach.

Jesteśmy małżeństwem od miesiąca, a ja po raz pierwszy dostrzegam w nim człowieka. Z ciemnymi obwódkami wokół oczu, przepełniony rozpaczą wydaje się bardziej ludzki. Miły i niegroźny.

- No, proszę. Wcale nie takie trudne. - Zabieram się do jedzenia. Jagody są słodsze niż te, których miałam okazję skosztować do tej pory. Wyjmuję Lindenowi z ręki gofra i przelamuję na połowę, po kawałku dla każdego.

Je małymi kęsami, wygląda, jakby przełykanie sprawiało mu ból. Nie rozmawiamy.

Po skończonym posiłku podaję mu szklankę soku pomarańczowego. Pije obojętnie i metodycznie, tak samo jak jadł, przymyka ciężkie powieki. Trochę cukru mu nie zaszkodzi, myślę.

Nie powinno mnie interesować jego samopoczucie. Ale przyda mu się odrobina glukozy.

- Rhine? - Do drzwi puka Cecily. - Nie śpisz już? Co to za słowo? Amniocenteza?

- Amniocenteza - składam w całość przeliterowane słowo.

- Aha. Wiedziałaś, że w ten sposób badają, czy dziecko jest zdrowe, zanim się urodzi?

Tak, wiedziałam. Moi rodzice pracowali w laboratorium genetycznym.

- To wspaniale.

- Wstawaj. Za moim oknem jest ptasie gniazdo, które chcę ci pokazać. Ze ślicznymi jajeczkami! - Zazwyczaj nie pała przesadną chęcią zobaczenia mnie, zauważyłam, że po prostu nie znosi zamkniętych przed nią drzwi.

- Przyjdę, gdy się ubiorę - obiecuję, chcę, żeby mi dała spokój. Odstawiam tacę na stolik, zastanawiając się, kiedy Linden wreszcie sobie pójdzie. Rozczesuję włosy i upinam je. Otwieram usta, żeby sprawdzić, czy wciąż mam zielony język. Nie.

Linden w zamyśleniu strzepuje z mankietu niewidoczny pyłek, po chwili wstaje z łóżka. Wychodzi z pokoju ze słowami:

- Przyślę kogoś, żeby zabrał tacę.

Przygotowuję sobie kąpiel z różową pianą, polubiłam ten musujący dotyk na skórze. Suszę włosy, ubieram się w dzinsy i sweter z delikatnej wełny, zrobiony przez nieocenioną Deirdre. Wychodzę na korytarz, ale nigdzie nie widzę Cecily.

- Poszła z Zarządcą Lindenem do ogrodu - dowiaduję się od Jenny, którą znajduję w bibliotece. Wydaje się być dziś w lepszym nastroju. Patrzy mi w oczy, kiedy mówię.

- Dlaczego tak go nazywasz? - pytam. Mistrz Vaughn powiedział nam podczas przyjęcia weselnego, że mamy się zwracać do niego, używając tytułu, jako do najważniejszej osoby w domu, natomiast do męża powinniśmy mówić po imieniu.

- Bo go nienawidzę. - W jej głosie nie ma emocji.

Rozglądałam się z niepokojem, czy nikt tego nie słyszał.

- Rozumiem. Ale uważam, że lepiej się z tym nie obnosić.

- Nie mam zamiaru udawać dla jakiejś nędznej namiastki wolności. Wolę umrzeć.

Patrzę na nią, ma podkrążone oczy, zapadnięte policzki. Parę tygodni wcześniej była śliczną panną młodą, od tego czasu wychudła i postarzała się o dziesięć lat. Pachnie mydłem cynamonowym oraz wymiocinami. Nosi ślubną obrączkę, taką jak ja. Razem tkwimy w tym piekle. Razem odbyliśmy podróż w ciemnej przyczepie ciężarówki. Jedna z dziewcząt, które kuliły się obok mnie na metalowej podłodze. Może ta, która krzyczała.

Odszukała w katalogu jakąś książkę, przeczytała bezgłośnie numer alejki i zamknęła szufladę.

Stoję tuż za nią, kiedy zdejmuję z półki zakurzony tom o pożółkłych stronicach. Wszystkie książki w czytelnicy pochodzą z dwudziestego pierwszego wieku lub z jeszcze wcześniejszego okresu. Dziwne. W telewizji wyświetlają stare filmy i programy. Ludzie uciekają od rzeczywistości w czasy, gdy żyło się dłużej. Co było kiedyś naturalne i zwyczajne, dziś weszło do gatunku fantastyki.

- Same romanse - stwierdza ze śmiechem, który przypomina szloch. - Kochankowie albo żyją długo i szczęśliwie, albo umierają. Chyba nie ma nic pośrodku.

Wpatruje się w otwartą książkę zażawionymi oczami. Wygląda, jakby miała się rozpłakać, ale opanowuje emocje.

Czytelnia pachnie starym papierem, stęchlizną i czymś jeszcze, mgliście znajomym. Taki zapach miała ziemia w naszym ogródku, kiedy zakopywałam z bratem kosztowności. Jenna, w przeciwieństwie do wychowanej w sierocińcu Cecily, nie dostrzega nic nobilitującego w byciu żoną właściciela majątku. Ona, podobnie jak ja, straciła coś cennego.

Chciałabym powiedzieć jej o swoich planach ucieczki, lecz nie wiem, czy jest godna zaufania. Wygląda na zrezygnowaną, jakby myśl o wydostaniu się stąd nigdy nie przyszła jej do głowy.

A jeśli mnie zdradzi? Moje rozterki przerywa wejście Cecily, dziewczyna prycha

pogardliwie, po czym siada ciężko na krześle przy stoliku.

- Co za strata czasu - burczy. - Kompletna strata czasu! - dodaje głośniejszym głosem, na wypadek gdybyśmy nie usłyszały.

Zaraz za nią wchodzi Gabriel z herbatą i cytryną na srebrnej tacce. Cecily natychmiast sięga po filiżankę, podstawia ją Gabrielowi do napełnienia. Siadam naprzeciwko niej, Jenna dołącza do nas, nie przerywając czytania, bierze plasterki cytryny.

- Linden zaprosił mnie na spacer po ogrodzie - podejmuje Cecily, popijając herbatę. - Gorzka i bez mleka - mówi z pretensją, marszcząc nos. Gabriel odpowiada, że zaraz przyniesie mleko i cukier. - No więc - wraca do przerwanej wątku - miałam nadzieję, że wreszcie zaczniesz zachowywać się jak przystało na męża. Najwyższy czas, no nie? A on tylko pokazał mi jakieś coś do podtrzymywania słoneczników sprowadzone sto lat temu z Europy i zaczął bredzić o Gwieździe Polarnej, o tym, jak stary jest wszechświat i jak podróżnicy odnajdują drogę do domu. Porażka! Nawet mnie nie próbował pocałować.

Wracam pamięcią do poranka spędzonego z Lindenem w tym samym ogrodzie. Opowiadał o japońskich rybkach i dawnych czasach. Podobnie jak Rose lubi błądzić daleko myślami. To ich do siebie zbliżyło? A może dorastając w złotej klatce, nauczyli się uciekać z niej w marzenia?

Ja radzę sobie w podobny sposób. Odpływam we wspomnienia. Pocieszają mnie duchy przeszłości. Odczuwam coś w rodzaju niechętnego zrozumienia. Nie chcę rozumieć Lindena Ashby'ego, chcę, żeby był mi zupełnie obojętny.

Jenna wysysa miąższ cytryn i odkłada skórki na stół. Mechanicznie przewraca strony, ona znajduje ucieczkę w czytaniu.

- Mnie nawet nie tknie, a ciebie pocałował - odzywa się oskarżycielsko Cecily.

- Słucham?

Kiwa głową, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. Brązowe oczy rozszerzają się z ekscytacji.

- Widziałam, jak wychodził dziś rano z twojego pokoju. Wiem, że spędziliście razem noc.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć.

- Sądziłam, że to, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami sypialni, to prywatna sprawa.

- Nie bądź pruderyjna. - Cecily macha ręką. - Skonsumowaliście małżeństwo? Jak było?

Na pewno cudownie.

Gabriel stawia na stole dzbanuszek mleka, Cecily bierze z jego rąk cukiernicę, wsypuje

do filiżanki niemal połowę jej zawartości. Słyszę, jak ziarenka cukru zgrzytają jej między zębami, kiedy upija kolejny łyk. Jasne, czeka na moją odpowiedź. Gabriel chrząka, zbierając się do odejścia, Jenna głośno ssie cytrynę.

Na policzki wypływa mi fala gorąca. Nie wiem, czy to rumieniec wstydu czy gniewu.

- Nie twój zasmarkany interes - ucinam.

Jenna podnosi zaciekawiony i rozbawiony wzrok znad książki. Cecily uśmiecha się szeroko i wciąż zasypuje mnie coraz bardziej osobistymi pytaniami. Nie mogę na nią patrzeć, nie mogę znieść widoku tych dziewczyn, one rozumieją mnie mniej niż Linden. Co je obchodzi Gwiazda Polarna? Jedna zagrzebała się po uszy w starych powieściach, druga jest zachwycona rolą niewolnicy. W niczym ich nie przypominam. Czym prędzej wybiegam z pokoju.

Zapach stęchlizny przechodzi w korzenny aromat kadzideł palących się w holu.

- Zaczekaj! - Biegnę zdyszana do windy za Gabrielem. Chłopak naciska guzik, zjeżdżamy na dół.

- Wreszcie ktoś cię przyłapie - ostrzega dość niefrasobliwie.

- Już nie wytrzymuję. - Z trudem chwytam oddech, widzę wszystko jak przez mgłę. - Nienawidzę tego miejsca. Ja... - Głos mi się rwie. Zaraz się rozplączę. Najpierw byłam zbyt oszołomiona, a potem za bardzo wściekła, by móc się wyplakać. Teraz wreszcie nadszedł właściwy moment, Gabriel podaje mi chusteczkę.

Drzwi windy rozsuwają się, wpuszczając do środka kuchenne hałasy i zapachy. Gabriel naciska guzik, żeby je zamknąć.

- Chcesz pogadać? - pyta.

- A nie musisz wracać do pracy? - Wydmuchuję nos. Staram się usilnie zachować resztki godności, ale przychodzi mi to z trudem. Zasmarkana chustka nie nadaje się już do otarcia wciąż napływających łez.

- Nie, wszyscy pomyślą, że kaprysy Cecily zatrzymały mnie na górze. - Arogancka mała Cecily jest kandydatką na następczynię Rose jako najmniej lubiana przez służbę żona Lindena.

Siadamy po turecku na zniszczonym, lecz czystym dywanie, potrzebuję jeszcze chwili, żeby przestać łkać i móc mówić, Gabriel czeka cierpliwie.

W windzie jest miło. Bordowe ściany z wiktoriańskimi motywami kojarzą mi się ze starą kapą na łóżku rodziców. Powraca dawno zapomniane poczucie bezpieczeństwa. Jednocześnie w tyle głowy pojawia się obawa, że ściany windy mają uszy - lada moment z ukrytych głośników rozlegnie się głos Mistrza Vaughna karcący Gabriela za spoufalanie się ze mną. Jednak nic takiego się nie dzieje, a mnie jest już wszystko jedno.

- Mam brata - mówię tytułem wstępu. - Ma na imię Rowan. Rodzice nie żyją od czterech lat. Po ich śmierci przestaliśmy chodzić do szkoły, musieliśmy zacząć zarabiać. Rowan bez trudu najmował się do dobrze płatnych prac w fabrykach, ale ja właściwie nic nie umiem, poza tym nie powinnam sama wychodzić. To niebezpieczne. Trzymaliśmy się razem, pracowałam za grosze w telemarketingu. Jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, ale żyliśmy na niższym poziomie niż ten, do którego przywykliśmy. Chciałam zrobić coś więcej. Parę tygodni temu znalazłam ogłoszenie w gazecie. Laboratorium przeprowadza badania, oferuje pieniądze za szpik kostny. - Wpatruję się przez łyżę w chusteczkę, którą nerwowo gniotę w dłoniach. W rogu ma wyhaftowany purpurowy kwiat z mnóstwem wąskich płatków, nigdy takiego nie widziałam. Nagle staje się jeszcze bardziej zamazany, widzę go podwójnie. Potrząsam głową, żeby uspokoić myśli.

- Zdałam sobie sprawę, że to pułapka, gdy tylko weszłam do środka i zobaczyłam dziewczyny. Walczyłam. - Odruchowo zaciskam dłonie w pięści. - Drapałam, gryzłam, kopałam. Wszystko na nic. Zapędzili nas do ciężarówki jak bydło. Nie mam pojęcia, ile trwała podróż. Kilka, może kilkanaście godzin. Co jakiś czas zatrzymywali samochód i przybywało dziewcząt. To było straszne.

Pochłaniająca wszystko ciemność. Brak ścian, sufitu, podłogi. Tylko czerń. To tak jakbym była martwa. Słyszałam oddech współtowarzyszek podróży, obok siebie, nad sobą, w sobie, to stanowiło wtedy cały mój świat. Powietrze chwytane haustami, urywany z przerażenia oddech. Bałam się, że oszaleję. Być może tak właśnie się stało, gdyż nagle podskakuję, słysząc głośny huk, wystrzał z broni któregoś Kolekcjonera. Wokół mnie latają iskry.

Gabriel unosi głowę, światła w windzie zaczynają migotać. Rozlega się huk, ale tym razem nie przypomina wystrzału z pistoletu. Kabina windy popada w drganie, rozsuwają się drzwi, chłopak pomaga mi wstać i wyciąga na korytarz. To nie jest kuchenne piętro. Ciemny hol pachnie środkami dezynfekującymi. Jarzeniówki na suficie usiłują rozbłysnąć, biegniemy po lustrzanych płytkach.

- Chyba zjechaliśmy na dół.

- Co? Dlaczego? - Jestem zdezorientowana.

- Burza. Windy są zaprogramowane, żeby zjeżdżać do piwnicy w razie zagrożenia.

- Burza? Przed minutą świeciło słońce - zauważam. W moim głosie nie ma strachu. Nie ma również płacznego tonu, została tylko lekka czkawka.

- Na wybrzeżu burze są codziennością. Czasami rozpętują się zupełnie zniecka. Nie martw się. Gdyby to był huragan, usłyszelibyśmy alarm. Silny wiatr może zakłócić pracę

przewodów elektrycznych i ściągnąć windę na dół. Zdarza się.

Huragan. Widziałam w telewizji trąby powietrzne porywające całe domy. Przeważnie niszczą zabudowania, czasem powalają płoty i wyrrywają drzewa, zmiatają przerażonych ludzi z powierzchni ziemi. Wyobrażam sobie rezydencję rozrywaną na strzępy przez gniewny podmuch. Czy zdołałabym uciec?

- Jesteśmy w piwnicy? - upewniam się.

- Tak mi się wydaje. Nigdy tu nie byłem. Znam tylko część ze schronem. Bez zgody Mistrza Vaughna nie wolno chodzić po piwnicach. - Jest zdenerwowany. Wiem, boi się Vaughna. Nie mogę znieść myśli, że przeze mnie znów zostanie dotkliwie pobity.

- Wracajmy, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Kiwa głową. Winda nie chce się otworzyć. Gabriel przesuwą kartą przez czytnik kilka razy, bez skutku.

- Nic z tego. Odjechała. Wróci, ale spróbujmy znaleźć inną.

Przemierzamy korytarz w mdłym świetle syczących jarzeniówek. Główny hol otwiera się na wąskie ciemne korytarzyki pełne zamkniętych drzwi, nie chcę wiedzieć, co się kryje w mrocznych zaułkach i pomieszczeniach. Nie podoba mi się to piętro. Kojarzy się z metalowym wnętrzem ciężarówki, zamordowanymi dziewczynami, Kolekcjonerem przysuwającym ostrze noża do mojej szyi. Ręce zaczynają mi się pocić ze strachu. Nagle uświadamiam sobie, że byłam tutaj na dzień przed ślubem, Deirdre przyprowadziła mnie do lekarza, zostałam pozbawiona przytomności zastrzykiem.

Dostaję gęsiej skórki, trzeba się stąd czym prędzej wydostać.

- Jeśli chodzi o to, co mi mówiłaś. - Gabriel nie patrzy na mnie i nie zwalnia kroku. - Bardzo ci współczuję, to straszne. Rozumiem, dlaczego nie znosisz tego miejsca.

No pewnie, że rozumie.

- Mistrz Vaughn pobił cię dlatego, że wyszłam ze swojego pokoju?

- Nie powinnaś być w nim zamknięta.

Pragnę lepiej poznać tego błękitnookiego chłopaka o brązowych włosach, w którym od pierwszej chwili widziałam kandydata na przyjaciela. Cieszę się, że wreszcie mamy okazję porozmawiać o ważniejszych rzeczach, niż co będzie na obiad, co czytam i czy chcę herbatę z cytryną (nie lubię herbaty z cytryną).

Mam ochotę dowiedzieć się o nim czegoś, opowiadać mu o sobie. O tym, jaka jestem naprawdę. Jaka byłam kiedyś. Mieszkałam w niebezpiecznym miejscu, lecz czułam się wolna i cieszyłam ze swobody. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Gabriel łapie mnie nagle za

ramię i ciągnie w stronę ściany. Ktoś się zbliża. Rozpaczliwie usiłujemy wtopić się w ścianę. Głosy stają się wyraźniejsze, rozróżniam słowa.

- ...oczywiście, że kremacja nie wchodzi w rachubę...
- Szkoda takiej pięknej dziewczyny. - Westchnienie.
- Cel uświęca środki. Jeśli dzięki temu uda się ocalić wiele istnień...

Głosy brzmią obco. Nawet jeśli spędzę tu resztę życia, pewnie nigdy nie poznam wszystkich służących ani nie zajrzę do każdego pokoju. Jednak ci ludzie nie są ubrani jak służba. Mają na sobie białe kombinezony z kapturami, twarze zakryte plastikowymi tarczami. Moi rodzice nosili takie stroje do pracy. Dla ochrony przed zagrożeniami biologicznymi. Prowadzą przed sobą wózek.

Gabriel ściska mnie za nadgarstek, nie rozumiem dlaczego. Aż do momentu, kiedy wózek podjeżdża blisko i mogę dostrzec, co się na nim znajduje.

Ciało przykryte białym prześcieradłem, spod którego wystają jasne długie włosy Rose oraz biała dłoń o pomalowanych na różowo paznokciach.

Wstrzymuję oddech, kiedy nas mijają. Chrząst gumowych podeszew na płytkach, skrzypienie wózka, wieczność. Jeszcze chwilę po ich zniknięciu za rogiem pozostajemy w całkowitej ciszy, wreszcie łapczywie chwytam oddech, jakbym wynurzała się na powierzchnię spod wody.

- Gdzie oni ją zabierają?

Gabriel kręci ze smutkiem głową.

- Pewnie Mistrz Vaughn zechce przeprowadzić sekcję w nadziei, że to posunie naprzód badania, które prowadzi od lat.

- Ale... To przecież Rose.

- Wiem.

- Linden nigdy by się na to nie zgodził.

- Może i nie. Nie możemy mu powiedzieć. Nic nie widzieliśmy. Nie było nas tu.

Wracamy windą na górę. Z kuchni dobiega kakofonia dźwięków: szcęk garnków i talerzy, wrzask szefowej kuchni, wymyśla komuś od śmierdzących leni, gromki śmiech. Personel kuchenny nie ma pojęcia, że tuż pod ich stopami znenawidzona Rose odbywa swoją ostatnią podróż zimnymi korytarzami.

- Hej, blondi przyszła! - woła kucharka. Wygląda, że ten przydomek przylgnął do mnie na stałe. Nikt tutaj nie ma nic przeciwko mojej obecności. Gabriel mówi, że to dlatego, iż nie wydaję im poleceń i nie rozstawiam po kątach, w przeciwieństwie do ostatniej żony Lindena oraz rozpuszczonego bachora (jak nazywają Cecily). - Co ci się stało, blondi? Jesteś czerwona jak burak.

Dotykam opuchniętych oczu, zdążyłam już zapomnieć, że płakałam, jakby to było dawno temu.

- Mam uczulenie na skorupiaki. - Upycham mokrą chusteczkę w kieszeni. - Smród dotarł aż na moje piętro, cała od tego spuchłam. Chcecie mnie zabić czy co?

- Nalegała, żeby tu przyjść i poskarżyć się osobiście - dodał Gabriel tonem usprawiedliwienia.

Udaję zdegustowaną, a tak naprawdę ślinka mi cieknie od zapachu homara, który kojarzy mi się z domem.

- Mamy większe problemy niż twoje zachcianki kulinarne - stwierdza szefowa kuchni. Odgarnia z twarzy kosmyk przepoconych włosów i znacząco spogląda przez okno na niebo o niezwykłym zielonkawym odcieniu. Błyskawica przecina chmury. Niecałą godzinę wcześniej świeciło słońce i śpiewały ptaki.

Ktoś częstuje mnie truskawkami z tekturowego pudełka.

- Świeża dostawa, przywieźli dziś rano. - Biorę garść, Gabriel także, podchodzimy do okna.

Truskawki, podobnie jak jagody, mają wyjątkowo intensywny kolor. Są soczyste i słodkie. Małe pestki wchodzą mi między zęby.

- Coś wcześniej w tym roku - zauważa Gabriel.

- Zapowiada się potężna burza. - Kucharz zagląda do piekarnika. - Może nawet trójka.

- Co to znaczy? - pytam, wkładając do ust truskawkę.

- To znaczy, że trzy białogłowy zostaną wtrącone do lochu - syczy złowieszczo szefowa kuchni. Wierzę jej, aż do momentu, kiedy parska śmiechem i szturcha mnie żartobliwie w ramię. - Jeśli będzie naprawdę mocno wiało, przeczekacie burzę w schronie. Nie martw się, blondi. Na pewno jest luksusowo wyposażony, a my będziemy wam tu na górze gotować różne przysmaki.

- Pracujecie podczas burzy?

- No jasne, chyba że nie ma prądu.

- Bez obaw - wtrąca Gabriel. - Nie zdmuchnie domu. - Śmieje się kpiąco, jakby podejrzewał, że miałam nadzieję na coś przeciwnego. Patrzę mu w oczy, po raz pierwszy uśmiechamy się do siebie naprawdę szczerze.

Do windy wsiadamy jednak w ponurych nastrojach. Między nami stoi wózek z obiadem: homar dla Jenny i Cecily, dla mnie pieczony kurczak (nakłamałam o alergii). Milczymy. Odganiam natrętny obraz białej ręki Rose wystającej spod prześcieradła, obsesyjnie pojawia się w wyobraźni. Ta ręka jeszcze niedawno dotykała moich włosów, zaplatała je w warkocz. Myślę o smutnych oczach Lindena. Jak on by się czuł, wiedząc, że jego ukochana od niepamiętnych czasów, dziewczynka, która karmiła konie kostkami cukru w gaju pomarańczowym, zostanie pokrojona na kawałki?

Nie jem obiadu. Przygotowuję sobie kąpiel z pianą. Zanurzam w wodzie chusteczkę, rozpościeram ją. Próbuję sobie wyobrazić inne miejsce, inny czas, kiedy kwiaty wyglądały jak ten wyhaftowany na płótnie. Piękny, groźny, o ostrych krawędziach, cudowny. Kwitnie na liściu jak lilia. Zapamiętuję szczegóły, żeby odszukać potem nazwę kwiatu w bibliotece.

Najbardziej podobny wydaje mi się kwiat lotosu, rósł na wschodzie, wywodzi się prawdopodobnie z kraju o nazwie Chiny. Mało o nim piszą w atlasie botanicznym, więcej znajduję na temat bardziej popularnych lili wodnych. Ale to nie to samo. Po godzinach szperania zrezygnowałam z poszukiwań dokładnego odpowiednika.

Służba bierze chusteczki ze specjalnego pojemnika. Gabriel nie wie, kto je zamawia i skąd, ale mogę zatrzymać tę, którą mi dał.

Przynosi mi śniadanie wcześniej rano, zanim obudzą się inne żony. Zawsze chowa gdzieś cukierki: w zwiniętej serwetce, pod talerzem, między naleśnikami. Układa wieże i statki z truskawek. Zostawia tacę na nocnym stoliku, czasem czuję jego obecność we śnie. Ogarnia mnie wtedy ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Otwieram oczy, widzę srebrną tacę, wiem, że był. Jeśli już nie śpię, rozmawiamy szeptem, nie włączając światła. Gabriel jest sierotą, odkąd sięga pamięcią, Mistrz Vaughn kupił go na aukcji, dziewięcioletniego chłopca.

- To tylko strasznie brzmi - zapewnia. - W sierocińcu uczą gotować, szyć, sprzątać. Zakładają coś w rodzaju teczek, z którą zapoznają się nabywcy. Tak trafili tutaj Deirdre, Elle i Adair.

- Nic nie wiesz o swoich rodzicach?

- Prawie nie pamiętam świata poza tymi murami. - Serce mi się kraje, kiedy słyszę te słowa.

Nikt stąd nie wychodzi. Wszystko jest dostarczane na miejsce przez kurierów: jedzenie, tkaniny, wszelkie potrzebne rzeczy. Służba nie chodzi do sklepów. Przemieszczają się jedynie kierowcy, Mistrz Vaughn oraz Linden, rzadko, gdy ma na to ochotę. W telewizji widywałam Zarządców z pierwszymi żonami na przyjęciach, ale od Gabriela dowiaduję się, iż Linden nie lubi spotkań towarzyskich. Jest odludkiem. Zresztą, mieszkając w tak ogromnej posiadłości, zawsze można sobie znaleźć jakieś zajęcie na miejscu. Nie tracę jednak nadziei. Zabierał przecież Rose na bankiety, a ona wspomniała, że jeśli Linden mnie polubi, pójdziemy dokądkolwiek zechcemy.

- Nie tęsknisz czasem za wolnością? - zagaduję.

- W sierocińcu nie miałem jej więcej niż tutaj. - Śmieje się. - Brakuje mi tylko plaży, którą widziałem z okna sypialni. Czasem pozwalali nam wychodzić, lubiłem obserwować statki. Chyba chciałbym być marynarzem, gdybym mógł wybierać. Albo pracować w stoczni. Nigdy nawet nie byłem na rybach.

- Mnie brat nauczył łowić ryby - mówię. - Siedzieliśmy na betonowym murku i kiedy ryba złapała przynętę, zaczynała ciągnąć, Rowan przejął ode mnie wędkę, pokazał, co trzeba

zrobić. Z wody wynurzyła się srebrna kropla mięśni o szeroko otwartych oczach. Odczepiłam rybę z haczyka, wyślizgnęła mi się z rąk i z głośnym pluskiem wpadła z powrotem do wody. Popłynęła do ruin Europy, żeby przekazać ode mnie pozdrowienia.

Gabriel uważnie słucha moich nieskładnych opowieści, na koniec cicho się śmieje, a ja mu wtóruję.

- Zjadłaś kiedyś coś z tego, co udało ci się złowić?

- Nie. Żeby złapać coś jadalnego, trzeba wypłynąć łodzią dalej od brzegu. Im bliżej lądu, tym bardziej zanieczyszczona woda. Robiliśmy to tylko dla zabawy.

- Fajnie.

- No, nie wiem. - Wzdragam się na wspomnienie dotyku obślizgłych łusek i spojrzenia przekrwionych rybich oczu. Rowan twierdził, że jestem najgorszym wędkarzem na świecie, gdybyśmy potrzebowali ryb jako głównego źródła pożywienia i miałby liczyć na moje połowy, umarlibyśmy z głodu. - Mnie się wydawało trochę obrzydliwe, ale Rowan bardzo lubił wędkować.

Tęsknota za domem jest łatwiejsza do zniesienia, kiedy mam obok siebie Gabriela. Wiem, że na tacy ze śniadaniem znajdę ukryty cukierek.

Linden nie zwraca na nas uwagi w dzień, ale wieczorami jadamy razem kolację. Opowiada nam o badaniach ojca, podobno naukowcy i lekarze wierzą, iż są coraz bliżej opracowania formuły antidotum. Mistrz Vaughn wybiera się do Seattle na konferencję, badacze wymienią się doświadczeniami, przedstawiając wyniki badań. W duchu zadaję sobie pytanie, czy w opisie badań Vaughna znajduje się raport z sekcji zwłok Rose. Figuruje w nim pewnie jako Pacjentka A albo Obiekt X. Ciekawe, czy ma pomalowane paznokcie. Cecily chłonie każde słowo wypowiedane przez męża. Jenna patrzy na niego z odrazą, ale przynajmniej zaczęła jeść. Mnie coraz łatwiej przychodzi udawanie zainteresowania Lindenem oraz tym, co ma do powiedzenia. Z powodu częstych przelotnych burz - w piękne słoneczne popołudnie potrafi nagle spaść gwałtowny deszcz - są problemy z elektrycznością.

Pewnego wieczoru Linden pojawił się na kolacji w niezwykle pogodnym nastroju i oświadczył, że powinniśmy uczcić zbliżającą się dwumiesięcznicę naszego małżeństwa. Najlepsze jego zdaniem będzie huczne przyjęcie z mnóstwem kolorowych lampionów i orkiestrą na żywo. Pozwoli nam zdecydować, w którym ogrodzie je wyprawimy.

- Może w gaju pomarańczowym? - proponuję.

Służący, wśród nich Gabriel, bledną i mają strach w oczach. Wiedzą, że poruszyłam

delikatną strunę. Gaj pomarańczowy był ulubionym miejscem Rose. Tam wzięła ślub i po raz pierwszy pocałowała Lindena. Tam Linden znalazł dziewczynę nieprzytomną, z sinymi ustami, tydzień po jej dwudziestych urodzinach. Po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z nieuchronnością śmierci i własną bezsilnością. Żadne lekarstwa na świecie nie mogły przedłużyć życia Rose o więcej niż kilka ulotnych miesięcy.

Przyjęcie w gaju pomarańczowym. Na twarzy Lindena natychmiast pojawił się grymas bólu. Jestem bezlitosna. I tak nie mogę mu odpłacić za cierpienie, jakiego mi przysporzył.

- Tak! - woła radośnie nieświadoma niczego Cecily. - Nigdy tam nawet nie byłam, Lindenie!

- Nad basenem byłoby przyjemniej - sugeruje nieśmiało Linden. Ociera usta serwetką, odkłada ją na stół. - Można popływać, jeśli pogoda dopisze.

- My miałyśmy wybierać - przypomina Jenna, odzywając się do niego po raz pierwszy. Wszystkie oczy zwracają się ku niej. Zerka najpierw na mnie, potem na Lindena, bierze do ust kęs mięsa. - Głosuję na gaj pomarańczowy.

- Ja też.

Kiwam głową.

- A zatem decyzja jest jednomyślna. - Linden wpatruje się w łyżkę.

Reszta wieczoru przebiega w milczeniu. Po kolacji dostajemy deser i herbatę. Mąż oświadcza, że boli go głowa, musi pobyć sam z własnymi myślami, odprawia nas.

- Niezłe z ciebie ziółko - szepcze mi do ucha Gabriel, kiedy odprowadza nas do windy. Posyłam mu uśmiech, nim drzwi windy nas rozdziela.

Wracam prosto do swojego pokoju, kładę się na łóżku. Ssąc niebieski cukierek, myślę o falach Atlantyku pod naszymi bosymi stopami, kiedy siedzieliśmy z Rowanem na betonowym murku oddzielającym wodę od lądu. Wpatrywałam się w prom na horyzoncie, bezpieczna w swoim małym kawałku świata, szczęśliwa, że żyję, choćby miało to krótko trwać. Po śmierci chciałabym zostać skremowana i wrzucona do oceanu. Moje prochy osiadną na ruinach Aten, popłyną do Nigerii, będą się unosić wśród ryb i zatopionych statków. Od czasu do czasu zajrzę na Manhattan, odetchnąć tamtejszym powietrzem, sprawdzić, jak się miewa mój brat bliźniak.

Rowan nie lubił rozmawiać o śmierci. O tym, co się stanie za cztery lata, kiedy ja odejdę, a przed nim zostanie jeszcze pięć lat życia. Oby był cały i zdrowy, może niebawem uda mi się przynajmniej przekazać mu wiadomość, że żyję. Ogarnia mnie czarna rozpacz na myśl, iż być może moje ciało trafi na stół laboratoryjny Mistrza Vaughna, a brat nigdy się nie dowie, co mnie spotkało.

Choćby z tego powodu nie mam zamiaru litować się nad cierpiącym Lindenem i jego zranionymi uczuciami.

Trudno mi zachować poczucie czasu, wszystkie dni są do siebie podobne, jestem więźniem. Nigdy nie rozstawałam się na tak długo z Rowanem. Od wczesnego dzieciństwa rodzice mówili nam, żebyśmy trzymali się razem. Razem chodziliśmy do szkoły, przytulając się do siebie, kiedy dostrzegaliśmy jakiś podejrzany cień. Odprowadzaliśmy się nawzajem do pracy, dotrzyśmy sobie towarzystwa nocą w ciemnym domu po śmierci rodziców. Ani jednego dnia nie spędziliśmy oddzielnie.

Sądziłam, że jako bliźnięta łączy nas niewidzialna nić, że wciąż powinnam słyszeć jego głos, tak jakby dochodził z sąsiedniego pokoju.

- Rowan - odzywam się szeptem. Nic. Chyba łącząca nas więź została uszkodzona. - Żyję. Nie zostawiaj mnie.

Jakby w odpowiedzi rozlega się ciche pukanie do drzwi. Cecily odezwałaby się od razu, Deirdre nie puka, a Gabriel nie przychodzi o tej porze.

- Kto tam?

- Mogę wejść? - Jenna uchyla drzwi.

Nie wstaję z łóżka, kiwam głową. Na wargach dziewczyny igra cień uśmiechu, siada na brzegu materaca.

- Dlaczego Zarządca popatrzył na ciebie jakoś dziwnie, kiedy wspomniałaś o gaju pomarańczowym?

Instynkt każe mi zachować czujność i nie ufać smutnej oblubienicy, lecz desperacja nakazuje zaryzykować wypłynięcie na niepewne wody. Jenna wydaje się wystraszona i nieszkodliwa. Chciałabym mieć w niej powiernicę, sprzymierzeńca.

- Chodzi o Rose - wyjaśniam. - To było jej ulubione miejsce, tam się w sobie zakochali. Linden nie znosi przebywać w gaju pomarańczowym, odkąd zachorowała.

- Poważnie? Skąd wiesz?

- Od Rose. - Odsuwam pokusę, by dodać, że dowiedziałam się od niej dużo ciekawych rzeczy na temat naszego męża. Świadomość niektórych jego słabości wolę zachować dla siebie. Na przykład, że jako dziecko przeszedł poważną chorobę, na skutek której stracił kilka zębów. Na ich miejsce wstawiono złote implanty. Dzięki takim szczegółom wydaje mi się mniej zagrażający. Wierzę, że zdołam go pokonać, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

- Dlatego tak posmutniał. - Jenna zdejmuję nitkę ze swojej białej koszuli nocnej.

- Chciałam mu zrobić przykrość, zranić go tak, jak on zranił mnie. Nawet chyba nie

zdaje sobie sprawy, co nam zrobił. I że nie miał prawa.

Kąciki warg Jenny drżą, jakby miała wybuchnąć śmiechem. Jednak jej oczy wypełniają się łzami.

- Moje siostry były razem ze mną w tej ciężarówce - wyznaje łamiącym się głosem. Wybuchła płaczem.

Jest blada jak ściana, a ja mam gęsią skórkę. W pokoju robi się nagle zimno, ogrom tego koszmaru przerasta moje możliwości pojmowania. W tym pięknym domu pełnym wonnych zapachów, otoczonym słonecznymi ogrodami dzieją się coraz straszniejsze rzeczy. Myślę o odgłosach strzałów, prześladują mnie, odkąd je usłyszałam. Ile z nich zabiło siostry Jenny i które? Pierwszy? Piąty? Szósty?

Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa.

- Zauważyłam, że twoja wzmianka o gaju pomarańczowym zraniła go, choć nie wiedziałam czemu. - Łka, ocierając nos rękawem. - Ucieszyłam się z jego smutku i dlatego ciebie poparłam. On nie ma pojęcia, co zrobił, prawda?

- Nie - podaję jej chusteczkę, którą dostałam od Gabriela. Kręci głową, odmawiając jej przyjęcia. Nienawidzi tego miejsca tak bardzo, że najchętniej nie dotykałaby niczego, co się tu znajduje.

- Mam przed sobą zaledwie dwa lata życia. Straciłam wszystko, jestem tu uwięziona, ale prędzej pozwolę się zabić, niż zapłodnić. Nie dostanie mnie.

Wyobrażam sobie jej zimne sztywne ciało wiezione na wózku przez piwniczne korytarze podziemnego laboratorium i Mistrza Vaughna rozczłonkującego zwłoki swoich synowych, jedna po drugiej.

Doskonale rozumiem jej wściekłość, nie wiem, co powiedzieć. Potrafię bardzo dobrze kłamać, lecz kłamstwa mi nie pomogą w tej sytuacji. Jenna nie ma złudzeń co do swojej przyszłości, wie, że już nic nigdy nie będzie w porządku. Czyżbym oszukiwała samą siebie, karmiąc się nadzieją ucieczki?

- A gdybyś miała szansę uciec?

- Niby dokąd? - prychna przez łyzy i wzrusza ramionami. - Nie, wolę odejść z hukiem. - Prostuje się na chwilę dumnie, po czym ociera nos obszernym rękawem koszuli nocnej i znów wygląda na pokonaną. Przypomina ducha, zarys pięknej dziewczyny. W jej oczach tlą się ostatnie isierki życia. - Naprawdę spędziłaś z nim noc? - W jej pytaniu nie ma śladu natarczywości ani wulgarności. Po prostu jest ciekawa.

- Spał u mnie po śmierci Rose. Tylko spał, do niczego nie doszło.

Kiwa głową, głośno przełyka ślinę. Lekko podskakuje, kiedy dotykam jej ramienia, ale nie odsuwa się.

- Bardzo mi przykro - mówię. - Linden to zły człowiek, a ten dom jest okropnym miejscem. Chyba tylko Cecily tu się podoba.

- Jeszcze zmądrzeje. Czyta Kamasutrę i poradniki na temat ciąży, lecz tak naprawdę nie ma o niczym pojęcia.

Przyznaję jej rację. Cicha jak zjawy Jenna okazała się uważnym obserwatorem.

Powoli się uspokaja, podaje jej szklankę wody.

- Dziękuję. Za to, że próbujesz walczyć. Naprawdę mu dopiekłaś podczas kolacji.

- Dzięki za wsparcie. - Wydaje mi się, że tuż przed wyjściem na jej wargach pojawia się cień uśmiechu.

W nocy męczą mnie koszmary o smutnookich nastolatkach, wybuchających ciężarówkach, które przeobrażają się w chmary motyli, zablokowanych oknach. I wszędzie te dziewczyny, spadają z drzew jak płatki kwiatów i pękają na połowy z głośnym hukiem.

Kiedy zapadam w jeszcze głębszy sen, nie słyszę już żadnych dźwięków, widzę wszystko jak za mgłą, a potem biel i chirurgiczne rękawice. W powietrzu unosi się zapach rozkładu. Ubrany w ochronny kombinezon Mistrz Vaughn unosi prześcieradło z mojej twarzy. Na próżno próbuję wydobyć krzyk z martwego gardła, wpatruję się w przestrzeń szeroko otwartymi nieruchomymi oczami. Przybliża skalpel do mojej skóry.

- Rhine - słyszę czyjś głos.

- Rhine.

Budzę się roztrzęsiona. Serce łomocze mi jak oszalałe, żyję. W mroku wczesnego poranka dostrzegam błękitne oczy Gabriela. Wypowiadam jego imię. Stawia srebrną tacę na szafce.

- Rzuciłaś się przez sen. Co się dzieje?

- Śniło mi się, że byłam uwięziona w tej okropnej piwnicy. - Przesuwam dłonią po mokrym od potu czole, siadam i włączam lampkę nocną. Światło razi mnie w oczy, mrugam, żeby wyraźniej widzieć Gabriela; siedzi na brzegu łóżka, gdzie parę godzin wcześniej siedziała Jenna, opowiadając mi o swoim koszmarze.

- To straszne, co tam widzieliśmy.

- Ale widziałeś gorsze rzeczy.

Kiwa ponuro głową.

- Na przykład jakie?

- Rose urodziła rok temu dziecko. Nie przeżyło, chyba pępowina owineła mu się wokół szyi. Rozrzucili prochy w gaju pomarańczowym, a ja zastanawiam się, czy to na pewno były prochy tego noworodka. Za każdym razem, kiedy ktoś umiera, nie jestem pewien, co się z nim dzieje. Nigdy nie widziałem żadnego cmentarza. Zostają tylko prochy albo w ogóle nic.

Nie wiedziałam, że Rose miała dziecko i że jego (albo nie jego) prochy zostały rozrzucone w gaju pomarańczowym.

- Muszę się stąd wydostać, Gabriel. - Nie ukrywam, że się boję.

- Mieszkam tu od dziewięciu lat. Pół życia. Nie myślę nawet o świecie za murami.

- Ale on istnieje. Istnieje ocean, porty pełne statków, ludzie uprawiający jogging na chodnikach, lampy, które zapalają się wieczorami. Cmentarze z wrytymi na płytach nagrobnych nazwiskami. Prawdziwy świat, tutaj żyjemy jakąś fikcją.

Rozumiem Gabriela. Sama już zaczynam zapominać o istnieniu tych rzeczy.

Przyjęcie będzie, zgodnie z naszym życzeniem, w gaju pomarańczowym. Cecily godzinami zamęcza biedną Elle szczegółami dotyczącymi stroju i makijażu. Co chwila każe sobie poprawiać fryzurę. Za każdym razem woła mnie, abym oceniła efekt. We wszystkich uczesaniach wygląda ślicznie i dziewczęco. Jak dziewczynka w za dużych butach na obcasach wyciągniętych z matczynej garderoby, udająca kobietę.

Deirdre przygotowała dla mnie pomarańczową suknię, twierdzi, że będę w niej wyglądać zjawiskowo w wieczornym świetle. Moje włosy są rozpuszczone i pofalowane. Stajemy obok siebie naprzeciw lustra. Wiem, co myśli, nie musi tego mówić głośno. Do złudzenia przypominam Rose. Linden nie zobaczy mnie, lecz wspomnienie straconej miłości. Mam nadzieję, iż to pozwoli mi uzyskać nad nim kontrolę.

Jest wczesny wieczór, orkiestra stroi instrumenty, w gaju pomarańczowym zebrał się już tłum nieznanymi mi gości. To miejsce różni się od reszty posiadłości. Nieskoszona trawa łaskocze mnie w łydki, wnosi do ogrodu atmosferę nieskrępowania. Mrówki spacerują po krawędziach kieliszków, pełno ich na konarach drzew. Zieleń szumi i szeleści.

Większości twarzy nie rozpoznaję. Oczywiście część obecnych to służba, inni są poubierani z przesadną elegancją, wszyscy pochodzą z pierwszego pokolenia.

- To znajomi Mistrza Vaughna - szepcze mi do ucha Deirdre, poprawiając ramiączko sukni. - Zarządca Ashby nie ma swoich. Kiedy Rose zachorowała, nie opuszczał posiadłości.

- A wcześniej jakie miał zainteresowania? - Uśmiecham się z udawanym zachwytem na użytek ewentualnych obserwatorów.

- Projektował domy. - Deirdre roztrzępuje pukle moich włosów wokół ramion. - Proszę, jak ślicznie!

Zgodnie z instrukcjami pokojówek Jenna, Cecily i ja staramy się być przezroczyste. Trzymamy się za ręce, popijamy poncz, pięknie wyglądamy i czekamy, by ktoś nas przedstawił gościom. Pozwalamy się zapraszać do tańca mężczyznom w garniturach, którzy dotykają nas zbyt swobodnie i przysuwają się zbyt blisko. Z utęsknieniem czekam na koniec każdej melodii, żeby odetchnąć wśród krzewów pomarańczy. Jenna stoi obok mnie, też jest zmęczona. Pomimo swojej niechęci nie potrafi ukryć, że jest wspaniałą tancerką. Jej ciało porusza się z ogniem i gracją, każdy ruch jest naturalny. Uśmiecha się w tańcu do naszego męża, a on rumieni się onieśmielony jej urodą. Wiem, co znaczy ten uśmiech. Jenna dobrze się bawi, widząc cierpienie Lindena. Duch jego zmarłej żony wciąż jest nad nami, nigdy nie odejdzie, Jenna chciałaby powiedzieć Zarządcy, że jego ból również nigdy się nie skończy.

Ten uśmiech jest jej zemstą.

Zrywa owoc z gałęzi, obraca go w dłoniach.

- Dziś w nocy nam się upiecze.

- Słucham? - Nie wiem, co ma na myśli.

Ruchem głowy wskazuje w stronę Cecily wtulonej w Lindena, poruszają się w rytm wolnej piosenki. Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha.

- Udało jej się skraść jego serce dla siebie na dziś. Nie wypuszcza jej z ramion.

- Rzeczywiście. - Najwięcej tańczy z Cecily. Wpatruje się z zachwytem w Jennę, kiedy nie jest akurat zajęty najmłodszą oblubienicą. Na mnie nawet nie spojrzy.

Jenna zostaje znów porwana do tańca, zyskała wielu wielbicieli. Zostaję sama z kieliszkiem ponczu, chłodny wiatr rozwiewa mi włosy. Zastanawiam się, w którym miejscu upadła Rose, kiedy zasłabła pierwszy raz. Czy tam, gdzie dwóch służących kłóci się, czyja to wina, że zabrakło pieczonych kurcząt? A może w wysokiej trawie, gdzie flirtują Linden z Cecily po zejściu z parkietu? Ciekawi mnie też, na co upadły rozsypane w powietrzu prochy. Co to były za prochy i co naprawdę stało się z ciałkiem dziecka Rose i Lindena?

Przyjęcie zbliża się ku końcowi, goście powoli wychodzą, Jenna i ja siadamy na trawie, Adair i Deirdre rozczesują nam splątane włosy. Linden i Cecily gdzieś przepadli. Nie spotykam ich przed pójściem spać.

Następnego dnia Cecily wchodzi chwiejnym krokiem do biblioteki. Jest blada, roztrzępana i jakby oszołomiona, ale na jej wargach błąka się uśmiech.

Gabriel przynosi herbatę, a ona jak zwykle wsypuje sobie za dużo cukru. Milczy. Ma

odciśnięte na policzkach ślady pościeli, krzywi się lekko przy poruszaniu nogami.

- Ładny mamy dziś dzień - odzywa się wreszcie, gdy odchodzimy od stołu. Ja siedzę w fotelu, a Jenna nerwowo spaceruje.

W wyglądzie Cecily jest coś niepokojącego, zniknął gdzieś cały wigor, głos ma cichy jak podmuch wiatru. Przypomina mi pokonane dzikie zwierzę, w oszołomieniu przemierzające klatkę.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

- Tak, tak - odpowiada z roztargnieniem i kładzie głowę na stole. Jenna przesyła mi znaczące spojrzenie z drugiego końca pokoju. Domyślam się, co chce powiedzieć. Cecily wreszcie dostała to, czego chciała od męża, co znaczy, że żałoba po Rose nie przeszkodzi mu w odwiedzeniu sypialni innych żon.

Cecily sprawia wrażenie małej, bezbronnej, szczęśliwej dziewczynki.

- Chodź - mówię łagodnie. Pomagam jej wstać, obejmuję w pasie i odprowadzam do sypialni.

Linden jest potworem, złym człowiekiem.

- Jak można nie widzieć, że to jeszcze dziecko? - mruczę pod nosem.

- Hm? - Cecily spogląda na mnie pytająco.

- Nic. Na pewno wszystko w porządku?

Zagrzebuje się w pościeli, ma zamglony wzrok.

- W jak najlepszym.

Okrywam ją szczelniej kołdrą. Na prześcieradle jest nieduża plama krwi.

Zostaję przy Cecily, póki nie zasypia. Słucham treli ptaków, które uwiły sobie gniazdko pod oknem. Chciała mi je pokazać. Jak dziecko szukające pretekstu do rozmowy. Nie byłam dla niej zbyt miła, nie zasłużyła na oschłe traktowanie. Cóż ona może poradzić na młody wiek, brak doświadczenia, świadomości? Nie jej wina, że wychowała się bez rodziców, w sierocińcu, z którego mogła się wydostać tylko na dwa sposoby, a jednym z nich była śmierć. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, nie ma pojęcia, że resztę dziewczyn zamordowano.

Ja wiem. Odgarniam kosmyk włosów z buzi dziewczynki.

- Kolorowych snów. - To najlepsze, czego można życzyć w tym miejscu.

Linden przychodzi wieczorem do mojej sypialni, nie zapytawszy o zgodę, kieruje się wprost do łóżka. Nie mogę znieść jego widoku, jestem wściekła. Nie wykonuję żadnego gestu, a on zatrzymuje się w pół kroku. Zapalam światło, udając, że dopiero się obudziłam, choć, prawdę mówiąc, spodziewałam się jego wizyty.

- Witaj.

- Witaj. - Usiadłam na łóżku.

Dotyka materaca, chyba czeka na zaproszenie. Czy Cecily dała mu sygnał, jakiego oczekiwał? Jenna z pewnością tego nie zrobi. Jeżeli nie zamierza użyć siły, Cecily pozostanie jego jedyną nałożnicą.

- Wyglądałaś prześlicznie na przyjęciu.

- Nie wiedziałam, że zwróciłeś na mnie uwagę.

Teraz też na mnie nie patrzy, wygląda przez zamknięte okno. Na zewnątrz rozpełtała się wichura, odgłosy przypominają wycie potępionych dusz. Pomarańcze i róże zapewne fruują w powietrzu.

- Mogę wejść do łóżka?

- Nie - odpowiadam stanowczo.

- Nie? - Unosi brew.

- Nie - powtarzam. Mój głos nie wyraża wściekłości, którą czuję. Zapada głucha cisza. -

Dziękuję, że spytałeś - dodaję po chwili.

Wydaje się zmieszany, chyba nie wie, co zrobić z rękami, spodnie od piżamy nie mają kieszeni.

- To może zgodzisz się na wspólny spacer?

- Teraz? W taką pogodę?

- Włóż płaszcz. Spotkajmy się za parę minut przy windzie.

Nie mam nic przeciwko spacerowi. Zakładam wełniany płaszcz na koszulę nocną, wkładam też grube skarpetki.

Linden czeka już na mnie, jego płaszcz poza męskim krojem nie różni się niczym od mojego. Podejrzewam, iż nieuleczalna romantyczka Deirdre zaprojektowała nasze okrycia specjalnie, by do siebie pasowały. Zdaje się ludzić, że z czasem nauczę się kochać Lindena. Jest jeszcze młodzieńca, nie ma pojęcia, czym jest prawdziwa miłość. A raczej czym nie jest.

Jadąc windą, wspominam rodziców. Mamę w balowej sukience, w ramionach ojca. Oboje z Rowanem lubiliśmy na nich patrzeć. Prawdziwa miłość nie ma nic wspólnego z żadną nauką - powiedział kiedyś tata, gdy obserwowaliśmy ich w tańcu. - Jest naturalna jak błękit nieba nad naszymi głowami.

Miłość jest naturalna. To więcej niż w dzisiejszych czasach można powiedzieć o ludzkiej rasie, która składa się z krótkowiecznych sztucznych stworzeń. Czemu się dziwię, że moje małżeństwo to fikcja...

Zimne powietrze pachnie jesienią, ta pora roku kojarzy mi się z grabieniem liści i nowym mundurkiem do szkoły. Elementy innej rzeczywistości wciąż we mnie tkwią. Podnoszę kołnierz płaszcza, zasłaniając zmarznięte uszy.

Linden bierze mnie pod rękę i prowadzi w stronę gaju pomarańczowego, gdzie uprzątnięto już ślady przyjęcia, odsłaniając naturalne piękno ogrodu. Z przyjemnością rozkładałabym tu koc w słoneczne dni, żeby poczytać na świeżym powietrzu. Rozumiem, dlaczego Rose lubiła właśnie to miejsce. Zdawała sobie już sprawę, że jest chora, tamtego dnia, kiedy straciła przytomność? Może liczyła na szybką śmierć w cieniu ukwieconych gałęzi.

Czuję spokój, jej obecność, mija cała złość.

- Ona tu jest. - Linden, jakby czytał w moich myślach.

- Tak.

Wchodzimy na wąską ścieżkę udeptanej trawy. W gaju pomarańczowym nie ma sztucznych zbiorników wodnych ani ławek. Silny wiatr utrudnia rozmowę, wypycha słowa z powrotem do gardła. Wyczuwam, że Linden czeka na dogodny moment, żeby mi coś powiedzieć. Przystaje i chwytą mnie za rękę, gdy tylko aura nieco łagodnieje. Dłonie ma gładkie, ciepłe.

- Posłuchaj. - W świetle księżyca zieleń jego oczu wydaje się jeszcze bardziej intensywna. - To będzie nasze wspólne miejsce. Możesz chodzić wszędzie, wystarczy, że poprosisz. Ale to miejsce jest święte, zgoda? Nie pozwolę, żebyś używała go do zadawania mi bólu.

Mówi łagodnym tonem, uprzejmie patrząc mi w oczy. A zatem się domyślił. Odgadł moje ukryte motywy, a jednak nie zemścił się, jak zrobiłby to niechybnie jego ojciec. Dlaczego? Z jakiego powodu ktoś zdolny do porwania i zabójstwa miałby okazywać mi względy?

Zagryzam zmarznięte usta, by nie powiedzieć mu, że skoro mogę się udać, dokąd zechcę, pragnę wrócić na Manhattan. Nie mogę zdradzić chęci ucieczki, to na zawsze pogrzebałoby moje szanse.

- Nie chciałam sprawić ci przykrości. Chyba byłam zazdrosna. Nie zwracałeś na mnie ostatnio uwagi. Pomyślałam, że poczujesz się lepiej, jeżeli przyjęcie odbędzie się właśnie tutaj. Swego rodzaju stypa na cześć Rose i uroczystość rozpoczęcia nowego życia zarazem.

Wydaje się poruszony moimi słowami, czuję się niemal winna. Jego piękna żona została pokrojona na kawałki w piwnicy, a ja, kłamiąc, używam jej imienia. Obiecałam konającej Rose, że zaopiekuję się miłością jej życia, lecz nigdy nie zamierzałam dotrzymać obietnicy.

- Chciałem ją pochować tradycyjnie, ale ojciec uznał ten pomysł za zbyt ryzykowny. Nie

wiemy, czy wirus... - Głos mu się rwie. - Mógłby zaszkodzić glebie. Dlatego skremował ciało i dał mi jej prochy.

Nie wspomina o dziecku. Być może to dla niego zbyt bolesny temat. Lub zbyt intymny.

- Zamierzasz je tu rozsypać?

- Już to zrobiłem. Wczoraj po przyjęciu. Uznałem, że najwyższy czas się pożegnać.

Po opuszczeniu łóżka Cecily, jak sądzę. Nawet jej oddanie nie złagodziło rozpaczony stracie. Milczę. Nie jest to odpowiedni moment, by rozmawiać o Cecily. Zawracamy, ramię w ramię, mąż i żona, udajemy się z powrotem do środka porośniętego bluszczem domostwa. Po głowie bląkają mi się myśli o listku ukrytym między stronicami romansu, który zakończy się pomyślnie lub tragicznie, oraz powracające pytanie: czyje prochy spadły na ziemię wczoraj wieczorem?

Przez kolejne trzy wieczory z rzędu Linden zaprasza nas, wszystkie, na kolację. Przeważnie śpi ze mną. Rozmawiamy tylko i zasypiamy obok siebie. Przygląda się moim wieczornym rytuałom: jak smaruję ręce kremem, szczotkuję włosy, zasuwam zasłony i pijam wieczorną herbatę. Nie przeszkadza mi jego obecność. Cieszę się, że nie jest z Jenną - ona by tego nie zniosła. Wolałabym także, żeby zostawił w spokoju Cecily; pozwoli mu zrobić ze sobą wszystko, a potem to odchoruje. Jest zazdrosna. Zbywam jej natrętne pytania, nie powinna się interesować moimi sprawami. Tymczasem Linden i ja nawet się nie dotykamy. Jedynie czasem przez sen czuję, jak gładzi mnie po włosach.

Zasypiam, wysłuchując jego zwierzeń. Gabriel przynosi mi teraz śniadania o tej samej porze co innym dziewczętom. Z dodatkowym nakryciem dla Lindena, który składa czasem dziwaczne zamówienia. Na przykład kiedyś zażyczył sobie filiżanki syropu i kiści winogron. Nie dostaję już cukierków, szkoda. Brakuje mi także rozmów z Gabrielem. Spędzam tyle czasu z Lindenem, że przyjaciela widuję przelotnie. W dzień przeważnie spacerujemy.

Jeśli jest ciepło, chodzimy we czwórkę na basen. Jenna się opala, Cecily skacze do wody, krzycząc jak rozbawiony dzieciak, ja nurkuję. Pod wodą jest hologram oceanu. Meduzy, rekiny, ławice żółtych i pomarańczowych ryb, ogromne wieloryby... Przepływają przeze mnie. Chwilami zapominam, że to wszystko ułuda, schodzę coraz głębiej i głębiej w poszukiwaniu zatopionej Atlantydy, aż dotykam płytek na dnie.

Czasem mija nam tak cały dzień. Lubię takie dni. Czuję swobodę i poczucie wspólnoty. Nawet Jenna daje się niekiedy ponieść pozytywnym uczuciom, w żartach ochlapuje mnie wodą. Wciągnęłyśmy ją raz z Cecily za nogi do wody. Krzyczała, że jesteśmy okropne, uczipiona kurczowo krawędzi basenu. Wreszcie się poddała i zanurkowała. Trzymałyśmy się za ręce,

goniąc wirtualne rybki.

Linden nie wchodzi do wody, pyta tylko, jak nam się podoba symulacja oceanu. W kąpielówkach jest blady i chudy. Siedzi na wilgotnym ręczniku pochłonięty lekturą czasopism o architekturze, co chyba znaczy, iż zamierza wrócić do pracy. Być może wkrótce zacznie wychodzić z domu, bywać na przyjęciach w moim towarzystwie. Oczywiście nie planuję, że wtopię się w tłum i ucieknę przy pierwszej sposobności. Muszę się dobrze przygotować. Gdyby któraś z imprez była filmowana, Rowan mógłby mnie zobaczyć w telewizji.

Pewnego popołudnia wbiegam do domu po dodatkowy ręcznik i wpadam na Gabriela niosącego tacę z sokiem pomarańczowym.

- Przepraszam - mówię zdyszana.

- Dobrze się bawisz? - Nie patrzy mi w oczy. - Przepraszam. - Wymija mnie.

- Zaczekaj. - Zerkam przez ramię, by upewnić się, że nikt nas nie obserwuje. - Gniewasz się na mnie?

- Skąd. Po prostu nie sędzę, byś miała teraz czas na rozmowy ze służbą. - Nie podoba mi się jego mroczne spojrzenie. - Jesteś żoną Zarządcy.

- Chwileczkę... - jąkam się.

- Nie ma o czym mówić, lady Rhine. - Teoretycznie tak powinien się do mnie zwracać personel, ale chyba brak mi wyniosłości, bo dla wszystkich jestem Rhine albo blondi. Gabriel ma jednak rację. Od wielu dni nie rozmawiałam z nikim oprócz dziewcząt i Lindena. Tęsknię za wizytami w kuchni i spędzaniem czasu z Gabrielem. Kończy mi się zapas cukierków w szufladzie. Nic nie poradzę, że bez przerwy towarzyszą mi Linden lub Mistrz Vaughn. W ich obecności nie mogę swobodnie porozmawiać z personelem.

- O co chodzi? Co ja takiego zrobiłam?

- Nie spodziewałem się, że ulegniesz bez walki.

- Co takiego? - Parskam śmiechem, słysząc absurdalne insynuacje.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale mieszkamy w tym samym domu. Przynoszę ci codziennie śniadanie.

Czuję się zbyt dotknięta, żeby go wyprowadzić z błędu.

- Nie wolno mi dzielić łóża z własnym mężem?

- Przyznaję, nie sądziłem, iż do tego dojdzie. - Wychodzi na zalany słońcem taras, zostawiając mnie samą, ociekam wodą i szcękam zębami. Zadaję sobie pytanie, co się ze mną dzieje, odkąd tu trafiłam.

Podczas kolacji prawie się nie odzywam. Linden pyta, czy smakuje mi jedzenie. Kiwam

głową. Gabriel napełnia szklanki gazowaną wodą. Marzę, żeby porozmawiać z nim na osobności, wyjaśnić, że myli się co do mnie i Lindena. Spuszczam tylko głowę, czując na sobie wzrok Mistrza Vaughna.

Po posiłku Gabriel odprowadza nas do pokoi. W windzie celowo unika mojego wzroku.

Cecily przykładła dłoń do skroni.

- Czemu tu jest tak jasno? - skarży się.

Nie rusza się z miejsca, kiedy zatrzymujemy się na naszym piętrze.

- Co się dzieje? - Dopiero wtedy dostrzegam jej przeraźliwą bladość. Twarz Cecily błyszczy od potu.

- Nie czuję się najlepiej. - Tylko tyle zdążyła powiedzieć, nim zemdlała. Gabriel zdołał ją złapać w ostatniej chwili.

Personel przybiega na pomoc. Wciąż ktoś wchodzi i wychodzi z pokoju Cecily. Mistrz Vaughn cały czas jest w środku, Linden nerwowo spaceruje pod drzwiami. Jennie i mnie kazano iść do swoich sypialni. Siadam oszołomiona na krześle przed toaletką, nie ma mowy, żebym zasnęła w takim stanie umysłu, okropnie się martwię.

Źle zrobiłam, nie wspominając Lindenowi, że Cecily mizernie wyglądała tamtego dnia po przyjęciu. Wysłuchałby mnie z pewnością. Powinnam była go upomnieć, że to jeszcze dziecko. On czasem nie pojmuje rzeczy oczywistych, a ja mu tego nie uświadomiłam.

Może to krwotok... Czy ona umiera? Jeszcze niedawno czuła się normalnie.

Przykładam ucho do drzwi, usiłuję rozszyfrować niewyraźne pomruki dobiegające z korytarza. Ktoś otwiera drzwi, z trudem utrzymuję równowagę.

- Przepraszam. - Gabriel zagląda do środka. - Nie chciałem cię przestraszyć. - Przesuwam się, żeby go wpuścić. Zamyka za sobą drzwi. Przyszedł bez tacy, jak nigdy. - Sprawdzam tylko, co u ciebie. - Nie ma w nim cienia pretensji sprzed kilku godzin. Przytulam się do niego z ulgą, co w pierwszej chwili go zaskakuje, jednak odwzajemnia uścisk.

- To straszne.

- Wiem. - Gładzi mnie po plecach, nigdy nie byliśmy tak blisko siebie. Jest wyższy i mocniej zbudowany niż Linden. Pachnie jedzeniem i kojarzy się z kuchennym rozgardiaszem.

- Nie wiesz. - Robię krok do tyłu, aby spojrzeć na jego zarumienioną twarz. - Nie chodzi tylko o Cecily. Wszystkie się męczymy w tym małżeństwie. Jenna nienawidzi Lindena całą sobą. Ja mam wrażenie, że on widzi we mnie Rose. Wykorzystuję jego słabość, żeby się bronić, ale strasznie mnie to męczy. Szepcze w nocy jej imię, leżąc obok mnie. Czuję się, jakby mnie powoli wymazywał z tego świata.

- Nie jest w stanie tego zrobić.

- A ty nigdy więcej nie nazywaj mnie lady Rhine.

- Dobrze. Przepraszam. Nie moja sprawa, co robisz.

- Na pewno nie to, co myślisz! - Chwytam go mocno za ramiona. Zniżam głos na wypadek, gdyby ktoś stał za drzwiami. - Prędej piekło zamarnie, niż pozwolę się tknąć Lindenowi Ashby'emu, rozumiesz? - Po raz kolejny odsuwam od siebie pokusę podzielenia się planami ucieczki, niech pozostaną one moim sekretem. - Wierzysz mi?

- Zawsze. Po prostu zobaczyłem go w twoim łóżku i... Sam nie wiem. Zdenerwowałem się.

- Rozumiem. Mnie także działa to na nerwy. - Śmieję się, a Gabriel zaczyna mi wtórować. Siadam na krawędzi łóżka. - Co się dzieje z Cecily?

- Nie wiem. - Kręci głową. - Są u niej lekarze, także Mistrz Vaughn. Ale nie martw się - dodaje pospiesznie, widząc moją przerażoną minę. - Na pewno wszystko będzie dobrze. Gdyby to było coś naprawdę poważnego, przewieźliby ją do szpitala miejskiego.

Wzdycham i spuszczam wzrok.

- Przynieść ci coś z kuchni? Może herbatę? Albo truskawki. Prawie nic nie zjadłaś na kolację.

Nie mam ochoty na herbatę ani truskawki i nie chcę, żeby Gabriel mi usługiwał. Teraz potrzebuję przyjaciela, który ze mną posiedzi i porozmawia. Gdybym tylko miała pewność, że nie zostanie za to później ukarany... Marzę o wolności dla nas obojga.

Może uciekniemy razem, polubiliby Nowy Jork. Nie chcę okazywać słabości, więc mówię tylko:

- Opowiedz mi o sobie.

- O sobie? - Jest zaskoczony.

- Właśnie. - Zapraszająco poklepuję materac obok siebie.

- Wiesz już wszystko - oświadcza, przyjmując zaproszenie.

- A nie. Gdzie się urodziłeś? Jaka jest twoja ulubiona pora roku?

- Tutaj, na Florydzie. Pamiętam kobietę z kręconymi brązowymi włosami w czerwonej sukience. Może to moja matka, nie wiem. Ulubiona pora roku, lato. Twoja kolej - uśmiecha się. Robi to rzadko, z każdym jego uśmiechem mam poczucie triumfu.

- Jesień. - Wie, że urodziłam się na Manhattanie i straciłam rodziców w wieku dwunastu lat.

Zastanawiam się nad kolejnym pytaniem, kiedy przerywa mi pukanie do drzwi. Gabriel wstaje i wygładza kołdrę, na której siedział. Chwytam pustą szklankę, w razie konieczności będę udawać, że chciałam dolewkę.

- Proszę.

To tylko Elle, pokojówka Cecily. Jej oczy błyszczą z podniecenia.

- Nie uwierzycie! Cecily będzie miała dziecko!

Linden poświęca coraz więcej czasu Cecily, ja znów staję się niewidzialną panną młodą.

Choć oddala mnie to od ucieczki, jednak przynosi ulgę. Wreszcie nie muszę znosić jego ciągłego towarzystwa i znów mogę rozmawiać z Gabrielem, kiedy przynosi śniadanie. Z nim mogę być szczerą. Opowiadam mu o Manhattanie, jeszcze niedawno wydawał się ogromny, a dziś jest odległy jak inna planeta.

- Kiedyś było więcej dzielnic wzdłuż nabrzeża - Brooklyn, Queens i kilka innych. Dziś nazywa się całość Manhattanem. W części, w której ja mieszkam, są fabryki i doki. Dalej na zachód cumują kutry rybackie, a we wschodniej części przeważają domy mieszkalne.

- Dlaczego? - Gabriel częstuje się grzanką z mojej tacy ze śniadaniem. Siedzi na otomanie pod oknem, poranne promienie słońca podkreślają błękit jego oczu.

- Nie mam pojęcia. - Przewracam się na brzuch, podpieram brodę dłońmi. - Może władze uznały, że poprzedni podział był zbyt skomplikowany.

- Musi tam być tłoczno.

- Trochę. Niektóre budynki są bardzo stare. Kiedy byłam mała, udawałam, że wychodząc z domu, wkraczam w przeszłość. Wyobrażałam sobie... - Przerywam z wahaniem, wodzę palcem po kołdrze.

- Co? - Przysuwa się do mnie, zaciekawiony.

- Nigdy nikomu tego nie mówiłam. Wyobrażałam sobie, że wkraczam w dwudziesty pierwszy wiek, widzę ludzi na różnych etapach życia, a kiedy dorosnę, będę taka jak oni. - Zapada dźwięcząca w uszach cisza, nie patrzę na Gabriela, lecz czuję na sobie jego wzrok. Podchodzi do mnie i siada na łóżku.

- To głupie. - Śmieję się z zażenowaniem. - Zapomnij, że ci powiedziałam.

- Wcale nie głupie.

Przesuwa palcem po kołdrze, naśladując mnie, ale nasze dłonie się nie dotykają. Ogarnia mnie fala ciepła, uśmiecham się. Od dawna wiem, że nigdy nie będzie mi dane osiągnięcie prawdziwej dojrzałości, pogodziłam się z tym. Nigdy nie opowiedziałam rodzicom o swoich fantazjach, nie chcąc ich zasmucać. Brat nazwałby je jałowymi mrzonkami. Zatrzymałam je dla siebie, wmawiając sobie, że wyrosłam z nierealnych marzeń. Dziś pozwoliłam im powrócić. Pewnego dnia wyjdę stąd w piękny świat, gdzie ludzie żyją długo i szczęśliwie.

- Powinieneś kiedyś odwiedzić Nowy Jork.

- Bardzo bym chciał - odpowiada cicho.

Rozlega się pukanie do drzwi, a zaraz potem głos Cecily.

- Jest u ciebie Linden? Miał mi przynieść gorącą czekoladę.

- Nie ma.

- A kto jest? Słyszałam głosy.

Gabriel wstaje i zabiera tacę, a ja wyglądam koldrę.

- Zadzwoń do kuchni. Może tam wiedzą, gdzie jest Linden. Albo zapytaj Elle.

- Mogę wejść?

Gorączkowo sprzątam lekki nieład na łóżku. Choć nie zrobiłam nic niewłaściwego, czuję się nieswojo.

- Czego chcesz? - staję na progu po otwarciu drzwi.

Odpycha mnie, wchodzi do środka i mierzy Gabriela uważnym spojrzeniem orzechowych oczu.

- Wyniosę naczynia do kuchni - bąka zmieszany. Nie zauważa przeproszającego spojrzenia, które posyłam mu ukradkiem, zbyt zajęty wpatrywaniem się w swoje buty.

- Przynieś mi z kuchni gorącej czekolady. Bardzo, bardzo gorącej - rozkazuje Cecily. - Nie wrzucaj do środka pianek. Zawsze tak robisz i są roztopione, zanim wreszcie raczysz się zjawić. Pianki połóż obok, w miseczce. A jeszcze lepiej przynieś mi całą paczkę.

Kiwa głową i wychodzi. Cecily wygląda za nim na korytarz.

- Dlaczego miałaś zamknięte drzwi? - pyta zaczepnie.

- Nie twoja sprawa. - Jestem wściekła. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi podejrzanie. Nie zamierzam jednak tłumaczyć się przed nią. Rozmowy z Gabrielem to jeden z niewielu luksusów w tym domu, które są dla mnie przyjemnością. Cecily nie ma prawa się wtrącać.

Udaję, że sprzątam. Aż się gotuję ze złości.

- To zwykły służący. - Cecily przemierza pokój, idąc, przesuwa palcem po ścianie. - W dodatku niezbyt rozgarnięty. Zawsze przynosi za mało cukru i mleka do herbaty, jedzenie stygnie, bo on tak się wlecze...

- Jest w porządku. Po prostu lubisz się czepiać.

- Czepiać się? Czepiać? Nie masz pojęcia o porannych mdłościach. Nie musisz spędzać całych dni w łóżku z powodu głupiej ciąży. Za dużo wymagam od cholernego personelu? Mają jedynie wykonywać swoją pracę, czyli spełniać moje zachcianki. - Opada ciężko na materac, unosząc ręce w obronnym geście. Coś w tym jest.

Ciąża zaczyna być powoli widoczna, wyczuwam też nikłą woń wymiocin zmieszaną z zapachem perfum. Cecily ma potargane włosy i bardzo bladą cerę. Przyznaję z niechęcią, że ma prawo czuć się podle. Dziewczyna w jej wieku nie powinna jeszcze zmagać się z takimi problemami.

- Proszę. - Wyjmuję z szuflady czerwoną pastylkę, dostałam od Deirdre w dniu ślubu. -

To powinno złagodzić mdłości.

- Mmm - mruczy z satysfakcją, ssąc cukierek.

- Poród będzie bolał, wiesz? - informuje mnie. - Mogę nawet umrzeć.

- Nie umrzesz - oświadczam z przekonaniem, przypominając sobie, że matka Lindena zmarła podczas porodu.

- To się zdarza. - W jej głosie wyczuwam strach. - Dlatego powinnam dostawać wszystko, o co proszę - dodaje.

Siadam obok Cecily, obejmuję ją, opiera głowę na moim ramieniu.

- Zgoda. Powinnaś. Ale marchewka działa lepiej niż kij.

- Co to znaczy?

- Tak mawiała moja mama. Jeśli jesteś miła dla ludzi, oni chętniej ci pomagają. Czasem nawet nie trzeba prosić.

- To dlatego jesteś dla niego taka miła?

- Dla kogo?

- Tego służącego. Ciągle z nim rozmawiasz.

- Może. - Cieszę się, że Cecily na mnie nie patrzy i nie widzi rumieńca. - Właściwie jestem miła tak po prostu.

- Powinnaś uważać - ostrzega mnie. - Ktoś mógłby sobie coś pomyśleć.

Jenna, Cecily i ja cieszymy się większą swobodą. Zachwycony perspektywą zostania ojcem Linden wspaniałomyślnie pozwala nam spacerować po domu i ogrodzie. Mimo usilnych poszukiwań nie znalazłam drogi, którą nas przywieziono. Z jakiegoś powodu samochody nie zostawiają śladów opon, więc brakuje wskazówek. Gabriel nazywa posiadłość Wiecznością, jestem skłonna zgodzić się z nim. Bez końca i początku. A wszystkie ścieżki prowadzą ku drzwiom frontowym.

Tata opowiadał mi kiedyś o karnawale, czasie, w którym nie ma czego świętować, a mimo to się świętuje. O festynach i gabinetach krzywych luster. Kiedy był chłopcem, wstęp do takiego gabinetu kosztował dziesięć dolarów. Opisywał te lustra wiele razy - jak zniekształcały odbicie i sprawiały, że pomieszczenie wydawało się nie mieć końca, choć w rzeczywistości było małe. Grunt to nie dać się zwieść optycznej iluzji, wyjście zawsze znajduje się bliżej, niż sądzimy.

Dopiero dziś zrozumiałam, co miał na myśli. Przemierzam ogród różany, korty tenisowe, labirynt z żywopłotu i proszę go w duchu o radę. Wyobrażam sobie, jak patrzy z góry na moje jałowe poszukiwania, wiedząc, że droga do wolności znajduje się na wyciągnięcie ręki.

- Pomóż mi - zwracam się do niego, ale odpowiada mi jedynie wiatr poruszający wysoką trawą w gaju pomarańczowym. W przeciwieństwie do Rowana, który rozszyfrował kostkę Rubika za pierwszym podejściem, nigdy nie byłam dobra w rozwiązywaniu łamigłówek. Brat interesował się naukami ścisłymi i historią. Podczas gdy on wypytywał ojca o nieistniejące już krainy, ja podziwiałam obrazki.

- Głupio zrobiłaś, odpowiadając na to ogłoszenie - powiedziałby, gdyby wyłonił się teraz spośród drzewek pomarańczowych. - Nigdy mnie nie słuchasz. Co ja mam z tobą zrobić? - Wziąłby mnie za rękę i zabrał do domu.

- Rowan... - szlocham cicho. I znów odpowiada mi jedynie wiatr. On nie przyjdzie, żadna ścieżka na ziemi nie doprowadzi go do mnie.

Jałowe poszukiwania wyjścia frustrują, więc lepiej robić coś przyjemnego. Idę popływać w basenie udającym ocean. Ktoś z personelu pokazuje mi, jak używać programatora i teraz mogę nurkować wśród arktycznych lodowców albo zwiedzić zatopionego „Titanica” w towarzystwie delfinów. Kładę się mokra na trawie obok Jenny, pijemy kolorowe napoje

chłodzące z ananasek, potem idziemy pograć w miniaturowego golfa. Pole pewnie powstało z myślą o małym Lindenie lub jego nieżyjącym bracie. Nie rywalizujemy, nie liczymy punktów, wspólnymi siłami pokonujemy tańczącego klauna przy ostatnim dołku. Podejmujemy nieudolną próbę gry w tenisa, ale nie wychodzi nam najlepiej. Poddajemy się i wymyślamy nową zabawę przy użyciu wyrzutni do piłek oraz ściany.

Idę do kuchni, żeby objeść się cukierkami. Przy okazji pomagam Gabrielowi obierać ziemniaki, personel rozmawia o pogodzie i narzeka na Cecily. Nawet pobłażliwy zazwyczaj Gabriel przyznaje, że przyszła młoda mama stała się wyjątkowo nieznośna. Pada propozycja podania jej na obiad smażonego szczura.

- W mojej kuchni nie ma żadnych szczurów, pacanie - oburza się na żartownisia szefowa kuchni.

Lindena dręczą wyrzuty sumienia, że zaniedbuje mnie i Jennę. Pyta, czy mamy jakieś życzenia. Wpadam na pomysł, by poprosić o skrzynkę cukierków. Od jakiegoś czasu, odkąd dotarły do mnie utyskiwania służby na dostawców przyjeżdżających o świcie, fantazjuję o ucieczce pod plandeką wozu dostawczego. Jednak ryzyko jest zbyt duże, włożyłam sporo wysiłku w zdobycie zaufania Lindena, gdybym została przyłapana, wszystko poszłoby na marne. Nie przechytrzę w ten sposób Vaughna, on wie o wszystkim, co się tu dzieje.

- Chciałabym dużą trampolinę - mówi Jenna. Następnego dnia w ogrodzie stoi ogromna trampolina. Skaczemy do utraty tchu, po czym padamy wyczerpane na środku i wpatrujemy się w przepływające chmury.

- To nie jest najgorsze miejsce na śmierć - wyznaje. Podpiera głowę ręką, ześlizguje się nieco w jej stronę. - Ostatnio bywał u ciebie w sypialni?

- Nie. - Zakładam ręce za głowę. - I dobrze.

- Rhine? A kiedy do ciebie przychodził, to... doszło do czegoś?

- Nie. Nigdy. Nawet się nie pocałowaliśmy.

- Ciekawe dlaczego. - Kładzie się na wznak.

- A u ciebie był?

- Tak. Kilka razy, zanim Cecily pochłonęła całą jego uwagę.

Jestem zaskoczona. Każdego ranka Jenna przychodziła do biblioteki na herbatę i pograżała się w lekturze. Nigdy nie zauważyłam, żeby była wytrącona z równowagi jak Cecily. Teraz także mówi spokojnym, rzeczowym tonem.

- Jak było? - Natychmiast oblewam się rumieńcem. Zachowałam się obcesowo?

- W porządku - rzuca nonszalancko. - Ciągłe pytał, czy wszystko dobrze. Jakby się bał,

że mnie uszkodzi czy coś. - Śmieje się cicho. - Nedorzeczny pomysł.

Nie wiem, co powiedzieć. Sama myśl o pocałunku z Lindenem napawa mnie odrazą, tymczasem Jenna i Cecily dzieliły z nim łóżko.

- Myślałam, że go nienawidzisz.

- Bo tak jest. - Zakłada nogę na nogę i macha stopą, wydaje się rozluźniona. - Nienawidziłam ich wszystkich. Ale takie jest życie.

- Wszystkich?

Siada, żeby na mnie spojrzeć. Na jej twarzy maluje się mieszanina niedowierzania, współczucia i rozbawienia.

- Poważnie? - Ujmuje mnie pod brodę. Jej gładka dłoń pachnie balsamem nawilżającym. - Masz ładną buzię i figurę... Jak zarabiałaś na życie?

- Myślałaś, że byłam prostytutką? - Dociera do mnie sens pytania.

- No, nie. Jesteś zbyt miła i niewinna. Ale jednocześnie... w jaki inny sposób dziewczyny takie jak my mogłyby się utrzymywać?

Przypominam sobie młode kobiety prowadzone do samochodów przez zamożnych mężczyzn z pierwszego pokolenia. I burdele w szkarłatnej dzielnicy, zaciemnione okna nie pozwalały zajrzeć do środka, lecz niekiedy otwierały się drzwi, słyszałam wtedy hipnotyczną muzykę, widziałam kolorowe przytłumione światła. Myślę, z jaką wprawą Jenna uwodziła mężczyzn na pikniku w gaju pomarańczowym. Mężczyzn, którymi gardziła. Ona pochodzi z jednego z tych mrocznych, zakazanych miejsc, zawsze napawających mnie lękiem.

- A dom dziecka nie pokrywał kosztów wyżywienia i utrzymania? - Oczywiście, że nie, uświadamiam sobie. Gdyby tak było, nie borykalibyśmy się z problemem sierot walczących o przetrwanie za wszelką cenę.

- Serio pytasz? Znaczący, że nigdy...

- Nie. - Przyjmuję postawę obronną. Widzę teraz Jennę w zupełnie innym świetle. Nie osądzam jej ani nie obwiniam. Takie jest życie, jak powiedziała. Ona jedynie dostosowała się do okoliczności.

- Nie mam pojęcia, czemu do ciebie nie przyszedł - dywaguje. - Musi być jakiś powód. Nic tutaj nie dzieje się bez przyczyny.

- Nie rozumiem. Dlaczego nie odmówiłaś, skoro go nienawidzisz? Nie zmusiłby cię do niczego, to nie leży w jego charakterze.

Przyznaję, że nieraz zamartwiałam się domysłami, czemu Linden nie nalega na skonsumowanie naszego małżeństwa. Czyżby wyczuł moją niechęć i postanowił

wspaniałomyślnie dać mi czas? Kiedy wyczerpie się jego cierpliwość?

- Lindenem się nie przejmuję. - W szarych oczach Jenny pojawia się lęk.

- A kim? Mistrzem Vaughnem?

Potwierdza skinieniem.

Wracam pamięcią do piwnicy, labiryntu ciemnych korytarzy prowadzących Bóg wie dokąd i ciała Rose na metalowym wózku. Czujna, obdarzona zmysłem obserwacji Jenna jak widać ma powody do strachu. Co on ci zrobił, spytałabym, gdybym nie bała się odpowiedzi. Przebiega mnie zimny dreszcz na wspomnienie ręki Rose wystającej spod prześcieradła. To piękne miejsce kryje pod gładką powierzchnią przerażające rzeczy. Pragnę znaleźć się od niego jak najdalej, nim dowiem się szczegółów.

Liście znów zmieniły kolor. Jestem tu już sześć miesięcy. Jak mogę, unikam Mistrza Vaughna. Uśmiecham się z wysiłkiem, kiedy próbuje nawiązać rozmowę podczas kolacji. Jego głos przyprawia mnie o ciarki na plecach.

Leżę w wysokiej trawie w gaju pomarańczowym, sama. Dopóki nie przychodzi Linden. Może mnie szukał, a może miał ochotę na odrobinę samotności. Uśmiecham się do niego, nadarzyła się okazja, żeby porozmawiać. Ostatnio nie miałam sposobności, by pracować nad wykupieniem się w jego łaski, cały wolny czas spędza z Cecily.

Wykonuję ręką zapraszający gest, Linden kładzie się obok mnie na trawie. Milczymy.

W szeleście liści upatruję obecności Rose. On spogląda w niebo, podążając za moim wzrokiem.

Wsluchuję się w miarowy rytm jego oddechu, bliskość Lindena wywołuje we mnie ledwie wyczuwalne uczucia, do których wolałabym się nie przyznawać. Przelotnie dotyka mojej dłoni. Kwiat pomarańczy spada z drzewa i przelatuje nad nami.

- Drzę przed nadejściem jesieni - odzywa się wreszcie. - Nie znoszę tej pory roku. Wszystko usycha i umiera.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Zawsze najbardziej lubiłam jesień. Przyroda osiąga wtedy szczyt swojego piękna, przez cały rok oszczędzanego na wielki finał. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby przed nią drzeć. Mój największy lęk to spędzenie kolejnego roku życia poza domem.

Chmury tworzą olbrzymi ruchomy łuk. Były tam, kiedy płonęły lądy i gdy ocean pochłaniał coraz większe obszary. Niemi świadkowie zniszczenia planety przez człowieka. Czy gdybym jak one wszystko widziała, nadal krążyłabym nad tym, co zostało ze świata, wciąż pełna życia, kolorów i dobrej woli? A może śmiałabym się z bezsensu tego wszystkiego?

Linden wciąga ze świstem powietrze, zbiera się na odwagę i przykrywa swoją dłoń swoją. Nie protestuję. Wszystko w świecie Lindena Ashby'ego opiera się na fałszu i ułudzie, lecz niebo i kwiaty pomarańczy są prawdziwe. Prawdziwe jest jego ciało obok mojego.

- O czym myślisz? - pyta.

Pierwszy raz mam ochotę być z nim szczerą.

- Zastanawiam się, czy jesteśmy warci ocalenia.

- Co masz na myśli?

- Nic takiego. - Kręcę głową.

- Powiedz - nalega łagodnie.

- Naukowcy od lat pracują nad szczepionką. Może nie warto?

Nie odpowiada od razu. Czekam, aż mnie skarci za pesymizm lub obrazi się za brak szacunku dla pracy obłąkanego ojca, lecz on ściska mnie za rękę i mówi:

- Zadaję sobie podobne pytania.

- Naprawdę? - Obracamy się w tym samym momencie, patrzymy sobie prosto w oczy. Czerwienię się i przenoszę spojrzenie z powrotem na niebo.

- W dzieciństwie byłem bliski śmierci. Dostałem bardzo wysokiej gorączki. Ojciec dał mi jakiś zastrzyk - to chyba był specyfik, nad którym akurat pracował - ale tylko pogorszył mój stan.

Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że Vaughn traktował swojego syna jak królika doświadczalnego, lecz zatrzymuję tę myśl dla siebie.

- Przez kilka dni byłem w delirium - kontynuuje opowieść Linden. - Nie odróżniałem przerażających wizji od rzeczywistości, nie mogłem się obudzić. Z oddali słyszałem głos ojca i innych lekarzy: „Linden, wróć do nas. Otwórz oczy”. Pamiętam, że się zawahałem. Nie byłem pewien, czy chcę wracać do świata pełnego śmierci i koszmarów. - Milknie.

- Ale wróciłeś.

- Tak. To nie była jednak moja decyzja.

Chwytam się mocno za rękę; dwie kruche istoty w świecie chyłącym się ku upadkowi.

Brzuch Cecily staje się coraz bardziej wydatny, ona spędza całe dnie w łóżku i jest, zdaniem personelu, coraz bardziej niezdolna.

Podziwiam japońskie rybki w stawie, zjadając lodowego rożka, kiedy przybiega po mnie zziębnięty służący. Zgina się wpół, opiera ręce na kolanach, chwyta oddech.

- Szybko - mówi jednym tchem. - Pani Cecily pilnie chce się z panią zobaczyć.

- Coś się stało? - Jest przejęty, jakby ktoś umarł. Kręci głową, nie wie. Wciskam mu w dłoń lodowy rożek i biegnę do domu. Gabriel czeka na mnie przy windzie, z kartą. Wpadam do jej sypialni przygotowana na najgorsze, spodziewam się zastać ją w agonii, kaszlącą krwią.

Siedzi rozparta wygodnie na poduszkach, ma świeżo pomalowane paznokcie u stóp. Popija przez słomkę sok żurawinowy i uśmiecha się do mnie.

- O co chodzi? - pytam zasapaną.

- Opowiedz mi coś.

- Słucham?

- Ty i Jenna dobrze się bawicie beze mnie - dąsa się. Cięża jest już bardzo widoczna, choć to dopiero czwarty miesiąc. Cecily nie zdaje sobie sprawy, że Linden przesadza z ostrożnością, ponieważ kiedyś stracił już dziecko. Mogłaby grać z nami w minigolfa i pływać w podgrzewanym basenie, lecz stała się najpilniej strzeżonym więźniem.

- Jak spędzacie całe dnie?

- Świetnie się bawimy - pryham ze złością. Przestraszyła mnie bez powodu. - Zajadamy watę cukrową, skaczemy na trampolinie. Szkoda, że tobie nie wolno.

- Co jeszcze? - Pokazuje mi gestem, żebym usiadła na łóżku. - Nie, czekaj. Opowiedz mi o czym innym. Jaki był twój sierociniec?

Jest przekonana, że wychowałam się w sierocińcu. Nie zna innego życia. Siadam po turecku na łóżku, odgarniam jej kosmyk włosów z twarzy.

- Nigdy nie byłam w sierocińcu. Dorastałam w wielkim mieście. Wśród milionów ludzi i drapaczy chmur. Kiedy spjrzałaś do góry, zaczynało ci się kręcić w głowie, bo nie mogłaś dostrzec dachów.

Jest pod wrażeniem. Opowiadam o promach i zatrutych rybach, które łowiliśmy dla zabawy, a potem wypuszczaliśmy do wody. Moje historie są w trzeciej osobie. Ich bohaterami uczyniłam bliźnięta - brata i siostrę. Mieszkają w domu, w którym zawsze rozbrzmiewają dźwięki fortepianu. Są rodzice, bajki na dobranoc i mnóstwo słodczy. Pościel pachnie środkiem odstraszającym mole oraz najlepszymi perfumami mamy. Zostawiła ten zapach, całując swoje dzieci przed snem.

- Wciąż tam mieszkają? Dorosły?

- Tak, dorosły. Lecz pewnego dnia rozszalał się huragan i ich rozdzielił. Teraz mieszkają tysiące kilometrów od siebie.

- Huragan ich rozdzielił? - powtarza z powątpiewaniem. - Jakiś idiotyzm.

- Przysięgam.

- I nie zabił ich?

- To mógł być cud albo klątwa. Oboje żyją i próbują się odnaleźć.

- A co się stało z ich mamą i tatą?

- Przyniosę ci więcej soku. - Sięgam po pusty kubek.

- Nie. Od tego jest personel. - Naciska niebieski guzik: - Sok żurawinowy i gofry z syropem klonowym. I wykałaczkę z parasolką!

- Prosimy - dodaję. Wszyscy w kuchni pewnie przewracają oczami, słuchając rozkazów Cecily. Jeszcze ktoś jej napluje do soku.

- Podobała mi się twoja opowieść. Prawdziwa? Znasz te bliźnięta?

- Znam. Ich dom stoi w tym samym miejscu, czeka na powrót lokatorów. Ma nieczynne wyjście ewakuacyjne i kiedyś był cały porośnięty kwiatami. Ale w mieście jest inaczej niż tu. Toksyczne opary z fabryk wyniszczyły roślinność. Ich mama miała magiczny dar, tylko ona potrafiła hodować lilie. Wszystkie zwiędły po jej śmierci. Koniec.

- Koniec - powtarza jak echo.

Wychodzę na korytarz, niedługo przyjdzie ktoś, żeby zrobić jej prześwietlenie.

- To prawda, co jej opowiadałaś? - zaczepia mnie Gabriel.

- Tak.

- Kiedy spodziewasz się kolejnego huraganu, który zabierze cię z powrotem do domu?

- Chcesz wiedzieć, czego najbardziej się boję?

- Powiedz.

- Że przez kolejne kilka lat będziemy mieć bezwietrzną pogodę.

Na koniec października zapowiadają wichury. W kuchni robione są zakłady, jak silny będzie pierwszy huragan. Większość uważa, że trzeci stopień. Gabriel twierdzi, że drugi. Silniejszy byłby dziwny o tej porze roku. Potakuję mu, choć nie mam pojęcia, o czym mówi. Pogoda na Manhattanie nie sprawia niespodzianek. Teraz za każdym razem, gdy mocniej zawieje, pytam, czy to już huragan, i wszyscy się ze mnie śmieją.

Silne podmuchy wzburzają wodę w basenie, wyginają gałęzie drzew. Pomarańcze turlają się po całym ogrodzie, jakby duchy grały nimi w piłkę. Ziemię pokrywa dywan czerwonych i żółtych liści. Zagrzebuję się w nim, kiedy nikt nie patrzy. Wdycham wilgotny zapach, czuję się jak małe dziecko. Pozostaję w ukryciu, dopóki liście nie odfruną.

- Chcę lecieć z wami - mówię.

Pewnego popołudnia po powrocie do sypialni odkrywam, że moje okno było otwierane, Linden zostawił mi prezent. Sprawdzam - otwiera się i zamyka. Siadam na parapecie, wdycham zapach wilgotnej ziemi. Chłodny wiatr odgarnia liście. Wspominam historie zasłyszane od rodziców, opowieści z czasów ich dzieciństwa. Na przełomie wieków, kiedy świat był jeszcze bezpiecznym miejscem, obchodzono święto Halloween. Dzieciaki przebierały się za straszdyła, zbierały się w grupki i chodziły po domach, zbierając słodczyce. Ulubione cukierki mojego ojca były żółte, w kształcie różków.

Okna w sypialni Jenny pozostają zamknięte, przychodzi więc do mnie, przysuwa twarz

do siatki i oddycha, głęboko pogrążona w zadumie. W takie dni jak ten, mówi, w sierocińcu podawano gorącą czekoladę. Dzieliła się jednym kubkiem z siostrami, wszystkie trzy miały potem czekoladowe wąsy.

Cecily także nie może otworzyć swojego okna. Skarżyła się, ale Linden uważa, iż w jej delikatnym stanie powinna unikać przeciągów.

- W delikatnym stanie - powtarza z przekąsem po jego wyjściu. - Już ja mu pokażę delikatny stan, jeśli wciąż będę siedzieć w tym przeklętym łóżku.

Jednak cieszy się jak dziecko, że otacza ją opieką. Linden sypia przy niej niemal co noc, pomaga w nauce czytania i pisania, karmi eklerkami, masuje stopy. Każde kaszlnięcie Cecily wywołuje alarm, lekarze potykają się o wykładziny, biegnąc, żeby zbadać jej płuca.

Jest zdrowa i silna, w przeciwieństwie do Rose. A także niepokorna. Pewnego popołudnia, kiedy Linden zostawił ją na jakiś czas samą, zamykamy się we trzy w pokoju Cecily. Jenna uczy nas tańczyć. Nie potrafimy się poruszać z taką gracją jak ona, i to właśnie jest zabawne. W ferworze zabawy zapominam, skąd u Jenny ta doskonała świadomość własnego ciała.

- O! - Cecily zatrzymuje się w połowie niezdarnego piruetu. Boję się, że zemdleje lub zacznie krwawić, ale ona podskakuje tylko lekko i wykrzykuje: - Kopie! Kopie! - Przysuwa nasze ręce do swojego brzucha.

Nagle rozlega się przeraźliwe wycie alarmu, miga czerwone światło na suficie. Wyglądam przez okno - runęło drzewo.

Pokojówki przybiegają, żeby nas zaprowadzić do piwnicy. Cecily protestuje ze łzami w oczach przeciwko posadzeniu na wózek inwalidzki. Linden w ogóle jej nie słucha, być może przeszkadza mu w tym wycie alarmu.

- Jesteś przy mnie bezpieczna, ukochana. - Ściska dłoń ciężarnej dziewczyny.

Drzwi windy rozsuwają się, ukazując piwniczny korytarz, wszyscy wychodzą. Linden, Vaughn, Jenna, Cecily, nasz personel. Zostaje Gabriel, on jeden wie, jak bardzo przeraża mnie to miejsce. Alarmy wciąż głośno zawodzą. Wyobrażam sobie podskakujący od wibracji metalowy stół z ciałem Rose. Jej obudzony do życia pozszywany gnijący zielonkawy korpus pełźnie w moją stronę napędzany nienawiścią. Pogrzebie mnie żywcem, żebym tylko została przy Linden, nie pozwoli mu umierać samotnie.

- Dobrze się czujesz? - Jenna chwyta mnie za mokrą od potu rękę. Kiwam niepewnie głową.

Zamknięcie się drzwi windy powoduje wyłączenie alarmu. Znaczy, że wszyscy są

bezpieczni. A przynajmniej osoby ważne dla Lindena. Personel nie przerywa pracy na górze. W razie nieszczęścia zostanie zastąpiony. Vaughn kupi za bezcen nowe pracowite sierotki.

- O której kolacja? - pytam. Czyli: Gdzie jest Gabriel?

Mistrz Vaughn parska upiornym śmiechem.

- Myślisz tylko o jedzeniu. Cóż, kochana, jeśli wszyscy będziemy w jednym kawałku, to o siódmej, jak zwykle.

Uśmiecham się uroczo, rumieniec okrywa policzki. Wyglądam jak zadowolona synowa. Chcę, żeby zabrał go huragan. Niech zostanie sam w kuchni w otoczeniu latających noży, garnków, rozpryskujących się talerzy. Potem niech wyleci przez zerwany dach, jego sylwetka na tle nieba będzie coraz mniejsza i mniejsza.

Pokój, do którego nas prowadzą, jest spowity ciepłym światłem lamp, są w nim wygodne fotele i sofy, łóżka z baldachimami. Przytulnie, komfortowo, luksusowo. Pomieszczenie ma nawet okna z pięknymi widokami, które wyglądają jak prawdziwe. Powietrze wpada do środka przez wentylatory w suficie. Cecily wyskakuje z wózka inwalidzkiego i odpycha Lindena. Podchodzi do stolika szachowego.

- To jakaś gra?

- Taka bystra panna nie zna się na kulturalnej rozrywce, jaką są szachy? - dziwi się Vaughn, podsycając zainteresowanie Cecily, która pragnie uchodzić za obytą, seksowną i ocytaną. Chciałaby posiadać wszystkie te cechy, niedostępne dla nastolatki.

- Naucz mnie pan? - Zasiada przy stole.

- Z radością, moja droga.

Jenna nienawidzi Vaughna bardziej niż męża. Kładzie się na łóżku z baldachimem, zaciąga kotarę i idzie spać. Służący rozmawiają o strojach i szyciu. Nie są potrzebni tu na dole, podejrzewam, że sprowadzono ich, gdyż mogą przydać się później, jeśli dom zostanie zniszczony. Linden siada na sofie obłożony papierami i czasopismami architektonicznymi, które zabrał ze sobą z góry. Bierze do ręki długopis. Siadam obok niego.

- Co rysujesz? - Zauważa mnie, dopiero kiedy się odzywam.

Spogląda z wahaniem na kartkę, jakby się zastanawiał, czy to, co na niej naszkicował, warte jest mojej uwagi. Wreszcie pokazuje mi projekt wiktoriańskiej willi porośniętej bluszczem i kwiatami. Wygląda solidnie. Filary podtrzymujące strukturę ganku, duże okna. Można nawet zajrzeć do środka. Widzę drewniane podłogi, drzwi, ubrania wiszące na klamkach. Rodzinę, która tam mieszka. Kobieta stawia na parapecie upieczone ciasto. Dom stoi pod takim kątem, że widać dwie zewnętrzne ściany. Huśtawka na podwórku wygląda, jakby właśnie zeskoczyło z

niej jakieś dziecko i zniknęło za brzegiem kartki. W trawie stoi miska z wodą dla psa, który pewnie gdzieś biega lub usnął w rabatkach sąsiada.

- Ojej. - Wzdycham z mimowolnym zachwytem.

Rozpromienia się i robi mi miejsce bliżej siebie.

- Wpadłem na pomysł, żeby rysować domy razem z mieszkańcami. Ojciec mówi, że niepotrzebnie szkicuję rodziny. Klienci wolą wyobrażać sobie siebie w środku.

Jego ojciec jak zwykle się myli.

- Ja bym chciała tam zamieszkać. - Dotykamy się ramionami, siedzimy bardzo blisko siebie.

- Lubię rysować ludzi. Sprawiają, że domy mają dusze.

Pokazuje mi inne projekty. Jednopiętrowy budynek ze śpiącym na podeście kotem, biurowiec z lśniącoymi oknami, który kojarzy mi się z domem, garaże i altany, samotny sklepik. Jestem oszołomiona, nie tylko jego talentem i zapalem, z jakim opowiada o swojej pracy, także bliskością. Nie podejrzewałam go o twórczą pasję. Nie wiedziałam, że nosi w sobie taką energię i zdolności.

Zawsze wydawał się zbyt przybity, żeby robić cokolwiek. Pozory jednak mylą. Jego szkice przyciągają uwagę, są piękne, jest w nich siła. Te domy przetrwają wiele lat, jak mój.

- Sprzedawałem dużo projektów przed... - Nie kończy myśli, nie musi. Oboje wiemy, dlaczego przestał pracować. Rose zachorowała. - Uczestniczyłem także w nadzorze prac budowlanych. Patrzyłem, jak z rysunków powstaje rzeczywistość.

- Czemu do tego nie wrócisz?

- Za późno.

- Masz mnóstwo czasu.

Cóż, cztery lata. Całe krótkie życie. Jego wzrok mówi mi, że pomyślał o tym samym.

Uśmiecha się. Przez chwilę zobaczył mnie prawdziwą. Nie ducha martwej dziewczyny.

Dotyka mojej twarzy opuszkami palców, patrzy mi w oczy poważnie i łagodnie. Z jakiegoś powodu czuję przyciąganie, pragnę mu zaufać. Rozchylam usta w oczekiwaniu na pocałunek.

- Pokażcie te rysunki! Też chcę zobaczyć! - Otwieram oczy i zabieram rękę z ramienia Lindena, nawet nie wiem, jak się tam znalazła. Przed nami stoi ciężarna Cecily z policzkiem wypchanym karmelowym cukierkiem. Przesuwam się i robię jej miejsce w środku, Linden pokazuje jej projekty.

Cecily nie rozumie, czemu lina przy huśtawce jest poszarpana i po co stroik na drzwiach

pustego sklepu. Bardzo szybko zaczyna ją nudzić rozmowa o pracy Lindena, lecz podtrzymuje ją uporczywie, nie mając zamiaru rezygnować z jego uwagi.

Idę do Jenny.

- Śpisz? - pytam szeptem.

- Nie. Zdajesz sobie sprawę, że omal cię nie pocałował? - A więc widziała, niewiele umyka jej uwadze. Patrzy na mnie badawczo. - Nigdy nie zapominaj, jak tu trafiłaś.

- Nigdy.

Ma rację.

Na moment niemal zapomniałam.

Zapadam w sen, głosy stają się coraz bardziej odległe. Śnię o ich właścicielach. Cecily jest małą biedronką w plisowanej spódnicy, a Vaughn wielkim świerszczem z wylupiastymi oczami.

- Posłuchaj, kochana - mówi świerszcz, obejmując biedronkę. - Twój mąż ma oprócz ciebie jeszcze dwie żony. Twoje siostry. Nie wolno ci wchodzić między nich.

- Ale! - Z jej biedronkowych oczu przeziiera żal.

- Proszę, proszę. Nie do twarzy ci z zazdrością. Może byś tak pograła z teściem w szachy?

Jest jego zwierzątkiem do towarzystwa. Wierną małą ciężarną towarzyszką.

Goniec na F5. Konik na E3.

Za ścianą ryczy huragan. Słyszę raz po raz zdanie: To będzie najzimniejszy dzień w piekle...

Najzimniejszy dzień w piekle.

Dom przetrwał huragan. Wszystko oprócz kilku wyrwanych z korzeniami drzew wróciło na swoje miejsce.

Leżę z zamkniętymi oczami na stercie jesiennych liści. Otwieram oczy, wyczuwając jego obecność. Gabriel trzyma w ręku termos.

- Przyniosłem ci gorącą czekoladę. Masz czerwony nos.

- A ty ręce. - Czerwone jak opadające liście. Z każdym oddechem z jego ust wydobywa się chmurka pary. Błękit oczu staje się jeszcze wyraźniejszy na tle barw jesieni.

- Robak. - Wskazuje na moją głowę.

Jakieś skrzydlate stworzenie zaplątało się we włosach. Dmucham lekko i odlatuje.

- Cieszę się, że wiatr cię nie porwał. - Wysyłam mu zaproszenie do rozmowy. Przyjmuje je, siadając obok.

- Ten dom ma chyba ze sto lat. - Nalewa mi czekolady. Siadam, przyjmuję kubek i wdycham słodki zapach. Gabriel pije prosto z termosu, obserwuję jego poruszające się jabłko Adama. - Nic go nie ruszy.

Zerkam na solidne mury rezydencji i wiem, że ma rację.

- Wygrałeś zakład? - Parzę sobie język gorącym napojem. - Drugi stopień?

- Trójka. - Jego usta są podobne do moich, popękane, w niczym nie przypominają Lindena. Przychodzi mi na myśl, że jesteśmy więźniami w opustoszałym ogrodzie zapadającym powoli w zimowy sen.

- Nie kocham go.

- Słucham?

- Lindena. Nie kocham go. Nie lubię nawet przebywać z nim w tym samym pokoju.

Odwraca wzrok, przechyla termos i odchyła głowę, żeby wypić resztkę czekolady. Na górnej wardze zostaje mu czekoladowy wąsik.

- Uznałam, że powinieneś wiedzieć.

- To dobrze. - Kiwa głową.

Patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem. Chrząkam jak świnka i zakrywam usta dłonią, zbyt rozbawiona, żeby poczuć prawdziwe zażenowanie. Nie wiem, co jest takie śmieszne. Może nic. Ale ta chwila jest bardzo, bardzo miła.

Chciałabym spędzać więcej czasu z Gabrielem. Spacerujemy, szurając nogami, po dywanie martwych liści. Automatycznie obieramy kierunek, idziemy w stronę domu. Przypominam sobie, że oboje jesteśmy więźniami. Możemy rozmawiać tylko wtedy, kiedy Gabriel mi coś przynosi. Potem musi wracać do obowiązków domowych. Pewnie dlatego przyniósł mi czekoladę.

Już prawie nie czuję słodkiego smaku na języku, bardziej oparzenie. Chmury ciemnieją i nabierają złowieszczego wyglądu. Liście wibrują, jakby trzęsły się ze strachu.

Drzwi otwierają się, kiedy Gabriel sięga do klamki. Mistrz Vaughn wita nas uśmiechem. W kuchni panuje niecodzienna cisza.

- Poprosiłam, żeby przyniósł mi czekoladę - mówię.

- Widzę, moja droga, oczywiście - odpowiada Vaughn z uśmiechem poczciwego staruszka.

Gabriel jest spięty, mam ochotę wziąć go za rękę. Choć tego nie okazuję, boję się tak samo jak on.

- Wracaj do pracy. - Gabriel skwapliwie wykonuje polecenie, zostawiając mnie samą naprzeciw Vaughna.

- Mamy taki miły chłodny dzień. Rzeńskie powietrze dobrze zrobi moim płucom. - Poklepuje się po klatce piersiowej. - Nie poszłabyś na spacer z teściem? - Pytanie jest retoryczne. Idziemy do ogrodu różanego. Trampolina Jenny tonie pod martwymi liśćmi.

Staram się nie zwracać uwagi na trzymającego mnie pod rękę starszego mężczyznę; Vaughn pachnie zamszem, wodą po goleniu i straszną piwnicą. Na chwilę opuszczam Florydę. Wyobrażam sobie jesienny Manhattan. Prawie nie ma tam drzew, fabryki zebrały swoje żniwo, zatem nie ma też dużo liści. Ale kiedy zawieje silny wiatr, zamiata je wszystkie i wydaje się, że jest ich mnóstwo. Wspomnienia pomagają mi uniknąć ataku paniki.

Może nawet nie będę musiała się odzywać, myślę. Ale na polu golfowym Vaughn zwraca się do mnie:

- Starzy ludzie mawiają, że ktoś jest czymś oczkiem w głowie. Słyszałaś to powiedzenie?

- Nie. - Jestem zaintrygowana. Opuszcza mnie cały strach.

Potrafisz świetnie kłamać, Rhine. Dasz radę.

- Cóż, ty, moja droga, jesteś oczkiem w głowie Lindena. - Ścisła mnie serdecznie, przyprawiając o mdłości. - Jego ulubienicą.

- Chyba mnie nawet nie zauważa. - Spuszczam oczy skromnie. - Bardzo lubi Cecily. -

Szczerze mówiąc, zauważyłam, że Linden poświęca mi coraz więcej uwagi. Szczególnie od czasu naszego „prawie pocałunku” w piwnicy. Podejrzewam, iż przyciąga go moje podobieństwo do Rose.

- Uwielbia Cecily, podobnie jak ja. Jest uroczo nadgorliwa. - To dziewczynka, która nigdy nie miała dzieciństwa. Zrobi wszystko za odrobinę ciepła i uznania. - Młodziutka. Dużo się jeszcze musi nauczyć. Chyba się ze mną zgodzisz? - Nie czeka na odpowiedź. - A ta starsza, Jenna, wypełnia swoje obowiązki, lecz brakuje jej twojego wdzięku. Przypomina zimną rybę. Gdyby to ode mnie zależało, wypuściłbym ją z powrotem do wody. - Wykonuje zamaszysty gest ręką. - Linden uparł się, by ją zatrzymać. Ma nadzieję, że obdarzy go potomkiem i się zmieni. Mój syn zawsze był nazbyt wrażliwy.

Ładna mi wrażliwość, zabił jej siostry.

- Ona jest po prostu nieśmiała - zapewniam. - Zależy jej na nim, ale boi się powiedzieć coś niewłaściwego. Zwierzyła mi się, jak bardzo nasz mąż ją peszy - kłamię w nadziei, że uda mi się uchronić Jennę przed wyrzuceniem z powrotem do wody. Cokolwiek kryje się pod tą metaforą, chciałabym jej tego oszczędzić.

- No i ty - kontynuuje Vaughn, jakby mnie nie słyszał. - Inteligentna. Bardzo miła. - Zatrzymuje się i ujmuje mnie pod brodę. - Widziałem, jak na ciebie patrzy.

Jestem naprawdę zażenowana, nie udaję.

- Myśli nawet o powrocie do żywych. Znów zainteresował się pracą. - Uśmiech Mistrza Vaughna wygląda na szczery. Obejmuje mnie ramieniem, omijamy przeszkody na polu golfowym. Uśmiechnięte klauny, gigantyczne rozki lodowe, wiatraki i świecąca latarnię.

- Wiele lat temu, zanim urodził się Linden, miałem już syna. Był silny jak byk - to też powiedzonko z dawnych czasów.

- Naprawdę?

- Nigdy nie chorował. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że każde dziecko rodzi się z tykającą bombą w środku. Nie miał szans, podobnie jak reszta. I jak ty.

Siadamy przy siódmym dołku.

- Linden nie jest silny, ale mam tylko jego. - Znów wygląda jak poczciwy staruszek. Gdybym go nie znała, pewnie wzbudziłby we mnie współczucie. Obejmuję go pocieszająco ramieniem, choć wiem, że nie można mu ufać.

- Od dnia jego narodzin prowadzę badania nad wynalezieniem formuły szczepionki. Laboratorium pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Znajdę lekarstwo przed upływem czterech lat.

A jeżeli nie? Dziecko Cecily stanie się kolejnym królikiem doświadczalnym po śmierci Lindena i jego wybranek?

- Mój syn będzie długo żył. I jego żony także. Przed tobą prawdziwe, pełne życie. Dzięki tobie Linden wychodzi z depresji po śmierci Rose, nie rozumiesz? Odzyskuje wolę działania z twoją pomocą. Znowu będzie osiągał sukcesy i zabierał cię na przyjęcia. Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz.

Nie wiem, czemu mi to mówi, jego obecność przyprawia mnie o mdłości. Czy to kochający ojciec, który pragnie dla syna wszystkiego co najlepsze? A może domyślił się, że zamierzam uciec? Patrzy mi prosto w oczy, nie poznaję tego człowieka. Wydaje się jakby mniej niebezpieczny.

- Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak.

Po śmierci rodziców w piwnicy pojawiły się dziesiątki szczurów, wychodziły z kanalizacji, przegryzały instalację elektryczną, niszczyły zapasy jedzenia. Były sprytne, nie wchodziły w żadne pułapki, więc Rowan postanowił je wytruć. Zrobił miksturę z mąki, cukru, wody i sody oczyszczonej, porozkładał papkę po całej podłodze. Nie spodziewałam się, że sposób okaże się skuteczny. Myliłam się. Pewnej nocy, trzymając wartę, zobaczyłam szczura. Zataczał się, potem upadł, zaczął piszczeć i drzeć. Umierał godzinami. Eksperyment Rowana okazał się makabrycznym sukcesem.

Mistrz Vaughn dawał mi wybór. Mogę mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, który kroi na kawałki martwe ciała synowej i wnuka dla nieistniejącego leku. Umrę za cztery lata, a moje szczątki posłużą do eksperymentów. W nagrodę przez cztery lata będę wiodła wystawne życie. Jednak skonam jak szczur, w męczarniach.

Przez cały dzień zastanawiam się nad tym, co powiedział. Uśmiecha się do mnie podczas kolacji, a ja myślę o umierającym szczurze.

Wieczorem udaje mi się pozbyć przykrych skojarzeń i wspomnienia złowieszczonego głosu Vaughna. Obiecałam sobie, że przed zaśnięciem będę przywoływać tylko przyjemne myśli o domu.

Nikt z mojego otoczenia nie ma wstępu do tych fantazji. Przypominam sobie surowo, że Linden, choć ma miły sposób bycia, jest moim wrogiem. Wyrwał mnie z domu, przywłaszczył sobie, rozdzielił z bratem.

Kiedy leżę już w łóżku, myślę o Rowanie. Od najwcześniejszego dzieciństwa osłaniał mnie własnym ciałem przed niebezpieczeństwem. Pamiętam przerażenie w jego oczach na myśl,

że mógłby mnie stracić po tym, gdy uratował mi życie, strzelając do Kolekcjonera. Zawsze byliśmy razem, mama od najmłodszych lat kazała nam się trzymać za rączki i pomagać sobie nawzajem.

Wspomnienia wracają falami co noc, kiedy jestem sama w domu pełnym ludzi. Na kilka godzin udaje mi się uciec od fałszywej rzeczywistości. Płacę za to przeraźliwą samotnością, lecz przynajmniej nie zapominam, kim jestem.

Pewnej nocy na granicy jawy i snu słyszę, że Linden wchodzi do sypialni tysiące kilometrów ode mnie, podczas gdy ja bawię się z Rowanem sznurkiem od latawca, mama śmieje się wesoło, a tata gra na fortepianie sonatę Mozarta. Brat rozplątuje sznurek zasupłany wokół moich palców i pyta, czy żyję. Śmiech więźnie mi w gardle, Rowan nie podnosi na mnie wzroku.

Nigdy nie przestanę cię szukać, mówi. Znajdę cię, nawet jeżeli to ma być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

- Jestem tutaj - odpowiadam.

- To tylko sen. - Głos nie należy do mojego brata. Linden przysunął usta do mojej szyi. Nie słyszę już muzyki, na próżno przebieram palcami, chcąc pochwycić nieistniejący sznur. Uświadamiam sobie, że jeśli otworzę oczy, ujrzę ciemną sypialnię, luksusowe więzienie. Nie chcę się obudzić, rozczarowanie byłoby zbyt bolesne.

Moja koszula nocna robi się wilgotna od łez Lindena, który śni o Rose i jest tak samo samotny jak ja. Całuje mnie we włosy i obejmuje ramieniem. Pozwalam mu na to. Chcę i potrzebuję tej bliskości. Wciąż z zamkniętymi oczami przysuwam głowę do jego piersi, żeby posłuchać mocnych uderzeń serca.

Tak, pozostanę sobą. Rhine Ellery. Siostrą, córką. Choć czasem to bardzo boli.

Mój prześladowca przytula mnie do siebie, zasypiam wsłuchana w jego oddech.

Rano wciąż czuję oddech Lindena na szyi. Leży wtulony w moje plecy. Nie ruszam się, żeby go nie obudzić. Wstydzę się wczorajszej słabości. Czy udawanie może stać się rzeczywistością? Czy za jakiś czas on powie, że mnie kocha i pragnie mieć ze mną dziecko, a ja przystanę na to z ochotą?

Nie, to niemożliwe.

Wracają do mnie słowa Vaughna. Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz.

Mogę być żoną Lindena i mieszkać w jego pięknym domu albo uciec tak szybko, jak potrafię. Istnieje szansa, że zgine, próbując wydostać się na wolność.

Trzy dni później znów nadciąga huragan, wyje alarm. Wydostaję się na zewnątrz przez okno sypialni, przytrzymuję się gałęzi drzewa i zeskakuję w krzaki. Upadek jest bolesny, ale kości są całe. Biegnę, zostawiam za sobą trzeszczący dom, powietrze ma dziwny odcień szarości. Włosy i liście zasłaniają mi oczy, nic sobie z tego nie robię. Biegnę. Chmury pulsują złowieszczo, niebo rozcinają białe błyskawice.

Straciłam poczucie kierunku. Niewiele widzę. Hałas nie cichnie nawet na sekundę. Wiatr wyczynia harce, wzbijając tumany piasku, trawy i liści.

Nie wiem, ile czasu tak biegłam, zanim usłyszałam swoje imię. Ktoś zawołał raz, a potem jeszcze parę razy. Zabrzmiało to dla mnie niczym seria wystrzałów z karabinu maszynowego. Zderzam się z gigantycznym rozkiem lodowym, znaczy, że dotarłam na pole golfowe. Teraz łatwiej odnajdę właściwy kierunek.

Nie wiem, jak daleko stąd jest wyjście. Znam każdy zakamarek posiadłości, a nigdy nie widziałam bramy wyjazdowej.

Chowam się za gigantyczną kulką lodów czekoladowych, żeby uniknąć uderzenia przez miotane wiatrem gałęzie. Drzewa! Z góry z pewnością więcej widać. Przecież muszą być jakieś ukryte drzwi, brama, żywopłot... Cokolwiek, co umknęło dotychczas mojej uwadze.

Udaje mi się zrobić zaledwie jeden krok do przodu. Nie mogę oddychać. Padam na ziemię i na próżno staram się osłonić twarz przed napierającym wichrem. Boję się, że tu umrę. Nie pożegnaj się nawet ze światem. Zakończę życie, patrząc na wytwór fantazji Lindena. Wśród wiatraków, klaunów, wpatrzona w psychodeliczne światełko.

Latarnia. Przez chwilę zdawało mi się, że mam przywidzenia, ale światło jest realne. Moja ulubiona dekoracja, przypomina mi nowojorską przystań z latarnią wskazującą drogę do domu rybakom. Skoro nie mogę uciec, chcę się wrócić do domu w tym potwornym miejscu. I tam umrzeć.

Boję się wstać, żeby nie porwał mnie wiatr. Czołgam się, wbijając stopy i łokcie w podłogę. Coraz dalej od głosu wołającego moje imię, wycia alarmu, od nagłego ukłucia bólu. Nie mam czasu, żeby przyjrzeć się ranie, ale czuję w ustach smak krwi, kapie na zieloną murawę. Modlę się jedynie, żeby nie zostać sparaliżowana. Mogę się poruszać, więc uparcie posuwam się naprzód.

Patrzę z bliska na pęknięcia w drewnie i odrapaną farbę. Dotarłam do celu, ale nie chcę jeszcze umierać. Pragnę iść dalej, lecz nie mam dokąd. Wyciągam ręce po ratunek, drogę do światła.

Trzymam się drabiny. To tylko dekoracja, jednak można się po niej wspiąć. Jestem w

stanie to zrobić. Moje dłonie zaczynają krwawić, coś wpada mi do oka, tracę oddech.

Wspinaczka zdaje się trwać w nieskończoność. Kiedy wreszcie docieram na szczyt, oślepia mnie jasne światło. Chwieję się na nogach, mało brakowało, a bym spadła.

Latarnia góruje nad drzewami.

Jest wyjście. Daleko, daleko. Majaczy w oddali jak fatamorgana. Całe kilometry od pola golfowego. Na końcu świata.

Znak, że mam dziś umrzeć. Latarnia wskazała mi ostatnią drogę.

Ta żelazna brama to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Schodzę powoli na dół, znów słyszę swoje imię, tym razem głośniej, całkiem blisko.

- Rhine!

Zbliżają się do mnie błękitne oczy i brązowe włosy Gabriela, jego ramiona mocniejsze od ramion Lindena. Nie on cały, lecz części Gabriela znikają i migają na wietrze. Patrzę na dramatyczną czerwień jego ust.

- Uciekam! - krzyczę. - Chodź ze mną!

- Rhine! Rhine! - krzyczy rozpaczliwie.

Chyba mnie nie słyszał.

Wyciąga ku mnie ręce, a ja nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, co mówi. Nagle moją głowę przeszywa niewyobrażalny ból i spadam wprost w rozpostarte męskie ramiona.

Powietrze jest nieruchome. Wokół panuje cisza.

Mogę swobodnie oddychać. Czuję zapach środków dezynfekujących.

- Nie - mówię cicho lub tylko próbuję powiedzieć. Nie mogę otworzyć oczu. Vaughn tu jest, wyczuwam jego obecność. Trzyma w ręku zimny ostry skalpel i zaraz mnie rozetnie.

Krew pulsuje mi w żyłach, serce bije bardzo mocno.

Pyta, czy mogę otworzyć oczy.

Zapach herbaty wydobywa mnie z odrętwienia. Wbrew logice ludzę się, że to Rowan budzi mnie do pracy, podając kubek earl greya. Napotykam pełne nadziei spojrzenie Lindena. Jego usta są nienaturalnie czerwone, popękane. Na twarzy i szyi ma dziwne czerwone pręgi. Boleśnie ściska moją dłoń.

- Dzięki bogu, że się obudziłaś. - Pada na mnie jego cień.

Wymiotuję i tracę przytomność.

Wiele lat później znów otwieram oczy. Wiatr za oknem wyje jak opętany. Chce się dostać do środka, zabrać mnie. Szukam za oknem światła latarni, na próżno.

Linden śpi obok mnie, na tej samej poduszce. Słyszając świst jego oddechu, uświadamiam sobie, że to właśnie wicher z mojego snu.

Wracam do rzeczywistości. Wcale nie minęło wiele lat. Twarz Lindena to wciąż twarz młodego chłopaka, na moim palcu tkwi obrączka, jesteśmy w starym domu, który przetrwał już niejeden huragan.

Coś jest jednak nie w porządku. Z mojego przedramienia wystaje igła, zostałam podłączona do kroplówki. Jakiś monitor odmierza monotonnie uderzenia mojego serca. Próbuję usiąść, uniemożliwia mi to intensywny ból żeber. Mam nogę na wyciągu.

Linden mamrocze coś pod nosem, wybudza się ze snu. Zamykam oczy i udaję, że śpię. Nie chcę z nim rozmawiać. Będę go widzieć codziennie przez resztę życia.

Nieważne, co zrobię, nie ma stąd ucieczki.

Nie mogę udawać śpiączki w nieskończoność. Odwiedzający wchodzą i wychodzą. Linden mnie nie odstępuje, poprawia poduszki, pracuje nad projektami i czyta mi na głos książki. Historia Frankenstein'a wydaje się boleśnie ironiczna. Nasz mąż nie pozwala Jennie ani

Cecily rozmawiać ze mną dłużej niż minutę. To samo dotyczy Deirdre. Potrzebujesz odpoczynku, mówi. Troskliwy lekarz i kochający teść w jednej osobie wylicza obrażenia, jakich doznałam.

- Niezłe się urządziłaś, moja droga, ale jesteś pod najlepszą opieką.

Pod wpływem gorączki widzę go jako mówiącego gada. Ostrzega mnie, że przez co najmniej dwa tygodnie nie będę mogła stawać na lewej nodze i że na razie oddychanie będzie sprawiać ból. Nic mnie to nie obchodzi. Nie spieszy mi się nigdzie, mam resztę swojego nędznego życia na rekonwalescencję.

Czas przestał istnieć, nie wiem, ile dni leżę w łóżku. Na przemian tracę i odzyskuję przytomność, za każdym razem, gdy otwieram oczy, widzę coś innego. Linden czyta na głos książkę. Jenna i Cecily stoją w progu ze smutnymi minami, zaniepokojone. Ich twarze zamazują się i znikają. Odczuwam wszechobecny ból i odrętwienie.

- Muszę przyznać, że twój wyczyn jest bardziej ekstremalny niż próba ucieczki kanałami wentylacyjnymi - dobiega mnie głos Vaughna. Z wysiłkiem rozchylam powieki. Widzę rozmyty obraz jego twarzy. Coś ciepłego przepływa przez moje żyły, drżę z ulgi, kiedy ustaje przeszywający ból w zębach. - Tego właśnie próbowała twoja nieżyjąca poprzedniczka. Kanały wentylacyjne! Udało jej się zejść aż do głównego holu. Mała spryciara miała wtedy zaledwie jedenaście lat.

Rose... Wypowiadam jej imię w myślach.

Suche szorstkie dłonie dotykają mojego czoła, nie mogę już otworzyć oczu. Czuję na skórze ciepły oddech, kiedy mówi mi wprost do ucha:

- Nie ma się co dziewczynie dziwić, tak została wychowana. Jej rodzice byli moimi dobrymi znajomymi, szanowanymi chirurgami. Dopóki nie postradali zmysłów i nie zaczęli jeździć po kraju, głosząc wariackie teorie spiskowe. Jeżeli nie udaje nam się znaleźć sposobu na wyleczenie wirusa, mówili, musimy poszukać pomocy. Według nich istniała szansa, iż jakiś kraj oprócz naszego przetrwał kataklizm. Nauczyli dzieciaka historii nieistniejących narodów, jakby jej się to mogło do czegokolwiek przydać.

Znów rozlewa się po moim ciele fala ciepła. Farmakologiczne otępienie. Co on mi wstrzykuje? Używam całej siły woli, żeby unieść powieki. Widzę podwójnie, jednak dość wyraźnie, aby się przekonać, że nie ma przy mnie nikogo poza Vaughnem.

- Ciii, nie bój się. - Przesuwa palcami po moich powiekach i zamyka je. - Wysłuchaj do końca mojej historii na dobranoc. Niestety, nie ma szczęśliwego zakończenia. Zabierali córkę ze sobą, słyszała wszystkie ich wariackie teorie, I wiesz co ich spotkało? Ktoś im podłożył bombę

w samochodzie, w jednej chwili osierocili dziecko. Świat bywa niebezpiecznym miejscem, czyż nie?

Bomba. Na Manhattanie też od czasu do czasu rozlegał się głośny huk świadczący, że właśnie ktoś zginął. Nie są to miłe wspomnienia, próbuję się poruszyć, lecz nie jestem w stanie.

- Są ludzie, którym zależy, aby wirus nie został unieszkodliwiony. Uważają, że ludzka rasa powinna wyginąć, najwyższy czas. Zabijają ludzi próbujących nas ratować.

Wiem! Jestem tego świadoma. Moi rodzice pracowali w laboratorium i dostawali z tego powodu mnóstwo listów z pogrózkami. Dwie strony nieustannie ze sobą walczą: naukowa popierająca badania genetyczne i dążenie do opracowania formuły szczepionki, ale także humanistyczna, której przedstawiciele nawołują do pogodzenia się z tym, iż jest już za późno, a każda dodatkowa ingerencja tylko pogarsza sytuację. Ludzkość jest skazana na wymarcie.

- Szczęście ci sprzyja. Masz tu jak pączek w maśle, ciepłutko i bezpiecznie. Lepiej tego nie psuj. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś ważna. Linden by się załamał, gdyby cię stracił. Przecież tego nie chcesz.

Uświadamiam sobie, dlaczego Rose zniechęcała mnie do ucieczki. Nie tylko dlatego, żeby Linden nie został sam po jej śmierci. Chciała mnie ostrzec, uchronić przed karą, jaka ją spotkała za nieudaną próbę. Słyszę cichy szept Rose powtarzający ostatnie słowa Vaughna:

- Jeśli ci życie miłe, więcej nie próbuj żadnych sztuczek.

Linden wydaje się nie mieć pojęcia, że próbowałam uciekać.

- Powiedziałaś mu, że byłeś w ogrodzie, kiedy rozpętała się burza - szepcze mi do ucha Jenna pewnego popołudnia, kiedy zasnął wtulony w moje ramię. - Widziałam, jak wychodzisz przez okno. Co planowałaś?

- Sama nie wiem. W każdym razie poniosłam klęskę.

Wygląda, jakby chciała mnie przytulić. To niemożliwe, cała jestem obolała.

- Uwierzył ci?

- Tak, mimo rozbitego okna w twojej sypialni. Mistrz Vaughn mógł domyślić się prawdy. Cała służba kuchenna zarzeka się, że widziała cię w ogrodzie przed burzą, twierdzą, iż próbowałaś wrócić do domu po usłyszeniu alarmu. To go powinno przekonać.

- Bronią mnie?

- Muszą cię naprawdę lubić. - Uśmiecha się i odgarnia za ucho kosmyk moich włosów. - Zwłaszcza Gabriel.

Gabriel! Przypominam sobie czysty błękit jego oczu na tle szalejącego żywiołu. Rozpostarte ramiona. Wpadłam w nie i poczułam się bezpiecznie, a potem straciłam przytomność.

- Wyszedł po mnie.

- Nie on jeden. Dużo osób. Linden też cię szukał. Oberwał parę razy gałęzią.

Ocieram palcem strużkę krwi z jego posiniaczonej twarzy.

- Myślałam, że nie żyjesz. Kiedy Gabriel wniósł cię do kuchni, wyglądałaś, jakby w twoim ciele nie pozostała ani jedna cała kość.

- Nie pomyliłaś się za bardzo.

- Cecily darła się jak opętana. Trzy osoby musiały ją zaprowadzić na siłę do jej pokoju. Vaughn postraszył, że jeśli nie przestanie krzyczeć, to straci dziecko. Oczywiście nic jej nie jest. Znasz Cecily.

- Co z Gabrielem? - Nie widziałam go, odkąd odzyskałam przytomność. Nie wiem, ile czasu minęło od wypadku.

Linden bełkocze coś przez sen i boję się, że za chwilę otworzy oczy. Wtula mocniej twarz w moje ramię, oddycha równo.

Jenna raptem poważnie. Szepcze mi prosto do ucha, aby mieć pewność, że nikt inny nie usłyszy:

- Nie wiem, co między wami zaszło, ale bądź ostrożna. Dobrze? Wydaje mi się, że Vaughn nabiera podejrzeń.

Na sam dźwięk jego imienia ścina mi się krew w żyłach. Nikomu nie opowiadałam o naszej „rozmowie” na temat Rose. Nie tylko dlatego, że trudno mi odróżnić rzeczywistość od majaczeń, głównym powodem jest strach przed nim. Nie chcę nawet myśleć o Vaughnie.

Nie wiem, co odpowiedzieć Jennie, bo nie wiem, co zaszło między mną a Gabrielem. Jest spięty w obecności Vaughna. Czy jego strach wynika z przykrych doświadczeń? Z trudem przetykam ślinę.

- Co mu się stało?

- Nic. Ma tylko zadrapania. Odwiedzał cię parę razy, kiedy spałaś.

Jenna jak zwykle jest dobrze poinformowana. Milcząca postać w tle, która nic nie przegapi. Vaughn mówił coś o wyrzuceniu zimnej jak ryba dziewczyny do wody. Wspominam jej zamordowane siostry i nie mogę powstrzymać łkania.

- Ciii - uspokaja mnie i całuje w czoło. - Wszystko będzie dobrze. Przypilnuję, żeby nic mu się nie stało. Już dobrze.

- Nie jest dobrze - chlipię. Nic więcej nie dodaję, Vaughn mógłby podsłuchać. Wszędzie go pełno, wie prawie wszystko. Przeklęty władca marionetek. Ma rację. I tak tu umrę, lepiej, żebym skupiła się na swoim komforcie. Zaczynam podejrzewać, że to on jest moim prześladowcą, a chłopak śpiący obok tylko jednym z więźniów.

Jenna zostaje ze mną, dopóki jestem świadoma. Po jakimś czasie ból staje się nie do zniesienia, tracę przytomność.

Budzę się następnego dnia rano. W drzwiach stoi zmieszana Cecily. Jej brzuch dużo się powiększył, poza tym schudła.

- Cześć. - Ma głosik małej dziewczynki.

- Cześć. - Mój głos przypomina tłuczone szkło. Odchrząknięcie byłoby zbyt bolesne. Przypominam sobie, co mi powiedziała Jenna o reakcji Cecily na widok mojego zmasakrowanego ciała.

- Jak się czujesz? - Nie czekając na odpowiedź, pokazuje skrywany za plecami wazon pełen białych kwiatów w kształcie gwiazdek. - Lilie, takie jak z twojej opowieści.

Rzeczywiście wyglądają zupełnie jak kwiaty hodowane przez mamę. Upstrzone różowymi plamkami niczym rozmazanym atramentem. Cecily stawia bukiet na stoliku i

przykłada rękę do mojego czoła.

- Trochę gorączkujesz.

Mała dziewczynka udająca mamę. Bawi się w dom. Odczuwam nagły przypływ uwielbienia dla niej, co być może jest wywołane działaniem środków przeciwbólowych.

- Chodź tutaj. - Wyciągam do niej rękę z kroplówką, podchodzi, przytula mnie delikatnie i ostrożnie, czuję na szyi jej ciepłe łzy.

- Bardzo się bałam - mówi.

Ta rezydencja jest jej wymarzonym domem, w którym nikomu nie powinna się dziać krzywda. Wszyscy mamy żyć długo i szczęśliwie.

- Ja też. - Wciąż się boję, dodaję w myślach.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - Ociera z twarzy ślady łez.

Ruchem głowy wskazuję śpiącego obok mnie Lindena.

- Zabierz go stąd na jakiś czas. Nie powinien przesiadywać tu całymi dniami, zamartwiając się o mnie. Spróbuj go czymś zająć, poróbcie razem coś fajnego.

Kiwa z uśmiechem głową. Nie będzie mieć trudności ze spełnieniem mojej prośby, potrafi poprawiać nastrój naszemu mężowi. Poza tym skwapliwie korzysta z każdej okazji, aby mieć go tylko dla siebie.

Jeszcze przed południem udaje jej się go wywabić z mojego pokoju. Narzeka, że czuje się zaniedbana i zaraz się rozplacze, jeśli Linden nie zagra z nią w szachy. Nie powinna się denerwować, to grozi poronieniem.

Wreszcie mogę się nacieszyć chwilą względnego spokoju i ograniczonej wolności.

Zapadam w krótką drzemkę. W moim śnie jest ciepłe słoneczne lato. Mama i tata. Dźwięki fortepianu. Rozmawiam przez zabawkowy telefon z przyjaciółką.

Słyszac inny głos, błyskawicznie się budzę i otwieram oczy. Pokój zaczyna wirować.

- Rhine?

Głos Gabriela znajdzie mnie wszędzie. We śnie i w huraganie.

Stoi w drzwiach, podrapany i posiniaczony. Trzyma coś w dłoniach, ale nie wiem co. Próbuję usiąść, nie udaje mi się. Gabriel siada na brzegu łóżka.

- Przepraszam cię - mówię, nim zdąży się odezwać.

Odkłada trzymany przedmiot i bierze mnie za rękę. Ogarnia mnie poczucie bezpieczeństwa, podobne do tego, jakiego doznałam tuż po upadku.

- Jak się czujesz? - zadaje proste pytanie.

- Źle. - Uratował mi życie, więc winna mu jestem szczerość.

Przygląda mi się, ale tak jakby mnie nie widział. Jakby mój żalony widok przenosił go w inne miejsce.

- O czym myślisz? - zagaduję.

Odpowiada dopiero po chwili.

- Niewiele brakowało. - Nie chodzi mu o to, że moja ucieczka mogła się udać.

Otwieram bezradnie usta, żeby go jeszcze raz przeprosić. Ujmuję moją twarz w dłonie, przyciska czoło do mojego czoła. Czuję na wargach ciepło jego oddechu, jest tak blisko.

Nasze usta się dotykają - delikatnie, ledwo odczuwalnie. Potem mocniej, cofają się spłoszone i znów się do siebie przysuwają. W całym połamanym ciele zamiast bólu odczuwam przyjemne ciepło, zarzucam Gabrielowi ręce na szyję, przywieram do niego mocno. Chcę go przytrzymać, w tym miejscu nigdy nie wiadomo, kiedy straci się coś cennego.

Z korytarza dobiega hałas, odsuwamy się od siebie gwałtownie. Gabriel wygląda za drzwi i przez okno. Jesteśmy sami, roztrzęsieni. Powinniśmy być bardziej ostrożni.

Moje serce bije bardzo szybko, krew szumi w uszach. Tym razem to nie strach sprawia, że z trudem chwytam oddech. To euforia. Gabriel chrząka niepewnie. Ma zaczerwienione policzki i rozmarzony wzrok. Trudno nam na siebie patrzeć.

- Przyniosłem ci coś. - Sięga po wielką księgę, którą wcześniej położył na łóżku.

- Atlas Lindena? - pytam sceptycznie.

- Tak, ale spójrz. - Otwiera atlas na stronie z rzekami Europy. Obok brązowej mapki poprzecinanej niebieskimi liniami widnieje spis. Gabriel wskazuje trzecie słowo od dołu. Rhine (Ren). Przesuwa palcem po niebieskiej linii.

- Dostałaś imię na cześć rzeki.

Nieistniejącej już rzeki. Nie wiedziałam o niej. Rodzice musieli wiedzieć. Uwielbiali przybierać pozę tajemniczych naukowców, wielu rzeczy nam nie zdążyli powiedzieć.

Idę za przykładem Gabriela i dotykam niebieskiej żyłki na mapie. Rzeki, której nie ma. A może jest? Połączyła się z oceanem.

- Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam, że moje imię cokolwiek znaczy.

Przypominam sobie reakcję Rose, kiedy usłyszała moje imię. Powiedziała, że to piękne miejsce.

- Nie podają zbyt wielu informacji o rzece. - Gabriel jest rozczarowany.

- Nie szkodzi! - śmieję się, przyciągam go do siebie i całuję w policzek. Oblewa się purpurą, podobnie jak ja.

Nawet nie wie, ile to dla mnie znaczy, ale na pewno zauważył, że sprawił mi wielką

przyjemność. Odgarnia mi włosy z czoła, spogląda na moją twarz. Rhine. Rzeka, która się uwolniła.

Całą noc śnią mi się rzeki, a pod ich powierzchnią piękne kwiaty o spiczastych płatkach.

- Uśmiechałaś się przez sen - słyszę, kiedy się budzę.

Linden siedzi na parapecie ze szkicownikiem na kolanach. Wokół niego leżą kartki papieru, wygląda, że pracuje już od jakiegoś czasu. Vaughn twierdzi, że syn odzyskał motywację do pracy dzięki mnie. Nie rozumiem, czemu mi o tym powiedział, ale ma rację. Mąż ostatnio zrobił sporo nowych projektów, nie wykluczam, iż to ja go zainspirowałam.

- Śniłam o naszej przeprowadzce do domu, który zaprojektowałeś. Tego z ciastem na parapecie i huśtawką w ogrodzie - kłamię uszczęśliwiona. Za oknem świeci słońce, zapowiada się piękny dzień.

Linden uśmiecha się do mnie z nieśmiałą nadzieją. Nieczęsto widuje mnie w takim nastroju, pewnie podejrzewa, że to pod wpływem dużego stężenia środków przeciwbólowych we krwi. Poruszanie sprawia mi mniejszy ból niż zazwyczaj. Mogę już siedzieć wsparta o poduszki.

- Podobno poszedłeś mnie szukać w czasie burzy.

Odkłada szkicownik, siada obok mnie na łóżku. Rozcięta warga ładnie się goi. Przypomina grzecznego chłopca, który wdał się w szkolną bójkę. Usiłuję wyobrazić go sobie targanego wiatrem. Nie sądzę, żeby mógł zająć daleko. Gdyby ktoś mu nie pomógł, z pewnością by zginął.

- Myślałem, że cię straciłem. - Na jego wargach pojawia się grymas przypominający uśmiech.

- Wiatr utrudniał orientację. Nie wiedziałam, jak wrócić do domu. Próbowałam.

- Wiem. - Poklepuje mnie pocieszająco po rękę. Patrzy tak smutno, aż mam wyrzuty sumienia, zaczynam siebie nienawidzić za kłamstwa.

- Coś ci pokażę - mówi.

Dowiaduję się od niego, że przez tydzień leżałam nieprzytomna. Uderzyło mnie w tył głowy skrzydło wiatraka. Inne obrażenia zawdzięczam stercie gruzu rozciągającej się od pola golfowego aż do stajni. Linden zapewnia, że wszystko jest już prawie uprzątnięte. Nie ma poważnych strat. Podobno majaczyłam w gorączce coś o szczurach, tonących statkach, eksplozjach i próbach zatamowania krwawienia.

Na szczęście nie pamiętam już żadnego koszmaru.

Natomiast Linden wszystko słyszał, a ponieważ nie mógł ze mną nawiązać kontaktu, spędzał czas przy moim łóżku, rysując. Waha się przed pokazaniem mi pierwszego szkicu, można by pomyśleć, że to zdjęcie z miejsca zbrodni.

Obrazek przedstawia ciemne budynki przechylone na boki lub rozrywane od środka przez rosnące w nich drzewa. Z okien kapie krew, podwórko pokrywa dywan z martwych szcurków. Od dziewięciu miesięcy jestem żoną tego mężczyzny, a myślałam, że nic o mnie nie wie. Tymczasem on uchwycił na papierze moje lęki. Brakuje tylko Rowana. A może jest: ukryty za księżycem w pełni albo w krwawiącym domu patrzy na ten sam księżyc, który ja oglądam zamknięta w luksusowym więzieniu. I każde z nas ma nadzieję, że to drugie żyje i ma się dobrze.

Kręci mi się w głowie. Trzymać swoje sny w dłoniach to bardzo dziwne uczucie. Ostatni rysunek przedstawia altanę, w której braliśmy ślub. Jest porośnięta pajęczynami i upstrzona krwawymi odciskami palców, z dachu wystaje połamane skrzydło wiatraka.

- A ten szkic jest odzwierciedleniem mojego stanu. Tak się czułem, nie będąc pewien, czy się jeszcze obudzisz.

Wpatruję się z niedowierzaniem w ruinę małżeństwa, którą symbolizuje zdewastowana altana ogrodowa. Rozumiem rozpacz Lindena po stracie pierwszej żony, lecz nie pojmuję, dlaczego moje odejście miałoby być dla niego wstrząsem. Tamtej nocy, nim uciekłam, wypłakiwał się na moim ramieniu z żalu i tęsknoty za Rose. Zabiegałam o jego względy, zależało mi na pozycji pierwszej żony, lecz nie miałam pojęcia, że stałam się dla niego tak samo ważna jak zmarła. Dlaczego? Dlatego że jestem do niej podobna?

W milczeniu studiuje rysunki. Widać na nich zamiłowanie Lindena do szczegółów. Oglądający ma możliwość zajrzenia do środka każdego domu. Jeden z pokoi od podłogi po sufit wypełniony jest cukierkami, inny wytapetowany mapami drogowymi.

- Gniewasz się? Nie powinienem był ci tego pokazywać. - Wyciąga rękę, żeby odebrać rysunki. Przytrzymuję je mocno.

- Nie. - Mrugam z niedowierzaniem wpatrzona w pokój pełen ryb. Dokładną kopię mojego ulubionego hologramu, z którego korzystam w basenie. Jedyna różnica to krwawiące ludzkie kończyny w rybich pyskach. - One... przerażają. Nie miałam pojęcia, że są takie koszmary.

- Ja... nie powinienem był. - Linden blednie, unika mojego spojrzenia. - Ojciec mówi, że powinienem rysować bardziej...

- Nie słuchaj ojca, nie ma racji. - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Patrzy na mnie ze zdumieniem. Skoro zaczęłam, muszę skończyć. - Nie powinieneś tłumić swojego talentu. No dobrze, pewnie nikt nie zechce zamieszkać w krwawiącym domu z rekinami i drzewami, ale w pozostałych jak najbardziej.

- To nie są projekty. - Wskazuje na makabryczne obrazki, które trzymam.

- Domyślam się.

- Może kiedyś ktoś mieszkał w tych domach. - Zwraca mi uwagę na detale: kołatkę na drzwiach, żaluzje, które kiedyś pewnie były nowe i czyste, połamane krzaki róż - niegdyś pięknych - na podwórku pełnym szczurów. - Ale coś poszło nie tak. Coś się stało.

Rozumiem, co chce powiedzieć. Myślę o pięknym domu, w którym przyszła na świat moja matka. O wspaniałym mieście zniszczonym przez chemiczne odpady, gdzie nie rosną już kwiaty. O zniszczonym świecie, wymarłych narodach. Zamglone oczy Lindena szukają zrozumienia w mojej twarzy. Kiwam głową. Podobnie jak jemu, mnie także to wszystko wydaje się rozdzierająco smutne.

- Wiem. Bardzo dobrze rozumiem - zapewniam.

Coś bardzo złego stało się ze światem.

Linden pracuje coraz więcej i coraz częściej pyta mnie o zdanie na temat projektów. Zaczyna częściej rysować klasyczne budynki z myślą o potencjalnych klientach. Jak na chłopaka, który dorastał pod szklanym kloszem i nigdzie nie wyjeżdżał, ma bardzo dużo pomysłów.

Po południu zwykle przychodzi po niego Cecily, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna, gdyż potrzebuję czasu dla siebie. A Lindenowi dobrze robi zmiana otoczenia. Spędza przy moim łóżku tyle czasu, że czasem odnoszę wrażenie, iż to on jest chory.

Pewnego dnia nie zjawia się u mnie.

- Myślałam, że jest z tobą. - Mówię do Cecily, gdy wkracza do mojej sypialni, żeby porwać Lindena.

Nikt go nie widział. Mistrz Vaughn także gdzieś przepadł. Cecily staje się coraz bardziej niespokojna. Układa się obok mnie na łóżku z książką ze zdjęciem płodu na okładce.

- Jak się wymawia to słowo: brzemiennosć?

Odpowiadam, a ona mówi mi, co to znaczy, chociaż ja wiem. Pokazuje mi tabelki, diagramy, opisuje, co teraz robi jej dziecko. Potrafi już ssać kciuk i miewa czkawkę. Co jakiś czas, kiedy dziecko zaczyna kopać, zachęca mnie, żebym dotknęła brzucha. Po raz kolejny uświadamiam sobie boleśnie, że wszystko dzieje się naprawdę. Martwię się o przebieg porodu.

Boję się, że Cecily, jak przed nią Rose, urodzi martwe dziecko. Przeraza mnie myśl, że ten mały człowiek, żywy czy martwy, trafi do piwnicy Vaughna jako obiekt jego eksperymentów.

Kiedy Cecily opowiada o rodzeniu łożyska, wchodzi Linden. Ma na sobie elegancki garnitur, włosy schludnie zaczesane do tyłu. Wygląda w tej fryzurze mniej niepokojąco niż ojciec.

- Gdzieś ty był? - dąsa się dziewczyna.

- Na spotkaniu z klientem. - Radośnie patrzy w moją stronę. - Pewna firma jest zainteresowana zatrudnieniem mnie do współpracy nad projektowaniem nowej galerii handlowej.

- To wspaniale! - wołam szczerze uradowana.

Linden siada na brzegu łóżka obok Cecily. Pachnie miastem: spalinami samochodowymi i lakierem do podłóg.

- Pomyślałem sobie, że za miesiąc lub dwa, kiedy dojdiesz już do siebie, moglibyśmy wybrać się na wystawę architektoniczną. Są trochę nudne, ale to by była dobra okazja, żeby zaprezentować moje prace. No i pochwalić się piękną żoną. - Odgarnia pukiel włosów z mojej twarzy. Jestem mile połączona komplementem i zadowolona z okazji do wyjścia z domu.

- To trochę głupie - wtrąca się Cecily. - Kogo obchodzą zakupy? Tam, skąd pochodzę, nie było żadnej galerii handlowej.

- Nie chodzi o tradycyjną galerię handlową - wyjaśnia cierpliwie Linden. - Bardziej o hurtownię, zamkniętą dla indywidualnych klientów. Będą sprzedawać asortyment medyczny dla szpitali, maszyny do szycia dla szwalni... Tego typu rzeczy.

Znam takie miejsca. Pośredniczyłam kiedyś telefonicznie w realizacji zamówień i kilka razy towarzyszyłam Rowanowi przy dostarczaniu towaru.

- Czy na tego typu imprezach pojawia się ekipa telewizyjna? - pytam.

- Nie. Za nudne. W niczym nie przypominają uroczystości przecinania wstęgi czy chrzcin.

- Co to są chrzciny? - Cecily po raz kolejny przypomina nam o swojej obecności.

Linden wyjaśnia, że w dzisiejszych czasach (z wszechobecnym widmem końca przed oczami) ludzie świętują powstawanie nowych budynków. Takich jak szpitale albo nawet salony samochodowe. Ma to dla nas symboliczny wymiar, świadczy, że ludzkość się nie poddaje i wciąż zaznacza swoją obecność na świecie. W celebracjach urządzanych przez firmy budowlane uczestniczą wszyscy, którzy przyczynili się do wzniesienia budynku.

- Jak Nowy Rok - tłumaczy Linden. - Tylko że chodzi o nową budowlę.

- Zabierzesz mnie na takie chrzciny? - Szczebiocze Cecily.

- Twoje miejsce jest teraz w domu, kochanie. - Kładzie rękę na jej wydatnym brzuchu. - Masz bardzo ważne zadanie do spełnienia.

- Po urodzeniu dziecka.

Całuje ją, a ona oddaje pocałunek.

- Wtedy będziesz zajęta zajmowaniem się nim.

- Elle może go popilnować od czasu do czasu. - Zaczyna się irytować. Linden prosi, żeby przelożyli rozmowę na później, kiedy będą sami. - Nie. Teraz - odpowiada ze łzami w oczach. Zupełnie zapomniała o poradniku, który wylądował na moich kolanach.

- Cecily... - próbuję się wtrącić.

- To nie w porządku! - zwraca się do mnie. - Oddałam mu wszystko, co miałam, a nie wolno mi nawet pójść na zakichane przyjęcie, kiedy mam ochotę. A ty co zrobiłaś? Z czego zrezygnowałaś i co mu dałaś?

Więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, Cecily, odpowiadam w myślach.

W środku aż gotuję się z wściekłości. Walczę ze sobą, żeby nie dać się sprowokować. Muszę zachować prawdę dla siebie, inaczej zostanę tu na zawsze. Nie pozwolę odebrać sobie tego, na co ciężko zapracowałam. Imprezy to jedyna szansa na pokazanie Rowanowi, że żyję. Cecily mi jej nie odbierze.

Jej wielkie dziecinne oczy wzbierają łzami, zaczyna szlochać. Linden wynosi drobną ciężarną zapłakaną dziewczynkę z mojego pokoju.

Ze złością patrzę na lilie, które przyniosła mi kilka dni temu. Zwiędły i rozpadają się na kawałki jak zwłoki pięknej kobiety.

Dobre chęci Cecily nigdy nie trwają długo.

Gabriel i ja jesteśmy teraz bardzo ostrożni. Często rozmyślam o naszym jedynym pocałunku, a kiedy się widzimy, rozmawiamy o pogodzie. Robi się coraz zimniej, niedługo spadnie śnieg, mówi, wchodząc z obiadem do pokoju.

- Byłeś już u Cecily? - pytam, kiedy stawia mi tacę na kolanach. Odkąd jestem przykuta do łóżka, nie widzimy się tak często jak kiedyś. Nie mogę asystować mu przy pracy ani umawiać się z nim na ukradkowe spotkania w ogrodzie.

- Taaa - mruczy. - Rzuciła we mnie sosjerką.

- Nie wierzę. - Śmieję się mimowolnie.

- Bo prosiła o mocniej przypieczone ziemniaki. Dobrze celuje jak na ciężarną -

komentuje szyderczo. Wszyscy oprócz Lindena i Vaughna znają mało subtelne usposobienie Cecily. - Jest dziś w wyśmienitym humorze.

- To chyba moja wina. Wczoraj wieczorem Linden powiedział, że zabierze mnie na jakieś służbowe przyjęcie, a ona wpadła w szal.

Krzywi się i przysiada na brzegu łóżka.

- Interesują cię takie imprezy?

- Gabriel - ściszam głos. - To może być moja jedyna szansa na wydostanie się stąd.

Spogląda na mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, po czym spuszcza wzrok.

- Cóż, nie jest to najgorszy z twoich pomysłów.

- Racja. Mam cztery gipsowe opatrunki.

- Aż tak ci tu źle? - Wydaje się przerażony. - Zmuszają cię... no wiesz? - Wpatruje się w kominek.

- Nie. - Biorę go za rękę. - Nic z tych rzeczy. Po prostu nie mogę spędzić tu reszty życia.

- Dlaczego? Co takiego ciekawego jest na wolności?

- Przede wszystkim mój brat. Dom. - Ściskam jego dłoń, patrzy na nią otępiąłym wzrokiem. - O co chodzi?

- To zbyt niebezpieczne. Zostań.

Nigdy go takim nie widziałam. Nie jest obrażony ani zły jak tamtego dnia przy basenie. Nie ma w nim goryczy. To coś innego.

- Ucieknij ze mną.

- Co?

- zaproponowałam ci to już tamtej nocy, kiedy uratowałam mi życie. Nie słyszałeś przez ryk huraganu. Ze szczytu latarni wypatrzyłam wyjście. Miałam zamiar spróbować tam dotrzeć. „Chodź ze mną”, powiedziałam ci.

- A zaraz potem drewniana belka pozbawiła cię przytomności - dopowiada beznamiętnie. - Rhine, to niebezpieczne. Wiem, że nie masz zamiaru wbiegać w środek kolejnego huraganu, więc co? Nie wyjdiesz przecież ot tak z przyjęcia.

- Właśnie o tym myślę. - Wypowiedziany głośno pomysł wydaje się absurdalny.

Gabriel zabiera tacę, przysuwa się blisko i chwyta mnie oburącz za dłonie, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

- Nieważne, w jaki sposób będziesz próbować uciec, ryzyko pozostaje to samo. Nie pozwolą ci tak po prostu odejść. Miesiącami miałaś zablokowane okna. I wiesz co? Vaughn napomknął ostatnio coś na temat odebrania wam przywilejów.

- Skąd wiesz?

- Powiedział całemu personelowi, że jeżeli ty, Cecily albo Jenna poprosicie nas o uruchomienie windy, mamy najpierw zgłosić się do niego po pozwolenie.

- Kiedy to powiedział?

- Kiedy walczyłaś o życie podłączona do aparatury medycznej.

- Nie walczyłam o życie - wyprowadzam go z błędu. - Nie zależało mi na nim wtedy. Wiesz co daje mi siłę? Myśl o tej rzece. Ren. Wydaje mi się, że rodzice nadali mi takie, a nie inne imię z jakiegoś ważnego powodu. Znaczący, że moim przeznaczeniem jest dotarcie do jakiegoś celu. Właśnie podejmując próby ucieczki, walczę o życie.

- Jaki jest ten cel?

- Nie wiem! - Logicznymi pytaniami sprawia, że zaczynam w siebie wątpić. - Daleko stąd. Gdziekolwiek, byle nie tu. Jesteś ze mną czy nie?

- A zostawiłabyś mnie? - Unosi brew.

- Nie. Siłą bym cię ciągnęła za sobą. - Uśmiecham się i on też posyła mi ciepły uśmiech.

- Wariatka z ciebie, wiesz?

- Dzięki temu się nie poddaję. - Nachyla się do pocałunku, zamykam oczy, jego ręka przesuwa się delikatnie po moim policzku, ktoś puka do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Wchodzi Deirdre. - Przyniosłam ci aspirynę na polecenie Mistrza Vaughna.

Gabriel niechętnie zbiera się do wyjścia. Wiem, że chciałby mnie dotknąć.

- Do zobaczenia.

- Na razie - odpowiadam.

Kiedy opuszcza pokój, Deirdre podaje mi białą tabletkę oraz wodę do popicia. Połykam lekarstwo.

- Nie przeszkodziłaś w niczym. To znaczy... Ja i Gabriel nic...

Policzki mnie pieką, szukam właściwych słów, Deirdre kwituje moje zażenowanie uśmiechem.

- W porządku. Mistrza Vaughna nie ma w domu. Wezwali go do szpitala zaraz po tym, gdy kazał ci przynieść pigułkę. - Bierze z toaletki tubkę z balsamem do ust i rozsmarowuje trochę na moich popękanych wargach. Poprawia poduszki. - Ładna dziś pogoda. Otworzyć okno?

- Nie, dziękuję. - Przerywa na chwilę krzątanie wokół mnie, dostrzegam troskę w jej oczach. Moja mała wierna pomocnica. - Mam wszystko, czego mi trzeba. Nie martw się.

- Co ci powiedział Mistrz? - Szepcze, wprawiając mnie w osłupienie.

- Słucham?

- Kiedyś przyszedłam zmienić pościel i zastałam go przy twoim łóżku. Wyglądałaś, jakbyś spała, a on kazał mi wyjść. - Spuszcza wzrok, jakby się wstydziła. - Próbowałam podsłuchiwać pod drzwiami. Przepraszam, wiem, że tak nie wolno. Ale...

Wydaje się bliska płaczu, to do niej niepodobne, przez chwilę zastanawiam się, czy przypadkiem nie mam znów halucynacji wywołanych gorączką.

- Przestraszyłam się, że chce ci zrobić krzywdę.

Dotykam uspokajająco jej dłoni, drży.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Och, Rhine - szłocha. - Jeżeli próbowałaś uciec, więcej tego nie rób. Nigdy ci się nie uda, za to Vaughn zamieni ci życie w piekło.

- Nie uciekałam.

Dziewczynka kręci głową.

- On tak myśli, a tylko to się liczy. Nic nie rozumiesz. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny, kiedy się zdenerwuje.

- Deirdre. - Przyciągam ją do siebie delikatnie. - Co mi właściwie usiłujesz powiedzieć?

Twarz pokojówki jest mokra od łez.

- Pani Rose nie chciała dziecka - mówi, pokonując czkawkę. - Między nią a Mistrzem ciągle wybuchały przez to kłótnie. Nie wierzyła w antidotum i nie chciała wydawać na świat dziecka, które będzie musiało przedwcześnie umrzeć. Krzyczał, że jest cholerną orędowniczką zagłady. Kiedyś schowałam się ze strachu w szafie, nie chcąc znaleźć się w środku awantury.

Siada na moim łóżku i ociera łzy wierzchem dłoni, lecz napływają nowe.

- Jednak, kiedy już zaszła w tę niechcianą ciążę, była bardzo szczęśliwa. Poprosiła mnie o lekcje szydełkowania i zrobiła sama kocyk do kołyski. - Uśmiecha się przelotnie na to wspomnienie. - Zaczęła rodzić pod nieobecność Lindena, był wtedy na targach architektonicznych. Zwijała się z bólu, więc Vaughn nafaszerował ją lekami. Ocknęła się po kilku godzinach i usłyszała, że maleństwo - dziewczynka - nie przeżyło. Nie uwierzyła. Słyszałam płacz dziecka, powtarzała z uporem. Powiedział jej, że musiała mieć halucynacje, dziecko urodziło się martwe.

W pokoju robi się nagle jakby ciemniej i zimniej. Deirdre mówi dalej:

- Ale ja także słyszałam przez drzwi płacz noworodka, kiedy wymieniałam kadzidła w korytarzu. „Chcesz śmierci ludzkiej rasy, a więc wygląda na to, że wszystko idzie po twojej

myśli”, tak powiedział Mistrz Vaughn do Rose.

Serce mi się ściska, jakbym słyszała te słowa wypowiedziane jego głosem pod moim adresem. Wyobrażam sobie zrozpaczoną Rose trzymającą się za brzuch, w którym niedawno poruszała się córeczka. Żałuję, że nie opowiedziała mi tego sama za życia. Chciałabym móc ją przytulić i powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Musiała nienawidzić Vaughna tak samo jak ja. Zapewne tolerowała go ze względu na Lindena, miłość pozwalała Rose znosić obecność teścia. Być może miała nadzieję, że dla mnie także pokochanie naszego męża okaże się pomocne w przetrwaniu katuszy obcowania z Vaughnem.

- Och, to ją zupełnie zniszczyło psychicznie. Nigdy się nie otrząsnęła, nie była taka jak dawniej. Nie cierpiała dzieci. Nie mogła nawet patrzeć na swoją pokojówkę, Lydię. Za bardzo przypominała jej o zmarłej córeczce. Poprosiła Zarządcę Lindena, żeby ją sprzedał. Unikała jak ognia mnie i Elle.

- Czy ktokolwiek poza tobą o tym wie?

- Nie. Wszyscy uwierzyli, że dziecko urodziło się martwe. Albo udają. Proszę, nie mów nikomu.

- Nie powiem. - Podaję jej chusteczkę. - Wszystko zostaje między nami.

Wyciera nos i chowa chustkę do kieszeni spódnicy.

- Tylko tobie to powiedziałam.

Sprawia wrażenie, jakby poczuła wielką ulgę. Potworna tajemnica okazała się za dużym ciężarem dla małej dziewczynki. To miejsce - ten świat - nie pozwala już dzieciom na przeżywanie dzieciństwa. Obejmuję ją, przytula się mocno do mojej piersi, pozwalając sobie na nietypowy dla niej moment słabości.

- Ostatnie słowo zawsze należy do niego. Proszę cię, nie sprzeciwiaj mu się. Dla własnego dobra.

- Dobrze - zapewniam nieszczerze. Ta historia jedynie utwierdziła mnie w przekonaniu, że muszę się stąd wydostać. Być jak rzeka. Dzieją się tu rzeczy bardziej przerażające, niż mogłam sobie wyobrazić. Życie całkiem się zmieniło od czasów, gdy w maminym ogrodzie kwitły lilie, a ja szeptałam swoje dziecięce sekrety przez zabawkowy telefon.

Cecily kończy grać, hologram znika, dziewczyna wyciąga ręce nad głową, ma splecione palce, słysząc cichy trzask stawów.

- To było piękne, kochanie - chwali ją Linden, który siedzi obok na kanapie i obejmuje mnie ramieniem. Jego dłoń błądzi po udzie leżącej po drugiej stronie Jenny.

- Mamy własną małą pianistkę koncertową - stwierdza z uznaniem Jenna, nawijając na palec kosmyk włosów Lindena.

- Może nie koncertową. - Cecily zamyka klapę instrumentu.

- Nie - przyznaję. - Sala koncertowa jest zbyt bezosobowa. Mówiłaś, zdaje się, że skomponowałaś tę melodię podczas spaceru po ogrodzie różanym?

- W labiryncie z żywopłotu - poprawia mnie Jenna.

- Obie się mylicie. - Cecily siada na kolanach Lindena. - Przyszła mi do głowy w gaju pomarańczowym.

- Sama ją skomponowałaś? - dziwi się Linden.

Jenna wciąż bawi się jego włosami, a on głaszcze ją z roztargnieniem.

- Tak. Mam ją w głowie. Zazwyczaj zapamiętuję melodie, chociaż... - Nagle smutnieje, przerywa i patrzy gdzieś w bok.

- O co chodzi, kochanie?

- To dość stara melodia. Od dawna nie wychodziłam z domu.

- Jak my wszyscy, Cecily - zwracam jej uwagę. - Nie jesteś sama. Spacerować w taką pogodę są zbyt niebezpieczne. Widziałaś, w jakim byłam stanie. Dopiero niedawno wstałam z łóżka.

- Od kilku tygodni nie było burzy - protestuje Jenna. - Pogoda jest bardzo ładna. Chyba się ze mną zgodzisz? - zwraca się do naszego męża, który oblewa się rumieńcem. Uwielbienie trzech żon naraz może mężczyznę przerosnąć.

- Chy... chyba tak.

- Mistrz Vaughn troszczy się jedynie o nasze bezpieczeństwo - przypominam. - Dlatego nie wypuszcza nas nigdzie bez swojego towarzystwa.

- Nie wypuszcza was?

- To jest trochę męczące - skarży się Jenna. - Oczywiście, uwielbiam teścia. Jednak

dziewczyna potrzebuje czasem prywatności.

- Na tworzenie - oświadcza Cecily.

- Na myślenie - dorzucam swoją cegiełkę.

- Żeby pogadać z inną dziewczyną o babskich sprawach - dodaje Jenna. - Od dawna też nie miałyśmy szansy pograć z Rhine w tenisa ani poskakać na trampolinie. Gry komputerowe nie zastąpią nam ruchu.

- Nic nie chcę mówić - wtrąca Cecily. - Ale obie zaczynają tyć.

Jenna mruży oczy.

- I kto to mówi.

Linden już i tak jest zaczerwieniony na twarzy, a kiedy Cecily całuje go czule i pyta, czy jego zdaniem cięża ujmuje jej atrakcyjności, biedak zaczyna się plątać.

- Je... jesteś piękna - jąka się. - Wszystkie jesteście. Skoro dzięki spacerom będziecie szczęśliwsze, porozmawiam o tym z tatą. Nie miałem pojęcia, że czujecie się stła... stłamszone.

- Naprawdę? - woła Cecily.

- Rzeczywiście to zrobisz? - pytam, wtulając się w jego ramię.

- Jesteś kochany. - Jenna całuje go w czubek głowy.

Linden wzdyga się nieznacznie, delikatnie zsuwa Cecily z kolan i uwalnia się z objęć moich oraz Jenny.

- Porozmawiam z nim, kiedy tylko wróci ze szpitala.

Wychodzi, a my nasłuchujemy odgłosów ruszającej windy. Po chwili wybuchamy głośnym śmiechem, aż pokładamy się na sobie nawzajem.

- To było świetne - sapie Jenna.

- Wyszło nawet lepiej, niż zaplanowałyśmy - przyznaję.

- Dobrze wypadłam? - dopytuje Cecily.

- Zapomnij o muzyce. - Jenna mierzwi jej ręką włosy. - Powinnaś zostać aktorką.

Ściskamy się, świętując nasze drobne zwycięstwo. Przez chwilę dobrze nam ze sobą, niemal jak w prawdziwym małżeństwie.

W dzień uroczystości Cecily zaczyna się uskarżać na bóle.

- To tylko skurcze Braxtona Hicksa - uspokaja ją Mistrz Vaughn. - Jeszcze się nie zaczyna.

Ale ona naprawdę cierpi. Zgina się w pół przy łóżku, łapie kurczowo za brzeg materaca, ma strach w oczach. Na pewno nie udaje.

- Lepiej zostańmy w domu - mówię Lindenowi. Od tygodnia mogę już swobodnie się poruszać i tyle mniej więcej czasu zajęło Deirdre zaprojektowanie i uszycie sukni, którą mam na sobie. Zniosłam dzielnie zabiegi upiększające przeprowadzone na moim ciele przez watahę nadgorliwych służących - ponad godzina pucowania, polerowania i woskowania. Oby było warto, myślałam z determinacją. Teraz stoję na progu sypialni Cecily, obok mnie bardzo zaniepokojony Linden.

Mistrz Vaughn z pomocą Elle układają Cecily na łóżku.

- Idźcie, idźcie - ponagla nas. - Urodzi najwcześniej za dwa miesiące.

Nie wierzę mu. Oczami wyobraźni widzę wrzeszczącą z bólu dziewczynę wieszoną na szpitalnym wózku przez piwniczny korytarz i sekcję przeprowadzaną na jej martwym dziecku. W oczach Vaughna nie ma śladu ludzkich uczuć, kiedy nacina skórę noworodka. Przypomina dziką bestię.

Cecily pojękuje, Elle ociera jej spoconą twarz mokrym ręcznikiem. „Zostańcie”, próbuje powiedzieć, ale Vaughn chwytą ją za rękę:

- Kochanie, jeżeli twój mąż pozyska dziś klientów, być może z jego rysunków powstanie najprawdziwszy dom albo sklep. Nie byłoby wspaniale móc wejść do środka takiego budynku? Nie chciałabyś?

Cecily wydaje się niezdecydowana. Łączy ją z Vaughnem jakaś dziwaczna więź, której nie potrafię określić ani zrozumieć. Jakby żywiła przekonanie, że jest jego ulubienicą albo traktowała go jak ojca, którego nigdy nie miała. Spełnia bez szemrania każde polecenie tego człowieka.

- Idźcie - zgadza się. - Mnie nic nie będzie. To przecież moje zadanie. Cieszę się, że mogę je spełnić. - O dziwo, mówi to bez przekąsu.

- Dobra dziewczynka - chwali ją Vaughn.

Nie chcę zostawiać jej z nim samej. Po prostu nie. Jednocześnie nie wiadomo, kiedy nadarzy się okazja, żeby udowodnić Lindenowi, iż nadają się na pierwszą żonę. Tę, która będzie przy nim podczas spotkań towarzyskich.

Podczas gdy Linden żegna się z Cecily, zapewniając, że niedługo wróci, ja odnajduję Jennę w bibliotece i proszę, żeby kontrolowała sytuację.

- Nie ufam Vaughnowi.

- Ja też nie. Łączą ich jakieś dziwne sekrety. Nie wiem, co on jej opowiada, ale trochę to niepokojące.

- Nie chcę, żeby była z nim sama.

- Jasne. - Idzie do salonu po szachy. Zamierza poprosić Cecily, żeby nauczyła ją grać. - Postaraj się dobrze bawić, przyrzekasz? Pozdrów ode mnie świat za bramą.

- Zrobię to, jeżeli go zobaczę.

Mamy jechać na przyjęcie tą samą limuzyną, która mnie tu przywiozła, o ironio losu. Linden nie rozumie nawet mojego wahania, kiedy stoję przed drzwiami pojazdu.

- Otwórzmy okna - proszę.

- Pada śnieg - zauważa. Sądziłam, że Floryda to słoneczny stan. Okazało się to częściowo prawdą.

- Zimne powietrze jest zdrowe dla płuc. - Słowa Vaughna, więc mogą być kłamstwem.

- Jak chcesz.

Sadowię się na tylnym siedzeniu. W wiaderku z lodem chłodzi się butelka szampana, skórzane siedzenia są podgrzewane. Mam wrażenie, jakby lada chwila miało wydarzyć się coś strasznego. Czym prędzej otwieram okno i wdycham mroźne powietrze, nie protestuję, kiedy Linden zarzuca mi na ramiona swój płaszcz. Jeszcze nawet nie ruszyliśmy, a już jestem pełna lęku. Znając Vaughna, podejrzewam, że znów mnie uśpią, żebym nie widziała bramy wyjazdowej.

Szyberdach jest zaciemniony, nie widać przezeń nocnego nieba.

- To się nie otwiera?

Linden parska śmiechem i robi mi rozgrzewający masaż barków.

- Chcesz się zamienić w sopel lodu? Oczywiście, że się otwiera.

Wystawiam głowę przez szyberdach, chwieję się, niemal tracąc równowagę, kiedy ruszamy. Linden mnie przytrzymuje. Nic mi już nie przeszkadza, opieram się rękami o dach, pada na mnie śnieg, roztapia się w świetle samochodowych reflektorów. Patrę na drzewa, które wydają się przemieszczać, mijamy pole golfowe - wygląda już jak przed huraganem, przejeżdżamy przez gaj pomarańczowy i obok trampoliny Jenny. Wszystkie te rzeczy, z których składał się cały mój świat przez wiele miesięcy, stają się coraz mniejsze, gdy odjeżdżamy coraz dalej i dalej. Zegnaj, zdają się mówić, miłego wieczoru. Uśmiecham się i patrzę przed siebie, wypatrując, co przed nami.

Na początku tylko drzewa. Nigdy nie dotarłam tak daleko. Nawet nie wiedziałam o istnieniu tej drogi. Wydaje mi się, że jedziemy całe wieki. Podziwiam gwiazdy przeświecające przez gałęzie drzew i półkole księżyca, który nas ściga.

Wreszcie docieramy do końca posiadłości i brama tak po prostu otwiera się przed nami. Ozdobny kwiat z kutego żelaza rozdziela się na dwie połówki. Za bramą widzę najpierw

drzewa, a potem nagle miasto. Kolorowe neony, światła, śmiejący się i rozgadani przechodnie. Okolica wygląda na dostatnią w odróżnieniu od tej, z której pochodzę. Odnoszę wrażenie, iż pieniądze dają tym ludziom złudzenie długowieczności. Być może wierzą w wynalezienie na czas lekarstwa albo po prostu cieszą się, że mają wygodne domy, do których chce im się codziennie wracać. Ani śladu desperacji czy głodujących sierot. Moim oczom ukazuje się kobieta w różowej sukni zgięta wpół ze śmiechu pod drzwiami kina. I ogromny telebim z bieżącym repertuarem. Wdycham zapach fast foodów, betonu i kanalizacji.

Przeżywam coś w rodzaju szoku. Czuję się, jakbym wylądowała na Marsie, a jednocześnie wróciła do domu.

Przejeżdżamy obok linii brzegowej, która jest inna niż w Nowym Jorku. Piaszczysta plaża i przystań z żaglówkami.

Linden nalega, żebym usiadła, bo nabawię się zapalenia płuc. Mam zamiar go zignorować, lecz po chwili ogarnia mnie lęk, że jeśli naprawdę się rozchoruję, nigdy więcej mnie nigdzie nie zabierze. Wahał się nawet, czy powinien zaproponować mi dzisiejsze wyjście, może to za wcześnie po wypadku. Vaughn przekonał go jednak, iż jestem silna jak byk (od razu nasunęło mi się skojarzenie z jego zmarłym synem).

Siadam posłusznie i pozwalam Lindenowi pozamykać okna. Przyglądam się miastu przez przyciemnioną szybę. Nie jest tak źle. Mąż nalewa mi szampana, stukamy się kieliszkami. Już piłam alkohol, kilka lat temu po upadku z dachu przy próbie naprawy. Wybiłam sobie bark, przed jego nastawieniem Rowan przyniósł mi z piwnicy zakurzoną butelkę wódki, miała złagodzić ból.

Szampan jest inny, lekki i musujący. Nie pali gardła, lekko rozgrzewa.

Jak przystało na przykładną pierwszą żonę, pozwalam Lindenowi się objąć. Przez chwilę sprawia wrażenie nieco spiętego, lecz szybko się rozluźnia. Nawija na palec kosmyk moich wystylizowanych do granic możliwości włosów. Rozmyślam o Rose: jakie ona nosiła fryzury na specjalne okazje.

Dopijamy szampana, Linden odbiera ode mnie pusty kieliszek, mówiąc, że na przyjęciu także będzie alkohol, mnóstwo wina i toastów.

- Po paru drinkach Rose już tylko udawała, że pije. Chyba nawet umawiała się z kelnerem, że będzie jej podawać puste kieliszki. - Wygląda przez okno, jakby był zmieszany tym, co powiedział.

- W porządku. - Lekko dotykam jego kolana. - Co jeszcze robiła Rose?

Zaciska usta, spogląda na mnie niepewnie.

- Śmiała się z wszystkich żartów i patrzyła rozmówcom w oczy. Bez przerwy się uśmiechała. Pod koniec wieczoru, kiedy już zostawaliśmy sami, narzekała, że ją bolą policzki.

Uśmiechać się. Udawać zainteresowanie rozmówcą. Nie pić zbyt wiele, ale udawać, że się to robi. Błyszcząc jak gwiazda, uzupełniam listę. Pasuje do Rose. Zostanę wprowadzona w świat jako jej następczyni, tak jak powiedziała pierwszego dnia naszej znajomości. Nie chciałam jej wtedy uwierzyć. Dziś, w ciepłym pachnącym męską wodą po goleniu wnętrzu limuzyny, myślę sobie, że mogło być gorzej. Oczywiście, to tylko tymczasowa sytuacja.

Tętniące życiem i kolorami miasto nie jest moje, a jego mieszkańcy są obcymi ludźmi. Nie ma tu mojego brata. On czeka samotnie na mój powrót gdzieś daleko stąd. Nikt nad nim nie czuwa, kiedy śpi. Ta myśl przyprawia mnie o atak paniki, ledwie zapanowuję nad mdłościami. Muszę wytrzymać, to jedyna szansa na nasze ponowne spotkanie.

Limuzyna zatrzymuje się obok wysokiego białego budynku. Podwójne drzwi wejściowe zdobi olbrzymia atlasowa wstęga. Podobnie przystrojone są okoliczne sklepy i latarnie. Mężczyzna w stroju Świętego Mikołaja potrząsa dzwonkiem, a ludzie wrzucają pieniądze do stojącego u jego stóp czerwonego wiaderka.

- Przygotowania do zimowego przesilenia zaczęły się wcześniej w tym roku - odzywa się swobodnie Linden.

Nie obchodziłam zimowego przesilenia, odkąd skończyłam dwanaście lat. Rowan uważał wydawanie pieniędzy na prezenty i tracenie czasu na dekorowanie za niepraktyczne. Kiedy byliśmy mali, rodzice przystrajali dom czerwonymi wstążkami i bałwankami z tektury, przez cały grudzień z kuchni dochodziły smakowite zapachy pieczonych ciast. Tata grał na fortepianie stare melodie, miał śpiewnik zatytułowany „Pieśni bożonarodzeniowe”. Nazwa Boże Narodzenie przestała być używana, nim tata przyszedł na świat. W najkrótszy dzień roku dostawaliśmy prezenty, zazwyczaj zrobione własnoręcznie przez rodziców: mama była utalentowaną krawcową, a ojciec potrafił zrobić z drewna niemal wszystko.

Rodzinne tradycje odeszły wraz z nimi. Dla mnie i mojego brata zima to już tylko okres wzmózonej aktywności włóczęgów. Musieliśmy zabijać okna deskami, inaczej osieroczone dzieciaki uciekające w popłochu przed mrozem mogłyby dostać się do środka. Zima w Nowym Jorku bywa bezlitosna. Często musieliśmy przekopywać się przez kilkumetrowe zasy, żeby dojść do pracy. Przesuwaliśmy posłanie bliżej kominka, a i tak z ust unosiły się nam obłoczki pary.

- Pewnie wszyscy będą cię chcieli pocałować w rękę. Nie obrażaj się - szepcze Linden; ujmuje mnie pod ramię i prowadzi w stronę schodów.

Nie oczekiwałam zbyt wiele po imprezie, którą określił jako nudną i nieciekawą. Jednak odświętnie ubrany tłum w środku przyciąga moją uwagę. Wszędzie jest pełno ruchomych trójwymiarowych hologramów przedstawiających różne budynki. Do wszystkich hologramowych pomieszczeń można zajrzeć przez okna, które otwierają się i zamykają. Obok każdego projektu stoi architekt, odpowiada na pytania. Patrząc w górę i zamiast sufitu widzę symulację błękitnego nieba, białe chmurki przesuwają się nad naszymi głowami. Podłoga wygląda jak łąka pełna polnych kwiatów, nie mogę się powstrzymać, żeby nie dotknąć nieistniejącej trawy. Wygląda to tak, jakbym zanurzała dłoń w ziemi, lecz palcami dotykam chłodnych płytek. Linden krztusi się ze śmiechu.

- Zawsze starają się stworzyć środowisko, w którym domy wyglądają naturalnie - wyjaśnia. - Ta wystawa jest lepsza od ostatniej, na której byłem. Wyglądała jak pustynia i wszystkim chciało się pić. Kiedyś zrobili tylko pusty chodnik, żeby przyciągnąć przedsiębiorców, zainteresowanych miejscami na biura. To było dopiero przygnębiające. Postapokaliptyczna wizja.

Szwedzki stół z deserami przypomina makietę miasta. Tort w kształcie rotundy już został napoczęty. Jest basen z niebieskiej galaretki o czekoladowym dnie. Fontanna z czekolady. Porozrzucane kwiaty z lukru. Przychodzi mi na myśl „Czarnoksiężnik z Krainy Oz” i krajobraz po przejściu trąby powietrznej.

Ktoś całuje mnie w rękę. Uśmiecham się promiennie, jeżą mi się włosy na karku.

- Kim jest ta urocza młoda dama? - zapytuje mężczyzna. Słowo „mężczyzna” ma tutaj zastosowanie nieco na wyrost, gdyż osobnik w kosztownym garniturze wygląda na młodszego ode mnie.

Linden z dumą przedstawia mnie jako swoją żonę. Nie przestając się uśmiechać, wypijam duszkiem kieliszek wina i sięgam po następny, alkohol pomaga mi znieść te uprzejmości i pocałunki. Inne żony wyglądają na całkiem szczęśliwe przy boku mężów. Prawią mi komplementy, zachwycają się biżuterią, pytają, jak długo trwało układanie moich włosów, narzekają na swój personel domowy. Po jakimś czasie przestają słuchać, kiwam tylko z uśmiechem głową i popijam wino. Jedna kobieta jest w ciąży, robi scenę, kiedy kelner proponuje jej drinka. Nazywają mnie słoneczkiem i skarbem, pytają, kiedy zamierzam mieć dziecko.

- Staramy się - odpowiadam.

Żadna z kobiet nie wspomina ani słowem o ochroniarzach, którzy prawdopodobnie powaliliby na ziemię każdą z nas, gdybyśmy próbowały wyjść bez mężów.

Tym niemniej jestem zachwycona hologramowymi budynkami, a kiedy Linden załącza własny projekt, nieruchomieję z podziwu. Rysunek został pokolorowany i powołany do życia. Nie widziałam go wcześniej, jest jakby połączeniem kilku pomysłów. To dom w stylu wiktoriańskim, bluszcz na ścianach rośnie, cofa się i znów rośnie. W środku widać ruchome sylwetki, które stają w miejscu, wskazując poszczególne elementy wystroju, kiedy zaglądam przez okno. Wydaje mi się, że czuję nawet zapach ulubionego potpourri Rose. W jednej sypialni znajduje się mnóstwo wazonów wypełnionych bukietami lilii. Na półkach w bibliotece nie ma nic prócz atlasów, na środku podłogi stolik z rozpoczętą partią szachów.

Kręci mi się w głowie od ruchomych obrazów, przytrzymuję się Lindena, żeby nie stracić równowagi, a on całuje mnie w czoło. To miłe, po wszystkich tych dotykach obcych osób.

- Jak ci się podoba?

- Jeżeli ktokolwiek powie, że nie chciałby mieszkać w takim domu, jest nienormalny. - Uśmiechamy się do siebie i równocześnie podnosimy kieliszki do ust.

Wieczór się kończy, mam w ustach smak alkoholu i lukru. Świat pachnie jakoś tak słodko przez ten lukier. Moje loki pozostały w nienaruszonym stanie, choć po szyi cieknie mi strużka potu. Jestem w transie, uśmiecham się bez przerwy, wybucham perlistym śmiechem, poklepując obcych mężczyzn ze słowami: „Och, przestań”, kiedy prawią mi komplementy. Zachwycają się moimi oczami, pytają, czy są naturalne.

- Oczywiście. A jakie miałyby być?

- Skąd wzięłaś takie niesamowite oczy?

- Od rodziców.

Linden sprawia wrażenie wstrząśniętego, jakby do tej pory nie pomyślał, że mogę mieć rodziców, a tym bardziej, że ich znałam.

- Jesteś piękna - bełkocze pijany facet, który mnie zaczepił, nie widząc gwałtownej reakcji mojego męża. - Pilnuj jej dobrze. Drugiej takiej nie ma na świecie.

- Nie ma... - potwierdza z roztargnieniem Linden.

Co więcej, jego zaskoczenie wygląda na autentyczne.

- Chodź, słońce. - Szukam pieszczotliwego imienia, którym nie nazywał go już ktoś inny. - Chciałabym obejrzeć tamten dom. Proszę wybaczyć - zwracam się z przeproszającym uśmiechem do pijanego rozmówcy.

Zostajemy jeszcze przez jakiś czas na bankiecie. Wyrażamy swoje uznanie dla prac innych architektów. Zostawiam Lindena na moment samego, kiedy ktoś prosi go o rozmowę na

temat ewentualnej współpracy. Znajduje mnie po kilku minutach pojadającą truskawki w kącie.

- Idziemy? - Biorę go pod rękę bez słowa, udaje nam się wymknąć niepostrzeżenie.

Śnieg przestał padać. Zimne uderzenie powietrza przywraca mnie do rzeczywistości, słoneczny krajobraz w środku był tylko iluzją. Idziemy w stronę samochodu, w pewnej chwili przychodzi mi na myśl, że przecież mogłabym teraz uciec. Ochroniarze pilnują tylko drzwi i budynku, nie ma ich na zewnątrz. Wystarczyłoby odepchnąć niezbyt silnego Lindena i pobiec przed siebie. Nigdy więcej nie musiałabym oglądać żelaznej bramy.

Otwiera przede mną drzwi, a ja wchodzę do jasnego, ciepłego wnętrza limuzyny. Zawiezie mnie z powrotem do domu. Do domu, te słowa wydają mi się mniej dziwne, niż powinny. Z ulgą opadam na fotel, jestem zmęczona, pochylam się, żeby zdjąć niewygodne buty na szpilek. Trudno się je rozpina. Lecę do przodu, kiedy ruszamy. Linden mnie łapie, wybucham śmiechem.

Pomaga mi zdjąć pantofle, wzdycham z wdzięcznością.

- Jak się spisałam?

- Wyglądałaś przepięknie - zapewnia. Jest czerwony na twarzy. Wodzi wierzchem dłoni po moim policzku.

Uśmiecham się po raz pierwszy tego wieczoru całkiem szczerze.

Wracamy do domu bardzo późno, kuchnia i hol są opustoszałe, ale w sypialni Cecily pali się światło. Zapewne czeka na Lindena, więc idzie do niej. Ciekawe, czy zauważy, że jest trochę pijany. To chyba moja wina, dawałam zły przykład. Rose pewnie zabierała mu kieliszek z ręki, kiedy uznała, że za dużo wypił. Jak ona znosiła to całe zamieszanie na trzeźwo?

Wracam do swojego pokoju i zdejmuję przepoconą czerwoną suknię wieczorową. Wkładam koszulę nocną, związuję włosy w kucyk - wciąż są skręcone - otwieram okno i nabieram w płuca chłodnego powietrza. Idę do łóżka, zostawiam otwarte okno, zasypiam, wspominając wydarzenia minionego wieczoru.

Później przychodzi Linden i zamyka okno.

- Śpisz, słońce? - Jego szept wytrąca mnie z płytkiego snu.

Zapamiętał, że go tak nazwałam. Słońce. Ładnie brzmi, podoba mi się.

- Yhy - mruczę. Pokój lekko wiruje.

Zdaje się, że pyta, czy może się obok mnie położyć, a ja mu pozwalam. Materac się ugina, jestem orbitującą planetą, on ciepłym słońcem. Pachnie winem i przyjęciem. Przysuwa się do mnie, a ja do niego.

Jest cicho, ciemno i ciepło. Powoli odpływam w sen.

- Nie odchodź, proszę - odzywa się nagle Linden.

- Mm?

- Proszę, nie uciekaj ode mnie. - Całuje mnie delikatnie w szyję.

Przytomnieję, ale jeszcze nie całkiem. Ujmuję mnie pod brodę, otwieram oczy. Patrzy na mnie jakoś dziwnie, na policzek spada mi jego łza. Powiedział właśnie coś ważnego, ale zapomniałam co. Jestem śpiąca. Nic nie pamiętam, a on czeka na odpowiedź.

- O co chodzi? Co się stało?

I całuje mnie. Bardzo delikatnie. Sprawia mi to nawet przyjemność. Nie jest źle, właściwie cały wieczór nie był taki zły. Alkohol też zrobił swoje. Jęczę cicho. Linden przerywa pocałunek i patrzy na mnie pytająco. Sama nie wiem, co się dzieje.

- Linden...

- Tak, tak. Jestem przy tobie. - Próbuje mnie znów pocałować, ale się odsuwam.

Odpycham go lekko. Ma twarz pełną bólu. Może śnił o Rose i pomylił mnie z nią przez chwilę.

- Ona nie żyje, Linden.

- Tak. - Kładzie się zrezygnowany. - Ale czasem... ty...

- Nie jestem Rose. Poza tym oboje za dużo wypiliśmy.

- Wiem, że nią nie jesteś. Ja ciebie prawie w ogóle nie znam. Nawet nie wiem, skąd pochodzisz.

- Przecież zamówiłeś ciężarówkę pełną dziewcząt.

- Ojciec zamówił. Dlaczego postanowiłaś wyjść za mąż?

Zachłystuję się powietrzem. Dlaczego postanowiłam? No i to zaskoczenie, kiedy wspomniałam o rodzicach...

On naprawdę nie ma pojęcia.

Wiem, kto ma. Vaughn. Co powiedział synowi? Że istnieją szkoły narzeczonych, gdzie małe dziewczynki od urodzenia uczą się, jak zadowolić mężczyznę? Że uchronił sieroty przed nędzą? To może być prawda w odniesieniu do Cecyli, co nie zmienia faktu, iż jest jeszcze zupełnie nieprzygotowana do urodzenia i wychowania dziecka.

Mogłabym wyprowadzić go z błędu. Opowiedzieć o zamordowanych siostrach Jenny i moim porwaniu. Ale czy uwierzy?

A jeśli nawet uwierzy, pozwoli mi odejść?

- Jak myślisz, co się stało z innymi dziewczynami? Tymi, których nie wybrałeś?

- Chyba wróciły tam, skąd przyjechały. Do domów i sierocińców.

Wpatruję się tępo w sufit. Jestem oszołomiona, mam mdłości.

- Co ci jest? Źle się czujesz? - niepokoji się. Kładzie mi rękę na ramieniu. Kręczę głową.

Vaughn ma więcej władzy, niż podejrzewałam. Odizolował syna od świata i pokazuje mu zafalszowaną rzeczywistość. Daje mu popiół do rozsypania, a sam kolekcjonuje zwłoki w piwnicy. Oczywiście, że marzę o wolności. Każdy, kto jej zaznał, będzie za nią tęsknić. Ale Linden tego nie zrozumie, on nigdy nie był wolny. Nie wie, że można żyć inaczej.

Nawet Gabriel jest tu już tak długo, że zaczyna zapominać, o ile lepsza od iluzji jest rzeczywistość.

Bo jest, prawda? Porównuję w myślach wybrzeża Nowego Jorku ze sztucznym oceanem w basenie. Park miejski z polami golfowymi i kortami. Prawdziwą latarnię morską z jej repliką przy dziewiątym dołku. Mojego prawdziwego brata z przyszywanymi siostrami. Wciąż odczuwam wpływ wypitego alkoholu. W tym stanie jestem skłonna przyznać rację Gabrielowi, który powiedział, że tu jest wszystko to, co na zewnątrz.

Prawie.

Lekko cmokam Lindena w usta.

- Tak się zastanawiam, słońce... Nie byłam chyba dla ciebie najlepszą żoną. Spróbuję się poprawić.

- A więc nie próbowałaś wtedy uciec?

- Nie wygłupiaj się. Pewnie, że nie.

Wzdycha z zadowoleniem, obejmuje mnie w talii i zasypia.

Tutaj nie ma wolności, Gabrielu.

Następnego ranka nie mam okazji porozmawiać z Gabrielem. Śniadanie już na mnie czeka, kiedy otwieram oczy. Nie zostawił cukierków ani żadnych śladów swojej obecności. Kontaktuję się z personelem, proszę o pozwolenie na skorzystanie z windy. Przy drzwiach nie czeka na mnie Gabriel, lecz Vaughn.

- Dzień dobry, moja droga. - Uśmiecha się przyjaźnie. - Wyglądasz na trochę zmęczoną, ale jak zwykle jesteś piękna. Późno wczoraj wróciliście?

Uśmiecham się czarująco. Rose miała rację; policzki rzeczywiście od tego bołą. Wygląda, że Lindenowi nie udało się przekonać ojca, aby dał nam nieco więcej swobody. To Vaughn o wszystkim decyduje, nawet jeśli pozwala synowi udawać, iż jest inaczej.

- Wspaniale się bawiłam. Nie rozumiem, czemu Linden uważa te imprezy za nudne i nadęte.

Wsiadam z nim do windy. Z całych sił staram się nie wymiotować. Czuć od niego zapach chemikaliów i zastanawiam się, kogo dziś pociął na kawałki.

- Dokąd chciałabyś dziś pójść?

Włożyłam płaszcz, nie chcąc ryzykować przeziębienia. Co prawda nie ma już śniegu, ale wczoraj było naprawdę zimno.

- W żadne konkretne miejsce. Po prostu na spacer.

- Zauważyłaś, że naprawiono już szkody na polu golfowym? Ekipa świetnie się spisała. Powinnaś zobaczyć.

Nawet słowo „świetnie” brzmi w jego ustach dwuznacznie. Odpowiadam słodkim uśmiechem. Niczego się nie boję. Jestem pierwszą żoną Lindena Ashby'ego. Sypiam z nim, chodzę na przyjęcia i kocham swojego teścia.

- Nie widziałam jeszcze. Wiele mnie ominęło przez ten wypadek, dopiero niedawno doszłam do siebie.

- A zatem. - Ujmuje mnie pod rękę mniej delikatnie, niż zwykł to robić Linden. - Co powiesz na partyjkę golfa?

- Nie gram zbyt dobrze - odpowiadam skromnie.

- Taka zdolna dziewczyna? Nie wierzę.

To jedna z rzadkich chwil, kiedy mówi prawdę.

Vaughn pilnuje punktacji, gramy na całym polu. Chwali, gdy trafiam do pierwszego dołka, i cierpliwie poprawia, kiedy popełniam błędy. Ustawia mnie w odpowiedniej pozycji i pokazuje, jak trzymać kij. Jego suchy dotyk, powiew ciepłego oddechu napawają mnie wstrętem.

Przy ostatnim dołku docieramy do latarni, światło wskazuje drogę do wolności. Ciągłe wydaje mi się, że Vaughn jest za blisko. Opowiada z przejęciem o pięknej nowej murawie, a ja szukam ścieżki prowadzącej ku bramie wyjazdowej. Przejeżdżaliśmy przecież wczoraj niedaleko. Uderzam w piłkę.

- Jak ci się podoba miasto?

- Byłam zachwycona architekturą. I wszystkie te projekty...

- Nie pytam o architekturę, kochana. - Przysuwa się jeszcze bliżej. - Pytam o pierwsze wrażenia po zobaczeniu miasta.

- Nie zdążyłam się dokładnie przyjrzeć - odpowiadam sucho. Do czego on zmierza?

- Jeszcze będziesz miała okazję. - Posyła mi swój dobroduszny uśmiech poczciwego starca i żartobliwie trąca palcem w nos. - Linden już planuje kolejne wyjścia. Udało ci się, moja droga.

Chucham w dłonie, ogrzewając je, Vaughn przymierza się do kolejnego trafienia.

- Co mi się udało?

- Tchnąć nowe życie w mojego syna. - Obejmuje mnie i całuje w skroń, tak jak wczoraj mąż. Pocałunek Lindena był jednak przyjemny, natomiast dotyk zimnych ust Vaughna przyprawia mnie o dreszcze obrzydzenia. Nigdy nie widziałam dwojga ludzi tak niepokojąco do siebie podobnych z wyglądu jak Linden i jego ojciec, którzy by zarazem tak dramatycznie się od siebie różnili.

Nie zapominam o roli przykładowej żony i synowej, oblewam się rumieńcem.

- Zależy mi na tym, żeby był szczęśliwy.

- I słusznie. Jeśli on będzie zadowolony, to i ty.

Vaughn wygrywa niewielką ilością punktów.

- Grasz dużo lepiej, niż mówiłaś. - Śmieje się w drodze powrotnej do domu. - Nie tak dobrze, żeby mnie pokonać, ale całkiem nieźle.

Nie mogę nigdzie znaleźć drogi, którą wczoraj jechałam.

Mało prawdopodobne, żebym dostała pozwolenie na spacer po ogrodzie bez towarzystwa Vaughna. Przynajmniej nie dziś. Szukam Jenny. Siedzi w bibliotece na moim ulubionym fotelu zaczytana w jakimś romansidło. Na okładce widnieje para półnagich

kochanków, mężczyzna ratuje kobietę przed utonięciem.

- Nie widziałam Gabriela. - Uprzedza moje pytanie.

- Nie uważasz, że to dziwne? - Siadam na sąsiednim fotelu.

Wydyma usta i spogląda na mnie znad książki. Kiwa współczująco głową, jak zawsze bezpośrednio.

- Był już obiad?

- Nie...

- Może zaraz przyniesie. - Gabriel jest jedyną osobą, która przynosi nam posiłki. Chyba że Cecily zażyczy sobie obsługi więcej niż jednej osoby.

Jednak tym razem zjawia się służący, którego widzimy pierwszy raz na oczy. Jakiś mężczyzna z pierwszego pokolenia. Nawet nie wie, że należy nas szukać w bibliotece. Pyta Cecily, a ona wpada we wściekłość, bo obudził ją z drzemki. Wrzaski słychać na całym piętrze.

- Uciszysz się czy nie? - stajemy z Jenną w drzwiach jej pokoju. Służący jest śmiertelnie przerażony. Drobna ciężarna Cecily ma podkrążone oczy i opuchnięte kostki. - Zaszkożysz dziecku.

- Nie pouczaj mnie. - Rzuca wściekle spojrzenie i wskazuje na pomocnika kuchennego. - Jemu zrób wykład i obsztoruj za niekompetencję!

- Cecily...

- Ma rację. - Jenna krzywi się, sprawdzwszy, co jest na talerzach. - Co to ma być?

Wygląda jak pomyje.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

- Powinnaś iść na skargę do kuchni - mówi dobitnie, zaglądając mi znacząco w oczy.

- Przepraszam, pani Jenno... - zaczyna służący.

- Nie przepraszaj. To nie twoja wina - przerywam mu. - Za przygotowanie posiłków odpowiada szefowa kuchni i doskonale wie, że nienawidzimy tłuczonych ziemniaków. - Unoszę pokrywkę, marszczę nos. - I wieprzowiny. Sam zapach przyprawia Jennę o wysypkę. Pójdę na dół to wyjaśnić.

- Oczywiście. - Trochę się trzęsie, ale odprowadza wózek z jedzeniem do windy. Idę za nim.

- Nie przejmuj się. - Uśmiecham się przyjaźnie. - To nic osobistego.

Odwzajemnia uśmiech, zerkając na mnie niepewnie.

- Mówili mi, że pani jest najmiłsza.

W kuchni, jak zwykle, gdy Vaughna nie ma w pobliżu, panuje wesoły gwar.

- Przepraszam - odzywa się służący. - Pani Rose przyszła zgłosić skargę.

Wszystkie oczy zwracają się w moją stronę.

- Ta nie jest kapryśna - prycha lekceważąco szefowa kuchni.

Dziękuję służącemu, ktoś zabiera pełne talerze. Przykro mi marnować dobre jedzenie, ale mam ważny powód. Przepycham się w stronę szefowej kucharki. Panuje taki harmider, że tylko ona słyszy pytanie:

- Co się stało z Gabrielem?

- Nie powinnaś tu schodzić, żeby o niego pytać. Narobisz tylko chłopakowi jeszcze więcej kłopotów. Mistrz Vaughn uważnie mu się przygląda od czasu twojej nieudanej ucieczki.

- Nic mu się nie stało? - Czuję wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz.

- Nie widziałam Gabriela - odpowiada ze smutkiem. - Od rana, kiedy Vaughn wezwał go do piwnicy.

Resztę popołudnia spędzam w łazience wstrząsana torsjami. Jenna przytrzymuje mi włosy, ale nie mogę zwymiotować.

- Pewnie za dużo wypić - mówi łagodnie.

Nie dlatego źle się czuję. Siadam na posadzce oparta plecami o ścianę, bezradnie opuszczam ręce na kolana. Nie pozwalam popłynąć łzom, które zbierają się pod powiekami. Nie dam Vaughnowi tej satysfakcji.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Mówię Jennie wszystko. Opowiadam o martwej Rose w piwnicy, o pocałunku Gabriela, o tym, że Linden nie ma pojęcia o porwaniach, a Vaughn sprawuje całkowitą kontrolę nad życiem każdego mieszkańca tego domu, nawet o zmarłym dziecku Rose i Lindena.

Jenna przeciera mi twarz i kark mokrym ręcznikiem. Bardzo przyjemne uczucie, opieram głowę na jej ramieniu, zamykam oczy.

- To miejsce jest jak wyjęte z koszmarnych snów. Kiedy już zaczynam myśleć, że wszystko się ułoży, coś strasznego wychodzi na jaw. Chciałabym móc się obudzić. Vaughn to potwór.

- Nie wydaje mi się, żeby był zdolny do zabicia własnego wnuka - mówi Jenna. - Skoro rzeczywiście jest tak, jak mówisz, i używa ciała Rose do badań nad lekiem, czy to nie oznacza, iż zależy mu na życiu potomków?

Dotrzymuję obietnicy złożonej Deirdre i nie mówię nic o płaczu rzekomo martwego noworodka. Ta myśl nie daje mi jednak spokoju. Chciałabym wierzyć, że Jenna ma rację. Dlaczego Vaughn miałby mordować własną wnuczkę? Dlatego że uważał dziewczynki za mniej wartościowe od chłopców? Miał tylko synów. Jednak wnuczka mogła się okazać w przyszłości użyteczna do rodzenia dzieci. Dziewczęta z bogatych rodzin czasem dostają przywilej wyboru męża oraz najwyższą pozycję wśród pozostałych żon. Przecież Vaughn nie lubi niczego marnować - rzeczy, ludzi ani zwłok.

Coś mi jednak podpowiada, że Rose i Deirdre naprawdę słyszały płacz tego dziecka. I nie sędzę, aby nieobecność Lindena tamtego dnia była przypadkowa. Znów mam atak mdłości. Głos Jenny pytającej, czy dobrze się czuję, bo zbladłam, dobiega z bardzo daleka.

- Jeżeli Cecyli albo jej dziecku stanie się krzywda, to chyba oszaleję.

- Nic im się nie stanie. - Jenna robi mi rozluźniający masaż karku.

Milkniemy. Zamartwiam się o Gabriela. Mam nadzieję, że żyje. Co mu zrobił Vaughn: pobił dotkliwie, a może uśpił i Bóg jeden wie, co z nim zrobi? Byliśmy okropnie lekkomyślni, całując się przy otwartych drzwiach. Ten dziwny hałas w korytarzu... Atlas, który ukradł dla mnie z biblioteki, wciąż leży na toalecie. To wszystko moja wina. Sprowadziłam na Gabriela nieszczęście. Zanim się pojawiłam, żył sobie spokojnie i w miarę szczęśliwie, powoli zapominając o świecie zewnętrznym. To straszny los, lecz lepszy niż śmierć w tej budzącej grozę piwnicy.

Kiedy byłam unieruchomiona w łóżku, Linden przeczytał mi historię Frankenstein. O szaleńcu, który stworzył człowieka z pozszywanych kawałków zwłok. Wyobrażam sobie zimną dłoń Rose z paznokciami pociągniętymi różowym lakierem, niebieskie oczy Gabriela, maleńkie serduszko noworodka i zaczynam wymiotować. Jenna przytrzymuje mi włosy. Świat wymyka się spod kontroli. Ale nie ten prawdziwy - świat Vaughna.

- Co się stało? Jesteś chora? - W drzwiach łazienki pojawia się Cecily, blada, z podkrążonymi oczami.

- Nic jej nie będzie. - Jenna gładzi mnie po włosach. - Po prostu za dużo wypila.

Wcale nie o to chodzi, myślę, lecz nie odzywam się. Spuszczam wodę w toalecie, Cecily nalewa do kubka wody z kranu i podaje mi. Przysiada z wysiłkiem na krawędzi wanny.

- Wygląda, że była fajna impreza.

- Właściwie to nawet nie była impreza - tłumaczę w przerwie między płukaniem ust. - Raczej prezentacja projektów.

- Opowiadaj! - Cecily jest podekscytowana.

- Nie ma o czym - zbywam ją. Wolę nie mówić o oszołamiających hologramowych obrazach, wspaniałych deserach ani mieście pełnym roześmianych ludzi. Lepiej, żeby nie wiedziała, co ją omija.

- W ogóle już ze mną nie gadacie. - Znów się irytuje. Z tygodnia na tydzień staję się coraz bardziej drażliwa. - To niesprawiedliwe, że muszę spędzać całe dni przykuta do łóżka.

- Było naprawdę nudno. Starzy ludzie pokazywali mi swoje rysunki, a ja musiałam udawać, że mnie to interesuje. Jakiś architekt wygłosił długi wykład na temat ważnej roli galerii handlowych. Siedzieliśmy przez godzinę na niewygodnych rozkładanych krzesłach. Upiłam się, bo nie miałam nic innego do roboty.

Po chwili wahania Cecily chyba uznała, że mówię prawdę i nastrój jej się poprawił.

- No, dobrze. To opowiedz mi jeszcze o tych bliźniakach.

Jenna unosi brwi w niemym znaku zapytania. Nigdy jej nie mówiłam o Rowanie, ale pewnie się domyśliła. Ma lepszą intuicję niż Cecily.

Opowiadam, jak pewnego dnia, wracając ze szkoły, dzieci usłyszały głośną eksplozję i ziemia zadrżała pod ich stopami. Laboratorium badań genetycznych zostało wysadzone w powietrze przez przeciwników eksperymentów biologicznych. „Dosyć!”, wrzeszczeli. „Gatunku ludzkiego nie da się już uratować!”. Zginęło wtedy wielu naukowców.

Tamtego dnia dzieci zostały sierotami.

Budzi mnie odgłos tacy stawianej na stoliku. Pora kolacji. Cecily leży skulona obok mnie, pochrapując cicho. Zaczęła chrapać w trzecim trymestrze ciąży. Otwieram oczy z nadzieją, że zobaczę Gabriela, ale to tylko ten sam służący, który przyniósł obiad. Moje rozczarowanie musi być widoczne, bo mężczyzna uśmiecha się niepewnie i odwraca w stronę wyjścia.

- Dziękuję - mówię żałośnie.

- Sprawdź, co jest w serwetce - rzuca i wychodzi.

Siadam powoli, żeby nie obudzić Cecily, która mamrocze coś cicho i wzdycha.

Rozwijam sztucce, na dłoń wypada mi niebieski cukierek.

Przez kolejne dwa dni ani śladu Gabriela.

Ziemię pokrywa już kilkucentymetrowa warstwa śniegu. Dotrzymuję towarzystwa Cecily, jest bardzo niezadowolona, że nie może wyjść na dwór i ulepić bałwana. Wychowawcy z sierocińca też nie pozwalali jej się bawić na śniegu. Dzieci mogłyby się przeziębnić, a personel nie był przygotowany na walkę z infekcjami.

Dąsa się tylko przez chwilę, nim zapada w drzemkę. Nie mogę się doczekać końca jej ciąży. Nie wiem, co będzie dalej, po urodzeniu dziecka też spodziewam się kłopotów, ale bardziej martwi mnie obecny stan Cecily. Ma kłopoty z oddychaniem, jest opuchnięta i płaczliwa.

Kiedy zasypia, siadam na parapecie z atlasem od Gabriela. Oprócz tego, że moje imię jest też nazwą europejskiej rzeki, dowiaduję się z niego, że Rowan to nazwa rośliny o niejadalnych cierpkich, podobnych do czerwonych jagód owocach, która rosła kiedyś w Azji i Europie. Nazywali ją tam jarzębiną. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, a nie mam ochoty na rozwiązywanie kolejnej łamigłówki. Wpatruję się więc tylko w spadające z nieba płatki śniegu. Cecily ma ładny widok z okna. Same drzewa. Takie, jakie można zobaczyć wszędzie na świecie. Przez chwilę wyobrażam sobie, że jestem gdzie indziej.

Widok czarnej limuzyny przywraca mnie do rzeczywistości. Samochód przejeżdża na wylot przez ścianę drzew!

Wreszcie uświadamiam sobie, że te drzewa nie istnieją naprawdę. Dlatego nie potrafiłam odnaleźć drogi do wyjścia. Jest zamaskowana hologramem. Proste. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej? Odkrycie poniewczasie na wiele mi się nie przyda, skoro Vaughn wciąż ma mnie na oku.

Przez resztę dnia usiłuję obmyślić plan wyjścia na zewnątrz w celu zbadania terenu, lecz uparcie powraca myśl o Gabrielu. Nawet gdybym znalazła wyjście, nie mogłabym uciec bez niego. Obiecałam mu, że zabiorę go ze sobą. Czy jego niechęć do mojego pomysłu, żeby się stąd wydostać, zamieni się w zdecydowany opór teraz, kiedy wpadł przeze mnie w kłopoty?

Muszę się dowiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. Przynajmniej tyle. Nie odejdę stąd, nie będąc pewna.

Nie ruszam kolacji. Siedzę przy stole z rękami w kieszeniach i obracam w kółko niebieski cukierek. Jenna próbuje zainteresować mnie ciekawostkami wyczytanymi w książkach popularnonaukowych. Wiem, że przeglądała je z myślą o mnie, sama woli czytać powieści romantyczne i choć doceniam jej starania, żeby mnie rozweselić, nie potrafię się na niczym skupić. Namawia mnie do skosztowania czekoladowego puddingu, lecz ten w moich ustach zamienia się w pozbawioną smaku breję.

Prawie nie śpiam. Deirdre przygotowuje kąpiel rumiankową z zieloną pianką. Woda pachnie niebiańsko i cudownie masuje skórę, mimo to nie mogę się odprężyć. Rozczesuje mi włosy i opowiada o nowych tkaninach sprowadzanych z Los Angeles, z których uszyje śliczne letnie sukienki. Nastrój jeszcze mi się pogarsza na myśl, że latem też tu będę. A im bardziej jestem milcząca, tym bardziej rozpaczliwie Deirdre stara się podtrzymać rozmowę. Nie pojmuje mojego smutku. Czym może się martwić rozpieszczana pierwsza dama, której Zarządca przychyliłby nieba? Moja mała nieuleczalna optymistka. Zawsze chętna do pomocy. Ale prawie nigdy nie mówi o sobie.

- Deirdre? - Dolewa płynu do kąpeli i gorącej wody. - Mówiłaś, że twój tata był malarzem. Co malował?

Nieruchomieje z ręką na kranie i uśmiecha się ze smutkiem.

- Przeważnie portrety.

- Tęsknisz za nim?

Wyczuwam, że to dla niej bolesny temat, ale jest zbyt silna i opanowana, by płakać. Pod tym względem przypomina Rose.

- Codziennie. - Składa ręce jak do modlitwy gestem przypominającym kłaśnięcie. - Ale teraz jestem tutaj i mam szczęście robić to, co lubię.

- Uciekłabyś, gdyby nadarzyła się okazja?

- Uciec? - Szuka czegoś w szafce z pachnącymi olejkami. - A po co?

- Tak tylko pytam. Gdybyś mogła pojechać gdzie chcesz, to jakie miejsce byś wybrała?

Śmieje się, wlewając do wanny odrobinę olejku waniliowego. Piana syczy i pryska.

- Ale mnie tu dobrze - zapewnia. Po czym dodaje: - Cóż, mój tata namalował kiedyś taki obraz... Była na nim plaża, a na piasku leżała rozgwiezda. Nigdy nie dotykałam prawdziwej rozgwiezdy. Chciałabym pójść na taką plażę. - Zagłębia się we wspomnieniach, patrzy niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Po chwili reflektuje się i pyta: - Gotowa do wyjścia?

- Tak. - Wkładam koszulę nocną, Deirdre wciera krem w moje stopy i łydki. Wreszcie udaje mi się odrobinę rozluźnić. Zapala kilka świec, mówiąc, że ich zapach utuli mnie do snu. Mają zapach lawendy i czegoś, co się nazywa drewnem sandałowym. Odpływam w marzenia o słonecznych plażach i świeżo pokrytych farbą płótnach.

Budzę się przed świtem. Śniło mi się, że Gabriel przyniósł mi na tacy atlas geograficzny. To nie był straszny sen, lecz na jawie przepełnia mnie dojmujące uczucie samotności.

Wychodzę na pogrążony w półmroku korytarz. Kadzidła już się wypaliły, lecz zapach jeszcze unosi się w powietrzu. Jenna i Cecily chyba śpią, Cecily ostatnio rzadko wstaje przed południem, ale zamierzam się wśliznąć do łóżka którejś dziewczyny.

Z pokoju Jenny dobiega cichy śmiech i jakieś szmery. Pukam.

- Kto tam?

- Ja.

- Wejdz. - Śmieje się.

Sypialnia jest oświetlona blaskiem świec. Jenna siedzi na łóżku, poprawiając włosy, a Linden zawiązuje tasiemkę przy spodniach od pizamy. Ma zaczerwienione policzki. Szybko wkłada koszulę, nie zapina jej, podchodzi do mnie.

- Dzień dobry, słońce. - Nie patrzy mi w oczy.

Nie ma w tej sytuacji nic niestosownego. Jenna jest jego żoną. Powinam się przyzwyczać do tej myśli. To było do przewidzenia, że kiedyś zobaczę ich razem. A jednak czuję się zraniona, Linden wydaje się zawstydzony.

- Dzień dobry. - Mnie samą zaskakuje mój spokojny ton.

- Nie za wcześnie na rozpoczęcie dnia? - Całuje mnie w usta i szybko wychodzi.

Jenna gasi świece. Jej ciało jest wilgotne od potu, włosy też, ma krzywo zapiętą koszulę

nocną. Nigdy nie wyglądała tak pięknie i naturalnie. Przypuszczam, że jedynie Linden taką ją widuje. Odganim falę absurdalnej zazdrości. Nie mam powodu być zazdrosna. Przecież Jenna właściwie wyświadcza mi przysługę, zajmując uwagę Lindena.

- Nie znoszę zapachu tych świec. Cuchną jak skórzana torba. Linden uważa, że budują nastrój.

- Dawno przyszedł? - Siłę się na obojętny ton.

- Spędził tu noc. - Opada na łóżko. - Już myślałam, że nigdy nie pójdzie. Wydaje mu się, że jeśli będziemy to robić w różnych pozycjach, zajdę w ciążę.

Na podłodze leży otwarta książka, Kamasutra, ulubiona lektura Cecily. Jestem zażenowana.

- A chcesz tego?

- Żeby spuchnąć niczym balon, jak Cecily? - prychna. - Nie, dziękuję. Ale co poradzę? Sama się dziwię, że jeszcze nie zrobił mi dzieciaka. Chyba po prostu mam szczęście. - Poklepuje materac, zapraszając, żebym usiadła. - Co tam u ciebie?

Po zgaszeniu świeczek w pokoju zrobiło się ciemno. Nie widzę jej wyraźnie. Przyszłam do niej, żeby spróbować zasnąć, lecz teraz to niemożliwe.

- Martwię się o Gabriela. - Siadam na brzegu materaca, gdzie jeszcze przed chwilą Linden zawiązywał spodnie. Nie potrafię się zmusić, żeby wejść pod kołdrę.

- Nic mu się nie stanie. - Jenna mnie obejmuje, pociesza.

Wpatruję się niewidzącym wzrokiem w swoje kolana.

- No dobra, dość tego, wstawaj. - Pomaga mi się podnieść. - Wiem, czego ci trzeba.

Kilka minut później siedzimy na kanapie w salonie z kubelkiem lodów waniliowych. Oglądamy powtórkę wczorajszego serialu przytulone do siebie pod kocem. Opery mydlane to obok czytania romansów wstydliva przyjemność Jenny. Aktorzy mają po kilkanaście lat, ale są ucharakteryzowani na starszych. Jenna mówi, że bez przerwy się zmieniają. Serial trwa już dziesięć lat, oryginalni bohaterowie poumierali. Zostali tylko ci z pierwszego pokolenia. Dowiaduję się, kto jest w śpiączce, a kto nieświadomie poślubił złego bliźniaka. Zaczynam się odprężyć.

- Ale hałasujecie. - Cecily przeciera oczy. Jej brzuch wygląda jak napompowany balon, koszula nocna się nie dopina i widać naciągniętą do granic możliwości skórę. - Co robicie tak rano?

- Oglądamy „Ten szalony świat”. - Jenna robi jej miejsce na kanapie. Cecily siada między nami i od razu zabiera się do jedzenia lodów. - Ten facet tutaj - Matt - zakochał się w

pielęgniarki. Specjalnie złamał sobie rękę, żeby trafić do szpitala. A ona zaraz mu powie, że na prześwietleniu wykryto guza.

- Co to jest guz?

- Coś, co powodowało raka w dwudziestym wieku.

- Będą się kochać na stole operacyjnym? - W głosie Cecily słychać niedowierzenie. -
Obrzydliwe.

- No coś ty. Urocze - zachwyca się Jenna.

- Niebezpieczne. - Cecily gwałtownie wskazuje łyżką ekran. - Tam są narzędzia chirurgiczne. O tam leżą.

- Facet dowiedział się, że umiera. Na co ma czekać? - Jenna wzrusza ramionami. - Niech skonsumuje miłość swojego życia.

Para na ekranie rzeczywiście zaczyna uprawiać seks na stole operacyjnym. Nie pokazują szczegółów, ale i tak odwracam wzrok. Skupiam się na jedzeniu i czekam na koniec pościelowej melodii.

- Ależ z ciebie cnotka - podsumowuje Cecily.

- Nieprawda.

- Nie skonsumowałaś nawet małżeństwa z Lindenem - wypomina. - Na co czekasz? Na złote gody? - Cecily jako jedyna wierzy, że Vaughn wynajdzie lekarstwo na śmiertelnego wirusa i wszyscy dożyjemy sędziwego wieku.

- Nie twoja sprawa, Cecily. - Ledwie nad sobą panuję.

- Wielkie rzeczy. To tylko seks. My z Lindenem kochamy się codziennie. Czasami parę razy.

- Akurat - wtrąca się Jenna. - Proszę cię. On się boi, że poronisz, nawet gdy krzywo na ciebie spojrzysz.

- Ale będziemy. - Cecily nie daje za wygraną. - Kiedy już się skończy ta głupia ciąża. I nie myślcie, że tylko ja będę rodzić dzieci. Niedoczekanie. - Wskazuje łyżką na mnie i Jennę. - Teraz kolej na was. Ty, Jenna, nie masz żadnej wymówki. Często zamykacie się z Lindenem w sypialni. - Cecily może i nie jest najbardziej spostrzegawcza z nas trzech, ale w tej dziedzinie nie umyka jej uwadze.

- Próbuujemy. Na razie bez skutku. - Jenna jest zakłopotana.

- To się lepiej starajcie.

- Skończmy rozmowę na ten temat, dobrze?

Sprzeczają się między sobą, a ja wpatruję się w ekran, na którym para kochanków

rozmawia w ogrodzie. Nie chcę brać udziału w kłótni. Czuję się bardziej związana z Jenną i Cecily niż z Lindenem. Nie myślę o nim w ten sposób. O żadnym mężczyźnie w ten sposób nie myślę.

Nagle przypominam sobie, co czułam, kiedy pocałował mnie Gabriel; prąd przeszedł przez moje ciało. Czy nasza przyjaźń miałaby szansę przerodzić się w coś głębszego, gdybyśmy byli na zewnątrz? Nie wiadomo. Będziemy wolni i sami zdecydujemy.

Wzdycham z zadowoleniem, lody wydają się słodsze niż przed chwilą. Ogarnia mnie przyjemne podniecenie.

- Zaprzyjaźniłaś się z Jenna, prawda? - pyta Linden.

Spacerujemy po pogrążonym w zimowym śnie gaju pomarańczowym. Wszystko wokół tonie w bieli. Zaspy po obu stronach ścieżki sięgają mojej głowy. Nie wiedziałam, że zima na południu może być tak sroga.

- Jest moją siostrą - odpowiadam, kiwając głową, z moich ust unoszą się kłęby pary. Linden zerka na nasze splecione dłonie, mam rękawiczki zrobione na drutach przez Deirdre. Unosi moją rękę do ust. - Ale nie jest zbyt rozmowna, prawda? - dodaję. Jenna nie wybaczyła Lindenowi i jego ojcu. Rozumiem ją. Cecily chyba nie zauważyła napięcia między nią a naszym mężem, a jeśli nawet, to zapewne ucieszyło ją, że nie musi się obawiać konkurencji. Jenna z łatwością mogłaby odebrać mi pozycję pierwszej żony, gdyby zechciała. To piękna, pełna wdzięku dziewczyna i otwarta na ludzi, którzy nie mordują członków jej rodziny.

- Zazwyczaj nie jest rozmowna - przyznaje. - Ale wczoraj wieczorem zaprosiła mnie do sypialni i spędziłyśmy razem trochę czasu, jak wiesz. - Okrywa się rumieńcem. - Długo rozmawialiśmy.

- Rozmawialiście? - Unoszę brwi. - O czym?

- O tobie. Martwi się o ciebie. Całe to napięcie związane ze zbliżającym się porodem i w ogóle.

- Lindenie, to nie ja będę rodzic.

- Prawda. Ale Jenna mówi, że mój ojciec ostatnio bardzo ograniczył waszą swobodę i ty to odczułaś najdotkliwiej. Opiekujesz się Cecily i od czasu do czasu przydałaby ci się jakaś odskocznia.

- Cóż, mieszkamy we trzy na jednym piętrze. Bywa, że czasem robi się ciasno - przyznaję. Jestem dezorientowana. Co Jenna planuje?

Linden uśmiecha się. Wygląda jak mały chłopiec, z zaczerwienionymi policzkami i lokami wymykającymi się spod czapki. Dziecko z fotografii, którą pokazała mi Rose.

- Musimy coś z tym zrobić. Rozmawiałem z tatą i... proszę. - Zatrzymuje się i wyjmuję z kieszeni kolorowe pudełeczko. - Przesilenie dopiero za tydzień, ale już zasłużyłaś na prezent.

Zdejmuję rękawiczki, żeby rozwiązać śliczną wstążkę. Spieszę się, bo jest naprawdę bardzo zimno. Rozwijam papier i podnoszę wieczko, spodziewając się ujrzeć coś

niepraktycznego ze złota i diamentów. Ale w pudełku jest coś całkiem innego. Plastikowa karta na srebrnym łańcuszku. Taka, jakie nosi personel.

To karta zbliżeniowa otwierająca windy.

Udało się. Zostałam pierwszą żoną! Zdobyłam jego zaufanie. Nie potrafię powstrzymać radosnego okrzyku. Zakrywam usta, ale w moich oczach maluje się bezgraniczna radość. Wolność. Zapakowana jak prezent.

- Linden!

- Nie zabierze cię na każde piętro, ale będziesz mogła zjechać na dół, żeby wyjść do ogrodu i... - Rzucam mu się w ramiona.

- Dziękuję. - Chociaż on nie może nawet wiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

- Podoba ci się? - Jest oszołomiony moją gwałtowną reakcją.

- Jeszcze jak. - Wypuszczam go z objęć. Uśmiecha się jak mały chłopiec, zupełnie inaczej niż jego ojciec. Usta poczerwieniały mu od mrozu. Byłby doskonałym modelem do portretu dla ojca Deirdre. Łagodny, piękny i niewinny. Dotyka mojej twarzy, całujemy się po raz drugi w czasie naszego dziesięciomiesięcznego małżeństwa. I po raz pierwszy nie odsuwam się.

Po powrocie do domu wbiegam na korytarz, wołając głośno Jennę, karta-klucz podskakuje na mojej piersi. Wciąż czuję w ustach smak pocałunku, w korytarzu unosi się woń kadzideł. Moje zmysły są wyczulone, jakbym wróciła do domu po podróży w kosmos.

Nigdzie ani śladu Jenny, a Cecily śpi - słyszę jej chrapanie zza zamkniętych drzwi sypialni. Dzwonię do Deidre, mówi, że Adair także nie widział Jenny, ale żebym się nie martwiła, bo na pewno nie poszła daleko. To prawda, nie mogła odejść daleko. Postanawiam poczekać na nią w bibliotece. Szukam informacji o rzece Ren i jarzębinie, ale nie znajduję nic ponad to, co już wiem. Dowiaduję się natomiast dużo o zwyczajach kolibrów. Linden woła mnie na kolację.

Cecily, zmęczona i opuchnięta w ósmym miesiącu ciąży, opiera się o ścianę windy, narzekając na bóle w krzyżu. Służący proponuje, że przyniesie jej posiłek do pokoju.

- Nie bądź idiotą. Zjem kolację z mężem, jak wszyscy.

Jenna już siedzi przy stole, razem z Vaughnem. Jest blada, prawie nie zwraca uwagi na nasze wejście. W zeszłym miesiącu skończyła dziewiętnaście lat, nie było przyjęcia, powiedziała tylko mnie. Został jej rok. Poprosiłam, żeby ze mną uciekła, ale odmówiła. Nie przejmuję się, że Vaughn może wykorzystać jej ciało do eksperymentów medycznych. Niech robi, co chce, ona będzie już wtedy gdzie indziej, ze swoją rodziną.

Zajmuję miejsce przy stole obok niej, zastanawiając się, czyje prochy da Lindenowi do rozsypania Vaughn po śmierci Jenny. Obiecałam sobie, że nie zostanę tu na jej pogrzeb.

Dołącza do nas Linden, jemy w milczeniu. Cecily musi naprawdę źle się czuć, nawet nie narzeka, że ja dostałam klucz do wind, a ona nie. Wierci się na krześle, dopóki służący nie podkłada jej pod plecy poduszki. O dziwo, nie zostaje za to zbesztany.

Wypatruję na próżno Gabriela. Ciągle noszę w kieszeni niebieski cukierek i przechowuję pod poduszką chusteczkę, którą od niego dostałam. Modłę się, żeby nic mu się nie stało. Żeby dał jakiś znak życia.

- Wszystko w porządku, moja droga? - Vaughn najwidoczniej dostrzegł moje roztargnienie.

Odpowiadam, że jestem tylko trochę zmęczona.

- Co ty możesz wiedzieć o zmęczeniu - jęczy Cecily.

Jenna w ogóle się nie odzywa, o nią też zaczynam się martwić.

Staram się podtrzymywać miłą rozmowę z Lindenem. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Cecily od czasu do czasu wtrąca jakiś komentarz, Jenna grzebie widelcem w gotowanej marchewce. Vaughn każe jej jeść. Uśmiecha się, lecz jego głos brzmi groźnie. Dziewczyna posłusznie spełnia polecenie.

Po deserze służący odprowadza nas na nasze piętro. Cecily idzie do łóżka, a ja i Jenna bez słowa kierujemy się do biblioteki.

- Masz klucz - zauważa.

- Dzięki tobie. - Wracam myślami do dzisiejszego poranka, kiedy zastałam Lindena w jej sypialni. - Jak ci się udało go przekonać?

- Właściwie nie musiałam go przekonywać. - Przesuwa palcem po grzbietach książek. - Chyba sam tego chciał, tylko potrzebował zachęty. To oczywiste, że ja nie chcę być pierwszą żoną, a za rok już mnie nie będzie. - Mówi to tak beztrosko, że aż ściska mi się serce. - Cecily ma najwięcej czasu, ale nie udźwignęłaby odpowiedzialności. Tylko ty się nadajesz, tak też mu powiedziałam. Rhine, to powinnaś być ty. Uwierzył, że za nim szalejesz, przekonałaś go. Zrobiłaś to świetnie, prawie i mnie przekonałaś.

Nie wszystkie moje uczucia do Lindena są udawane, ale nie wiem, jak mam jej wytłumaczyć coś, czego sama do końca nie rozumiem.

- Dziękuję.

- Musisz jednak uważać. - Nachyla się konfidencjonalnie. - Kiedy byłaś na spacerze, udało mi się wydobyć od służącego, gdzie jest Gabriel.

- Co? I gdzie jest? Jak się czuje? Rozmawiałaś z nim?

- Próbowałam. Odesłałam obiad do kuchni i zażądałam rozmowy z kucharką. W windzie nacisnęłam przycisk awaryjny, żeby zjechać do piwnicy.

- Po co? - Bolesnie przełykam ślinę.

- Tam przenieśli Gabriela, na stałe. - Na jej twarzy maluje się współczucie. - Przykro mi, miałam nadzieję, że uda mi się go znaleźć, ale w korytarzu zderzyłam się z Vaughnem.

Czuję się, jakby mnie ktoś kopnął w klatkę piersiową. Zginam się wpół, próbując złapać oddech, siadam na podłodze.

- Przeze mnie tam trafił.

- Wcale nie. - Jenna klęka obok mnie. - Poza tym, w piwnicy jest mnóstwo pomieszczeń. Schron ewakuacyjny, szpital awaryjny, szwalnia, magazyny. Może to zesłanie nie jest czymś strasznym. Mistrz Vaughn często zmienia służącym zakres obowiązków.

- Nie. To moja wina. - Jestem o tym przekonana. Byłam zbyt pewna siebie. Pocałowałam go przy otwartych drzwiach. Na oścież! Jak mogłam być taka głupia! Ten hałas, który usłyszeliśmy zaraz potem... Pewnie Vaughn odszedł, zanim zdążyliśmy go zauważyć.

Uderzam pięścią w podłogę, Jenna chwyta mnie za rękę.

- Posłuchaj, on chyba mi nie uwierzył, kiedy mu powiedziałam, że zablądziłam. Pewnie zabroni mi wychodzić na zewnątrz.

- Przykro mi, Jenno...

- Spróbuję odwrócić jego uwagę od ciebie. Ja... No, nie wiem. Zrobię scenę albo obie z Cecily zrobimy. Wtedy będziesz mogła zjechać do piwnicy. Zgoda? - Odgarnia mi włosy z czoła. - Znajdziesz Gabriela i przekonasz się, że nic mu nie jest.

- Zrobiłabyś to dla mnie?

Jej uśmiech kojarzy mi się nieodparcie z Rose uśmiechającą się na łożu śmierci.

- Jasne. Co mam do stracenia?

To pytanie dźwięczy mi w uszach. Co ma do stracenia? I gdzie była przez całe popołudnie, po tym jak natknęła się na Vaughna w piwnicznym korytarzu? Tamtego dnia, na trampolinie, dała mi do zrozumienia, że się go boi. Wtedy nie miałam odwagi wypytywać o szczegóły.

- Co on ci zrobił, Jenno?

- Kto?

- Wiesz kto. Vaughn.

- Nic - odpowiada zbyt szybko. - Powiedziałam ci. Przyłapał mnie w piwnicy i kazał

wracać na górę.

- Nie było cię przez całe popołudnie. - Spuszcza głowę, unosząc jej podbródek. - Jenna. - Przez chwilę wytrzymuje moje spojrzenie. Przez jedną straszną sekundę widzę w jej oczach cierpienie. Wiem, że zaszła w niej jakaś nieodwracalna zmiana. Odsuwa się ode mnie i podnosi z podłogi.

- Skąd wiesz, co jest w piwnicy? - Idę za nią do drzwi. - Byłaś tylko w schronie. Skąd wiesz o innych pomieszczeniach?

Mamy z Jenną cichą umowę, nie dzielimy się z Cecyli swoją wiedzą. Pilnujemy z daleka, żeby nic jej się nie stało, ale nie mówimy o niczym ze względu na jej bliskość z Lindenem i Vaughnem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Jenna może mieć sekrety także przede mną. Teraz jednak nabieram przekonania, iż tak właśnie jest. Staje w miejscu, spuszcza głowę i przygryza dolną wargę. Za bardzo się wszystkim przejmujesz, słyszę głos swojego brata.

Jak mam się nie przejmować, Rowanie? No, powiedz.

- Proszę cię.

- Nieważne - mówi cicho.

- Powiedz, co ci zrobił - wołam.

- Nic! Chodzi o to, co zrobi tobie. Wie, że próbowałaś uciec, a ja mam cię przekonać, żebyś została. Chcę ci pomóc, więc zamknij się i mi pozwól!

Wychodzi trzaskając drzwiami, jestem zbyt oszołomiona, by za nią pójść.

Wpatruję się niewidzącym wzrokiem w sztuczny ogień w kominku.

Przez cały wieczór jestem niespokojna. Deirdre robi mi rozluźniający masaż karku, wydaje się zdruzgotana, że nie przynosi ulgi.

- Jak mogę pomóc?

- Przyślij kogoś, chodzi o manikiur i wydepilowanie brwi - odpowiadam po chwili zastanowienia. - Może jeśli będę dobrze wyglądać, to i lepiej się poczuję.

Deirdre zapewnia, że wyglądam ślicznie, ale ochoczo spełnia moją prośbę i po kilku minutach leżę już w ciepłej kąpieli, podczas gdy rozgadane starsze kobiety nakładają mi na włosy odżywkę i pozbawiają za pomocą wosku części brwi i warstwy naskórka. Te same osoby przygotowywały mnie do ślubu. Są zbyt zajęte plotkowaniem, aby zwracać uwagę na mój podły nastrój. To powinno mi ułatwić zadanie.

- Kiedy tu przyjechałam, ktoś zadał mi pytanie, czy kolor moich oczu jest naturalny - mówię. - Znaczy, że można farbować tęczówki? - Sam pomysł wydaje się absurdalny, musiałyby to być strasznie bolesne, widziałam już jednak w tym domu dziwniejsze rzeczy.

- Oczywiście, że nie! - Parskają śmiechem. - Tylko włosy można farbować. Kolor oczu zmienia się, używając soczewek kontaktowych - wyjaśnia jedna z kobiet.

- Małych kawałków plastiku, które się wkłada do oka - dodaje druga.

- To boli? - Wydaje się tak samo absurdalne jak farbowanie.

- Skąd!

- Wcale!

- Mamy jakieś soczewki kontaktowe? Chciałabym zobaczyć, jak wyglądam z zielonymi oczami. Albo z brązowymi.

Są zachwycone prośbą. Kobieta przynosi okrągłe pojemniczki z soczewkami. Wyglądają upiornie. Niczym tęczówki odlepione od gałek ocznych. Zbiera mi się na wymioty. Przewyciężam obrzydzenie, myślę sobie, że skoro przetrwałam podróż ciężarówką pełną przerażonych dziewcząt - dla większości okazała się ostatnią drogą - to przetrwam wszystko.

Mam trudności z umieszczeniem soczewki w oku. Albo za dużo mrugam, albo wypłukują ją łzy. Jedna z pomocnic nakłania, bym dała sobie spokój.

- Masz śliczne oczy, kochana. Mąż na pewno nie chciałby, żebyś miała inne.

Druga jest bardziej zdeterminowana, wreszcie nam się udaje. Mogę podziwiać w lustrze

swoje nowe zielone oczy.

Wyglądają imponująco.

Służące wydają okrzyki zwycięstwa. Zostawiają mi płyn fizjologiczny oraz niebieskie i brązowe soczewki. Ostrzegają, żebym je wyjmowała na noc, inaczej przykleją mi się do oka i trudno je będzie wydobyć.

Zostaję sama, ćwiczę zakładanie i wyjmowanie zielonych soczewek. Przypominam sobie, co usłyszałam od Rose tamtego dnia, kiedy przyłapała mnie na próbie ucieczki windą. Że Vaughn prawdopodobnie zapłacił za mnie więcej ze względu na moje oczy. Jenna martwi się, że coś mi grozi z jego strony. Nie jej, nie Cecily. Mnie. Te dwie rzeczy mają ze sobą jakiś związek? Jeśli tak, to jaki - zamierza mi wydłubać oczy i przeprowadzić badania nad heterochronią? Heterochronia jako antidotum? Już widzę tę radość; Linden mógłby zaprojektować wystrój na przyjęcie z okazji wielkiego sukcesu ojca.

Odkładam soczewki do pojemnika z płynem fizjologicznym i zapadam w głęboki, pozbawiony marzeń, sen.

Jem śniadanie z Jenną w moim pokoju. Naradzamy się szeptem, jak odwrócić uwagę Vaughna, żebym mogła bez przeszkód zjechać do piwnicy. Nagle rozlega się wrzask Cecily, biegniemy do jej sypialni. Klęczy na podłodze w kałuży zabarwionej krwią wody, przyciska twarz do materaca. Drży spazmatycznie.

W uszach dudni mi głośne bicie własnego serca. Razem z Jenną próbujemy pomóc Cecily wstać. Położenie jej do łóżka okazuje się trudnym zadaniem - jest bardzo ciężka, usztywniona i rozhisteryzowana.

- Zaczęło się - krzyczy. - Zaczęło się, a jeszcze za wcześnie. Nic nie mogłam zrobić.

Wreszcie udaje nam się ułożyć bladą i jęczącą Cecily na łóżku. Pościel nasiąka krwią.

- Idę po Zarządcę Lindena - decyduje Jenna.

Chcę pójść za nią, lecz Cecily chwytą mnie za rękę, wbija paznokcie w skórę.

- Zostań! Nie zostawiaj mnie samej.

Jej stan pogarsza się z minuty na minutę. Szepczę jej do ucha uspokajająco, ale chyba mnie nie słyszy. Wywraca oczami i wydaje z siebie przerażające pomruki.

- Cecily. - Potrząsam nią, żeby do mnie wróciła. Nie mam pojęcia, co robić. To ona przeczytała wszystkie poradniki o ciąży i porodzie, wie najwięcej. Ja jestem kompletnie bezużyteczna. I umieram ze strachu.

Bo Cecily ma rację - jeszcze nie czas. Termin dopiero za miesiąc. I skąd tyle krwi? Jest wszędzie. Na pościeli, koszuli nocnej, białych koronkowych skarpetkach. Cecily rozpaczliwie

wierzga nogami.

- Cecily. - Ujmuję jej twarz w dłonie. Patrzy na mnie, ma rozszerzone źrenice, odpływa. - Cecily, zostań ze mną.

Dotyka małą zimną rączką mojego policzka:

- Nie możesz mnie tak po prostu zostawić - słyszę.

Jest coś dziwnego w sposobie wypowiedzenia tych słów. Jakby kryło się w nich głębsze znaczenie. Nie wiem, czy to tylko rezultat gorączki. Nigdy nie widziałam takiego przerażenia w jej brązowych oczach.

Do pokoju wbiega Vaughn, grupa asystentów ze sprzętem medycznym i zdyszany Linden. Przejmują inicjatywę. Odsuwam się, zwalniając miejsce należne mężowi. Linden chwyta Cecily za rękę, Vaughn pomaga jej usiąść.

- Grzeczna dziewczynka - mówi pieszczotliwie i wbija jej w kręgosłup ogromną igłę. Na sam widok kręci mi się w głowie, lecz zastrzyk działa od razu, na twarzy Cecily odmalowuje się dziwny błogi spokój. Cofam się powoli, krok za krokiem, w stronę drzwi.

- Teraz masz dobrą okazję - szepcze Jenna. Panuje zamieszanie. Mogłabym podpalić cały dom i nikt nie zwróciłby uwagi. Idealny moment, żeby zjechać do piwnicy i odnaleźć Gabriela.

Jednak Cecily jest taka mała i krucha, leży zakrwawiona wśród plastikowych rurek, aparatów medycznych, gumowych rękawic. Jęczy, chwyta ze świstem powietrze, boję się, że umiera.

- Nie mogę.

- Zostanę przy niej, przypilnuję.

Wierzę jej. Ale Jenna nie wie, co spotkało pierwsze dziecko Lindena. Sam na sam z Mistrzem, otumaniona lekami, Rose nie miała szans, by zapobiec tragedii. Mnie też odurzył po wypadku. Vaughn pokazuje swoje prawdziwe oblicze, kiedy żony Lindena są bezbronne. Za nic nie wyjdę z tego pokoju w chwili, gdy unosi koszulę nocną Cecily rękami w gumowych rękawiczkach.

Coś jeszcze sprawia, że nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca. Cecily stała się moją siostrą, pragnę ją chronić, tak jak ja i mój brat stawaliśmy nawzajem w swojej obronie.

Tkwimy przy jej łóżku godzinami. Na przemian krzyczy i wymachuje nogami, to znów odpływa w sen albo ssie kostki lodu, podawane przez Elle. Prosi, żebym opowiedziała jej o bliźniętach. Nie chcąc dzielić się własnymi przeżyciami ani ze służącymi, ani z Vaughnem i Lindenem, postanawiam opowiedzieć historyjkę zasłyszaną kiedyś od mamy, wymyślając na

poczekaniu szczegóły, których nie pamiętam. Jest to opowieść o okolicy, gdzie wszyscy puszczają latawce. Mają też lotnie - wielkie latawce z uchwytyami do trzymania, mogą na nich latać ludzie. Trzeba stanąć gdzieś wysoko, na moście lub dachu wieżowca, a potem skoczyć i unosić się na wietrze.

- To jak czary. - Cecily wzdycha z rozmarzeniem.

- To są czary - zapewniam. Bardzo brakuje mi mamy. Ona wiedziałaby, co robić; na jej dyżurach rodziło się dużo dzieci. Młode bezdomne kobiety oddawały noworodki laboratoriom w zamian za opiekę medyczną podczas ciąży, kilka miesięcy w cieple. Mama zawsze bardzo troskliwie zajmowała się niemowlętami. Chciała jedynie opracować formułę lekarstwa, żeby następne pokolenia mogły normalnie żyć. Kiedyś wierzyłam, że im się uda - jej i ojcu - lecz po ich śmierci Rowan powiedział, iż to wszystko bez sensu. Nie da się uchronić tego żalnego świata od zagłady. Przyznałam mu wtedy rację. Dziś będę świadkiem narodzin i sama już nie wiem, w co wierzyć. Chciałabym tylko, żeby to dziecko przeżyło.

Cecily ma skurcz, wygina ciało w łuk. Trzymam ją za jedną rękę, Linden za drugą. Przez chwilę odnoszę dziwne wrażenie, że jest naszą córką. Linden patrzył na mnie z wdzięcznością, gdy opowiadałam bajkę o latawcach. Z drżących ust Cecily wydobywa się przeraźliwy jęk. Linden próbuje ją uspokajać, ale unika jego pocałunków. Krztusi się i wrzeszczy. Zbiera mi się na płacz, kiedy widzę strumienie łez spływające jej po policzkach.

- Nie można jej dać więcej środków przeciwbólowych? - mówię ze złością do Vaughna. Genialnego eksperta od ludzkiego ciała, samozwańczego zbawiciela świata.

- Nie ma potrzeby. - Patrzy na mnie bez wyrazu.

Służący unosi do góry nogi Cecily, umieszczając stopy w czymś, co wygląda jak pedały od roweru. Chyba mówią na to strzemiona. Vaughn całuje rodzącą w spocone czoło.

- Już prawie po wszystkim, kochana. Świetnie sobie radzisz. - Cecily uśmiecha się z wysiłkiem.

Jenna siada na sofie pod oknem, jest blada. Przed chwilą zaplotła spocone włosy Cecily w warkocz, prawie się nie odzywa. Chętnie usiadłabym obok niej, gdybym mogła wydobyć rękę z morderczego uścisku trzeciej żony.

Vaughn każe Cecily przeć. Oddając jej sprawiedliwość, trzeba przyznać, że przestała narzekać na ból, siada prosto, wsparta o zagłówek łóżka, wygląda na zdeterminowaną i skupioną. Jest gotowa przejąć kontrolę.

Żyły na jej szyi nabrzmiewają, skóra purpurowieje. Zaciska zęby i boleśnie zakleszcza nasze dłonie w uścisku. Z jej gardła wydobywa się przeciągłe zawodzenie. To się powtarza

kilka razy z małymi przerwami na złapanie oddechu. Zaczyna się niecierpliwić, Vaughn zapewnia, że to już ostatnia faza porodu.

Ma rację. Dziecko przychodzi na świat z okropnym mokrym plaśnięciem. Najgorsza jest jednak cisza, która następuje potem.

Czekamy i czekamy. Mam ochotę odwrócić wzrok i wydaje mi się, że Linden także - od bladego ciała trzymanego przez służącą, zakrwawionego i nieruchomego, ale zamieram w bezruchu. Wszyscy zamieramy w bezruchu. Jenna pod oknem. Cecily trzymająca nas za ręce. Służba zbита w gromadkę niczym stado wystraszonych owiec.

Jak błyskawica przebiega mi przez głowę myśl, że Vaughn pozwoli swojemu wnukowi umrzeć, tak jak poprzedniemu. Ale stary lekarz wkracza do akcji, przejmuje noworodka i wsuwa mu coś do gardła. Po chwili płuca dziecka zaczynają pracować, rozlega się płacz. Cecily z ulgą opada na poduszki.

- Gratulacje. - Vaughn podsuwa jej wierzgające ciało. - Masz syna.

Znów robi się zamieszanie. Płaczące dziecko zostaje umyte i poddane dokładnym oględzinom. Linden przytula się do Cecily, całuje ją raz po raz, rozmawiają urywanym gorączkowym szeptem.

Opadam na sofę obok Jenny, obejmujemy się nawzajem.

- O - Dzięki Bogu, że już po wszystkim - odzywam się cicho.

- Może nie - odpowiada ona.

Cecily właśnie wydalila łożysko i wciąż krwawi, jest bardzo blada. Przenoszą ją na szpitalny wózek, zrywam się na nogi, żeby być przy niej. Tym razem to ja chwytam ją mocno za rękę.

- Idę z nią.

- Dokąd? - śmieje się Vaughn. - Nigdzie jej nie zabieramy. Trzeba tylko posprzątać ten bałagan.

Służący zdejmują z łóżka zakrwawioną pościel.

- Nie, to na nic - stwierdza Vaughn. - Cały materac do wymiany.

- Gdzie moje dziecko? - Cecily jest zaniepokojona. Ma szkliste, nieprzytomne spojrzenie. Twarz mokra od łez i potu. Świszczący oddech.

- Niedługo go zobaczymy, kochanie. - Linden całuje ją. Cecily nagle przestaje przypominać małą dziewczynkę. Gdybym nie znała ich obojga, mogłabym ich uznać za typowych rodziców w zwykłym szpitalu, w normalnych okolicznościach.

Ale oczywiście nic tu nie jest normalne, zwykle ani typowe. Szanse na normalność w

tym miejscu przypadły dawno temu, jak laboratorium z moimi rodzicami w środku.

Cecily wygląda na słabą i wyczerpaną, jej twarz jest pozbawiona koloru. Bardzo się o nią boję. A jeśli straci zbyt dużo krwi? Albo wda się jakaś infekcja? Może jej drobne młode ciało okazało się zbyt delikatne i pojawiły się komplikacje? Wołałabym, żeby Vaughn zabrał ją do szpitala w mieście. Dobrze oświetlonego i pełnego innych lekarzy.

Nie wypowiadam na głos swoich wątpliwości. To byłoby daremne. Mistrz nigdy nie pozwoli nam odejść, wystraszyłabym tylko Cecily. Zamiast tego dotykam jej czoła, odgarniając spocone włosy.

- Odpocznij sobie. Zasłużyłaś na to.

- Zasłużyłaś, kochanie - powtarza Linden, całuje ją w rękę, którą przykłada sobie do policzka. Cecily odpywa w sen z lekkim uśmiechem na ustach.

Zasypia głęboko, nie chrapie przez całą noc. Zaglądam do niej co jakiś czas, aby upewnić się, czy wszystko w porządku. Mam w pamięci swoje doświadczenia z Vaughnem po wypadku, kiedy leżałam bezbronna w łóżku. Prawie się nie rusza, na szczęście został z nią Linden.

Jenna idzie do łóżka jeszcze przed kolacją. Vaughn zagląda raz po raz na nasze piętro pod pretekstem odwiedzin u synowej. W najbliższym czasie nie mam szans na dostanie się do piwnicy. Byłoby to zbyt ryzykowne, dopiero co dostałam kartę, wołałabym jej nie stracić. Pocieszam się myślą, że Gabrielowi nic złego się nie stało. Przecież przesłał mi cukierka. Może Vaughn jednak nie wie o naszym pocałunku. Może Gabriel po prostu dostał inny przydział, ma czyścić narzędzia chirurgiczne albo zmywać podłogi w piwnicy. Tym niemniej żołądek mi się ściska na samą myśl o nim zamkniętym w tym strasznym pozbawionym okien lochu. Na domiar złego, nie widziałam dziecka, odkąd je wywieźli po raz pierwszy. Za każdym razem, kiedy słyszę na korytarzu wstrętny głos Vaughna, boję się, że mówi, iż chłopczyk nie przeżył.

Gabrielu, proszę, zaopiekuj się nim, jeśli go spotkasz na dole, dobrze?

Po północy siedzę przy oknie z kubkiem herbaty i obserwuję spadające z nieba płatki śniegu. W pewnej chwili zjawia się uśmiechnięty od ucha do ucha Linden.

- Właśnie u niego byłem. U mojego syna. Jest piękny, zdrowy i silny.

- Bardzo się cieszę, Lindenie. - To prawda.

- Jak się miewasz? - Przysuwa sobie otomanę i siada obok mnie. - Jadłaś coś?

Potrzebujesz czegośkolwiek?

Jest w siódmym niebie i muszę przyznać, że udziela mi się jego dobry nastrój. Mam wrażenie, iż wszystko pomyślnie się ułoży.

Kręcę z uśmiechem głową, wyglądam przez okno.

- Pełnia księżyc.

- Szczęśliwy znak. - Dotyka moich włosów, siada ze mną na parapecie, podsuwam kolana pod brodę, żeby miał więcej miejsca. Delikatnie odsuwa moje nogi, stawiam stopy na podłodze. Ujmuje mnie pod brodę i całuje.

Nie protestuję, ponieważ jestem pierwszą żoną - co zostało oficjalnie potwierdzone wręczeniem karty - i obiecałam, że postaram się być dla niego lepsza. Nabralby podejrzeń, gdybym go odepchnęła. Ale również dlatego, że całowanie Lindena Ashby'ego nie jest najgorszym, co może spotkać dziewczynę.

Odsuwam się jednak, kiedy zaczyna rozpinąć guziki mojej koszuli nocnej.

- O co chodzi? - pyta nieprzytomnym głosem i patrzy też nieprzytomnie.

- Lindenie. - Purpurowieję na twarzy, zapinam koszulę. Nie przychodzi mi do głowy żadna sensowna wymówka, wpatruję się w księżyc za oknem.

- To dlatego, że drzwi są otwarte? Zaraz zamknę.

- Nie, nie chodzi o drzwi.

- Więc o co? - Znow ujmuje mnie pod brodę, niechętnie patrzę mu w oczy. - Kocham cię - mówi. - Chcę mieć z tobą dziecko.

- Teraz?

- Niedługo. Nasz czas razem jest ograniczony.

Bardziej, niż myślisz.

- Istnieje tyle innych rzeczy, które możemy razem robić. Na przykład podróżować. Chciałabym zobaczyć, jak z twoich rysunków powstają prawdziwe domy. Chciałabym... chciałabym pójść na przyjęcie z okazji przesilenia zimowego. Na pewno jakieś się szykuje.

Z jego twarzy znika wyraz romantycznego uniesienia, zastępuje go rozczarowanie lub zagubienie. Nie jestem pewna.

- Cóż, prawdopodobnie tak. Przesilenie zimowe jest w przyszłym tygodniu...

- Pójdziemy? Deirdre ma tyle pięknych tkanin, a brakuje okazji, żeby szyć z nich suknie.

- Jeżeli to ma cię uszczęśliwić.

- Tak. - Całuję go. - Zobaczysz, że wyjście z domu dobrze nam obojgu zrobi.

Sprawia wrażenie, jakbym złamała mu serce. Poddaję się więc, siadam blisko i pozwalam, żeby mnie objął. Mówi, że mnie kocha, ale jak to możliwe, skoro tak niewiele o sobie wiemy? Łatwo poddać się iluzji, przyznaję. Kiedy czuję jego ciepło i patrzę na piękny księżyc, czuję coś podobnego do miłości. Trochę. Może.

- Jesteś podekscytowany przyjściem na świat synka. Jest cudowny. Zobacysz, że on ci wystarczy.

- Może masz rację. - Całuje mnie w czubek głowy.

A ja wiem, że to nieprawda. Nie zdołam zbyt długo unikać jego awansów, nie wzbudzając podejrzeń. Niezależnie od tego, w jaki sposób ucieknę, muszę to zrobić szybko.

Pod nieobecność Gabriela wszystkie posiłki przynosi nam ten sam nerwowy służący. Jenna i ja jadamy razem w bibliotece, ale ona jest kompletnie ignorowana, ja skupiam całą uwagę.

- Mam nadzieję, że będzie pani smakować. - Służący podnosi srebrną pokrywkę. - Sałatka cesarska z grillowanym kurczakiem. Jeżeli pani nie lubi, kucharka przyrządzi coś innego.

- Wygląda przepysznie. Nie jestem wybredna.

- Nic takiego nie sugerowałem, pani Rhine. W żadnym wypadku. Życzę smacznego.

Jenna szczyrzy się znad talerza.

- Widziałaś? - mówię po odejściu służącego. - Próbką tego, co mnie spotyka. Dziś rano służąca spytała, czy życzę sobie, żeby wyszczotkowała mi włosy. Dzieje się coś dziwnego.

- Normalne traktowanie pierwszej żony - stwierdza Jenna, gryząc sałatę.

- Domyślili się z powodu karty?

- I paru innych rzeczy. - Stuka szklanką o moją szklankę. - Gratulacje, siostró.

- Dzięki - odpowiadam z przekąsem.

Służba uwija się wokół mnie jak w ukropie, a ja zaczynam się zamartwiać, co też ta karta naprawdę znaczy. Sądziłam, iż dzięki niej zyskam więcej swobody, tymczasem nabieram podejrzeń, czy to przypadkiem nie kolejny diaboliczny plan Vaughna, bo wzbudzam teraz takie zainteresowanie, że trudno mi o chwilę prywatności. Prawda, mogę wychodzić na zewnątrz, kiedy zechcę, ale co chwila przybiega jakiś służący z kubkiem gorącej czekolady albo herbaty. Przychodzą do sypialni trzy, cztery razy w ciągu nocy z pytaniem, czy mi nie wieje i czy potrzebuję dodatkowej poduszki.

Vaughn mógł maczać palce w tej intrydze. Dał mi kartę tylko po to, żeby służba mogła mnie zamęczyć uprzejmością. Pewnie specjalnie przeniósł Gabriela, stroi sobie ze mnie żarty.

Mogę chodzić prawie wszędzie, ale nie do piwnicy. Powinnam była poszukać Gabriela, kiedy Cecily rodziła i panowało zamieszanie. Tak jak sugerowała Jenna. Ale nie potrafiłam wtedy odejść od cierpiącej dziewczynki.

Wciąż się o nią martwię. Jest osłabiona. Leży w dusznej zaciemnionej sypialni wypełnionej chemicznymi zapachami. Mówi przez sen o muzyce, latawcach i huraganach. Straciła dużo krwi. Tak stwierdził Vaughn, a ja się z nim zgadzam, jednak nieufnie przyglądam się przygotowaniom do transfuzji. Często zaglądam do Cecily, kolor powoli powraca na jej policzki, zastanawiam się, czyja krew jest w nią pompowana. Może Rose. Albo jakiegoś nieszczęsnego służącego. Czy mroczny i destrukcyjny Vaughn kiedykolwiek naprawdę wykorzystuje swoje umiejętności do leczenia? Tym niemniej, Cecily z dnia na dzień zaczyna czuć się lepiej.

Przystawia do piersi płaczące dziecko, które przynosi Vaughn. Na wpeł uspiona rozpina guziki koszuli. Linden pomaga jej nie zasnąć. Mówi coś cicho, odgarniając rude loki z czoła Cecily, a ona się uśmiecha. Są dla siebie stworzeni, myślę, oboje tacy naiwni, zadowoleni z tego, co mają. Chyba lepiej, bym nie opowiadała więcej historyjek o bliźniętach. Może to dobrze, że nie wiedzą, co mogliby mieć, co jest za murami rezydencji. Lepsze rzeczy. Realne. Takie, które nie rozplývają się w powietrzu. Można ich dotknąć, w przeciwieństwie do hologramów. Niech ich syn nigdy się nie dowie, że istnieje inny świat, bo i tak nigdy go nie zobaczy.

Cecily zauważa, że stoję na korytarzu i macha, żebym weszła, ale ja odchodzę, udając, iż mam coś ważnego do załatwienia. Nie chcę im przeszkadzać. Dzielenie się mężczyzną z dwiema innymi kobietami nie jest trudne; dla każdej z nas to małżeństwo co innego znaczy. Dla Jenny dom Lindena jest jedynie luksusową umieralnią. Dla Cecily związek to miłość, partnerstwo i dzieci. Dla mnie, jedno wielkie kłamstwo. Wszystko jest proste, dopóki pamiętam o tych różnicach. Mogę sobie wtedy powiedzieć, że nie wyrządę dziewczynom krzywdy swoim odejściem.

Wreszcie, ku mojej radości, Cecily może wstać z łóżka. Idę z nią do salonu, gdzie wybiera dyskietkę z hologramem i zaczyna grać. Muzyka ożywia obraz, który wygląda jak unoszący się w powietrzu ekran telewizyjny. Zielone pole upstrzone makami i błękitne niebo z białymi sunącymi chmurkami. Kopia obrazu, który widziałam w albumie. Dzieło impresjonisty powoli zmierzającego ku szaleństwu.

Dziecko leży na podłodze zapatrzona w obraz. Wiatr szarpie trawę, kwiatami i krzakami, aż zamieniają się w deliryczną plataninę kolorów, rozmazaną moką farbę.

Cecily zatraciła się w muzyce, gra z zamkniętymi oczami. Patrę na jej młodziutką buzię, małe rozchylone usta, rzadkie rzęsy. Nie widzi kolorów swojej piosenki, siedząc wyprostowana przy klawiaturze, zresztą hologram chyba jej nie interesuje. Jest najbardziej realną postacią w

całym pomieszczeniu.

Chłopiec robi niepewne minki i kręci się, jakby nie wiedział, co począć z całą tą wspaniałością, którą widzi. Zobaczy jeszcze wiele iluzji. Będzie oglądać obrazy ozywające przy dźwiękach muzyki i zwiedzać wirtualnie domy zaprojektowane przez tatę, zanurkuje w basenie pełnym gupików i wielorybów. Ale nigdy nie poczuje prawdziwego oceanu oblewającego mu kostki, nie zarzuci wędki ani nie zbuduje własnego domu.

Muzyka cichnie, wiatr ustaje, iluzja znika.

- Szkoda, że nie mamy prawdziwego fortepianu - narzeka Cecily. - Nawet w obskurnym sierocińcu był prawdziwy fortepian.

W drzwiach staje Jenna z ustami i rękami pełnymi pistacji:

- „Prawdziwy” to słowo uznawane w tym domu za wulgarne.

Rano, w dzień zimowego przesilenia, Jennie udaje się ukraść zapalniczkę służącemu, który podpałał kadzidła na korytarzu. Flirtuje z nim, a kiedy upuszcza stos romansów historycznych, on gorliwie je zbiera. Oszołomiony czarującym uśmiechem nawet nie zauważa, że wyjęła mu z ręki zapalniczkę.

- Na razie. - Posyła mu na odchodne jeszcze jeden uśmiech, biedak omal nie przycina sobie krawata w drzwiach windy. Gdy tylko się zamykają, oczy Jenny znów mają normalny wyraz, uwodzicielska otoczka znika. Klaszczę z uznaniem, a ona dyga wdzięcznie, przytrzymując rąbek spódniczki.

Jest trochę spocona, jakby to, co zrobiła, kosztowało ją dużo wysiłku. Trzyma zapalniczkę jak trofeum.

- Co z nią zrobisz? - pytam.

- Dawaj świeczkę. Podpałę salon - odpowiada rzeczowym tonem.

- Co proszę?

- Włączy się alarm i wszyscy przybiegną zobaczyć, co się stało. Wtedy zjedziesz do piwnicy.

Nie jest to najbardziej szalony plan, jaki można wymyślić, stwierdza Jenna, przypominając moje bliskie spotkanie ze śmiercią na polu golfowym. Proszę, żeby zaczekała, aż włożę swoje zielone soczewki kontaktowe.

- Może nie zostanę rozpoznana. Niektórzy służący nigdy mnie nie widzieli, ale znają ze słyszenia jako „tę miłą z dziwnymi oczami”.

Jenna chwali mnie za pomysłowość.

- Znajdź sobie kombinezon ochronny - radzi. - Na pewno nie domyślą się, kim jesteś. Powinny być w którymś laboratorium. - Nie tłumaczę, że boję się tam wchodzić. Kiwam głową i podaję jej lawendową świecę. - Zostań u siebie - dodaje. - Postaraj się nie rzucać w oczy. - Uśmiecha się i oddala w podskokach. Podejrzewam, że od dawna marzyła o podpaleniu domu.

Po paru sekundach włącza się alarm przeciwpożarowy, migają światła na suficie. Dziecko zaczyna płakać, Cecily wybiega na korytarz, zasłaniając uszy rękami. Z windy wylewają się zastępy służących, ale Linden i Vaughn pojawiają się dopiero z drugim transportem. Z salonu buchają już kłęby dymu. Nasze piętro nie jest połączone schodami z

innymi i od dawna zadawałam sobie pytanie, co by się z nami stało w razie pożaru. Znając Vaughna, pozwoliłby żonom Lindena spłonąć, a potem zastąpiłby je innymi.

Droga wolna. Muszę nacisnąć guzik awaryjny w windzie, żeby dostać się do piwnicy. Jego dźwięk ginie w ogólnym zamęcie, w wyciu syren. W piwnicy panuje upiorny spokój. Jest cicho, światła awaryjne migają leniwie co jakiś czas.

Zielonooka i anonimowa, idę trochę chwiejnie, trzymając się ściany. Powtarzam szeptem imię Gabriela i rozglądam się za kombinezonem. Znajduję całą szafę ubrań ochronnych, szybko wkładam biały strój na to, co mam na sobie. Pod maską czuć zapach plastiku, robi mi się okropnie duszno. Oddycham ciężko, biała szybka pokrywa się parą. To jakiś koszmar, jakbym była pogrzebana żywcem.

- Gabriel! - wołam szeptem. Mam nadzieję, że po prostu na niego wpadnę albo spotkam za rogiem, zajętego myciem podłogi lub uzupełnianiem zapasów w schronie. Obym tylko nie musiała otwierać żadnych drzwi. Nagle dobiega mnie jego głos. W każdym razie wydaje mi się, że jego - w tym czymś na głowie nie słyszę wyraźnie nic poza własnym oddechem.

Podskakuję, kiedy ktoś dotyka mojego ramienia.

- Rhine? - Odwracam się na pięcie.

Gabriel. Nie leży uśpiony na stole operacyjnym. Nie ma siniaków. Nie jest martwy. Martwy. To słowo dźwięczy mi w głowie jak alarm, uświadamiając, czego najbardziej się bałam. Ściskam go mocno, jest to trochę niewygodne w kombinezonie, ale w tej chwili liczy się tylko bliskość Gabriela.

Zdejmuje mi hełm i wreszcie słyszę dźwięki inne niż mój własny oddech. Śmiech Gabriela. Hełm upada na podłogę.

- Co ty tu robisz? - Ściska mnie mocniej.

- Myślałam, że nie żyjesz - mruczę z ustami przy jego ramieniu.

Wypowiedzenie tych słów na głos przynosi ulgę. Jak dobrze, że się myliłam. Gabriel wyczuwa opuszczające mnie napięcie. Przesuwa dłoń po moich plecach, zanurza palce we włosach i przytrzymuje przez chwilę.

Wreszcie wypuszcza mnie z objęć i przygląda się uważnie mojej twarzy, odgarnia z niej kosmyk włosów.

- Co ci się stało?

- Co? Wszystko w porządku.

- Twoje oczy.

- Soczewki kontaktowe. Żeby się nie wyróżniać. W razie, gdybym kogoś spotkała... A

co z tobą! - wołam. - Nie widziałam cię od kilku dni!

Kładzie mi palec na ustach i prowadzi do niepokojąco mrocznego pomieszczenia. Jednej z tych sal, które wzbudzają we mnie lęk. Tym razem wiem, że wszystko będzie w porządku, bo jestem z Gabrielem. Nie zapala światła, czuję metaliczny zapach i słyszę kapanie wody. Trzymam jego dłonie w swoich, stoimy w kompletnych ciemnościach.

- Nie możesz tu przychodzić - szepcze mój przyjaciel. - Mistrz wszystko wie. O pocałunku. I o twojej ucieczce. Pozbędzie się mnie, jeżeli przyłapie nas razem.

- Wyrzuci cię z pracy?

- Nie wiem. Ale mam przeczucie, że użyje worka na zwłoki.

Oczywiście. Ależ jestem głupia. Nikt nie wychodzi stąd żywy. Nawet martwy się nie wydostanie. Vaughn potrzebuje przecież zwłok do pracy w laboratorium. Czyżby przed tym właśnie usiłowała ostrzec mnie Jenna? Wyobrażam sobie swoje oczy w słoiku na półce i zaciskam usta, powstrzymując mdłości. Niewykluczone, że wpadłam w pułapkę Vaughna - celowo dał mi kartę i umieścił Gabriela w piwnicy, wiedząc, iż przyjdę go szukać. Może już czai się za rogiem gotów zamknąć mnie w sali tortur. Czuję pulsowanie w skroniach, jednak radość ze spotkania z przyjacielem jest silniejsza od strachu. Musiałam go odszukać, nie wybaczyłabym sobie, gdybym tego nie uczyniła.

- Skąd wie?

- Nie mam pojęcia, ale nie może nas zobaczyć razem, Rhine. To zbyt niebezpieczne.

- Ucieknijmy razem.

- Nie możemy, Rhine...

- Znalazłam wyjście. - Wsuwam mu w dłoń kartę. - Linden pozwolił mi korzystać z windy. I znalazłam wyjście. Między drzewami jest droga zamaskowana hologramem.

Nie odzywa się, a ponieważ zupełnie się nie widzimy, tak samo prawdopodobne, że zniknął.

- Jesteś? - Chwytam go za koszulę.

- Jestem. - Wciąż milczy. Wsluchuję się w jego oddech. Otwiera usta, zamierzając coś powiedzieć, domyślam się co. Będzie próbował mnie odwozić od ucieczki, używając logicznych argumentów. Nie mogę tego słuchać, jeśli chcę wydostać się stąd jeszcze za życia. Dlatego zamykam mu usta pocałunkiem.

Za zamkniętymi drzwiami pogrążeni w egipskich ciemnościach na chwilę zapominamy, że jesteśmy w piwnicy. Dryfujemy po nieskończonym oceanie, wolni i swobodni. On zanurza dłoń w moich włosach, przesuwa nią po plecach. Kombinezon szeleści pod jego palcami.

Co jakiś czas próbuje się wyrwać, mrucząc: „ale...”, „posłuchaj...” albo „Rhine...”, ale powstrzymuję go. Chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie. Chcę zdjąć z palca obrączkę. Chcę, abyśmy oboje byli wolni.

Ale pocałunek musi kiedyś się skończyć, Gabriel przyciska czoło do mojego czoła.

- To naprawdę zbyt niebezpieczne, Rhine. Vaughn nie cofnie się przed niczym, aby chronić syna. Zamorduje cię i upozoruje wypadek.

- To chyba przesada, nawet jak na niego.

- Nie byłbym taki pewien. Ma bzika na jego punkcie. Kupił mu trzy żony dla osłody po stracie Rose. Nie myśl, że cofnie się przed morderstwem, jeżeli uzna, iż to uchroni Lindena przed rozczarowaniem.

Jeśli ci życie miłe, nie próbuj więcej żadnych sztuczek. Coś podobnego powiedział, kiedy dochodziłam do siebie po wypadku. Jednakże dodał przecież, że syn byłby zdruzgotany, gdyby mnie stracił. I chociaż mam o Vaughnie jak najgorszą opinię, nie wątpię, że naprawdę zależy mu na Lindenie. A on nie pogodziłby się z moją śmiercią w jakimś wypadku. Co więcej, mógłby obwiniać ojca o niedopilnowanie mnie.

Odsuwam od siebie poczucie winy, choć przychodzi mi to z trudem. Nie jestem własnością Lindena. Przykro mi, że skrzywdzę go swoim odejściem, ale trudno, siła wyższa.

- Będzie dobrze. Nie damy się złapać.

- To takie proste? - Śmieje się z niedowierzaniem.

- Powiedziałam, że wywlokę cię stąd siłą i tak zrobię. Nie widzisz, co się dzieje? Już nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo potrzebujesz wolności, od tak dawna tkwisz w potrzasku. I nie mów mi, że tu wcale nie jest tak źle. Nie pytaj, co takiego jest na zewnątrz, czego brakuje w zamknięciu. Pokażę ci. Błagam, musisz mi tylko zaufać.

Widzę jego niezdecydowanie. Zawija na palec kosmyk moich włosów.

- Myślałem, że już ciebie nie zobaczę.

- I nie widzisz. - Śmiejemy się cicho.

- Wariatka.

- Podobno. Więc co? Zgadzasz się?

- A jeśli nam się nie uda?

- Wtedy oboje zginiemy. - To brzmi poważnie.

Nie odpowiada, dotyka mojej twarzy.

- Dobrze. - Słyszę wreszcie czysty, łagodny głos.

Szeptem omawiamy szczegóły, przytuleni do siebie w ciemnym pokoju. W każdy piątek

miesiąca, około dwudziestej drugiej, Gabriel wynosi tylnymi drzwiami odpady biologiczne. Vaughn zamawia specjalny samochód, który je zabiera. Gabriel pójdzie za odjeżdżającą śmieciarką, ona mu wskaże drogę przez hologramowe drzewa. Ja do niego dołączę. Jestem bardzo zadowolona z naszego planu, lecz Gabriel wypytuje, w jaki sposób przejdziemy przez bramę i czy jest strzeżona.

- Coś wymyślimy. - Macham ręką.

Dziś wieczorem Linden zabiera mnie na bankiet z okazji zimowego przesilenia, jedziemy do miasta.

- Rozejrzę się dokładnie za jakimś miejscem, gdzie będziemy mogli się ukryć.

- Mamy ostatni tydzień grudnia, więc do zobaczenia w przyszłym roku - mówi na pożegnanie.

Całujemy się po raz ostatni, a potem rozdzielają nas drzwi windy.

Pożar na górze został ugaszony, smętnie wyglądają nadpalone resztki brzydkich różowych zasłon.

- ...i zobaczyłam, jak zasłony zajmują się ogniem od zapalanej świeczki. Próbowałam ugasić płomień, ale się nie udało - tłumaczy Jenna Vaughnowi, kiedy wchodzi do salonu.

Linden poklepuje ją po ramieniu. Wiem, że Jenna na pewno ma ochotę go odepchnąć.

- To nie twoja wina - pociesza.

- Kupimy nowe zasłony - dodaje jego ojciec. - Na przyszłość gaśmy świece przed wyjściem z pokoi. - Z jakiegoś powodu wypowiadając ostatnie zdanie, patrzy na mnie.

Cecily kołysze w ramionach marudzącego synka.

- Co ci się stało z oczami? - pyta Linden.

- Z oczami?

Jenna daje mi rozpaczliwe znaki, że zapomniałam zdjąć soczewki.

- Ach... to taki eksperyment. Niespodzianka na dzisiejszy wieczór, Lindenie. Przymierzałam akurat szkła kontaktowe, kiedy włączył się alarm. Zapomniałam, że wciąż je mam.

Mam nadzieję, że Vaughn uwierzył w tę historyjkę. Na szczęście jego uwagę odwraca płaczące niemowlę. Cecily nie potrafi uspokoić Bowena, Vaughn zabiera jej synka.

- No już, już, mój chłopcze. - Mały przestaje krzyczeć. Cecily stoi w cieniu Vaughna, wygląda, jakby chciała coś powiedzieć. Wyciąga rękę do dziecka, ale z jakiegoś powodu nieruchomieje.

- Chyba jest głodny - domyśla się Vaughn.

- Zaraz go nakarmię.

- Nie rób sobie kłopotu, kochanie. - Daje jej pstryczka w nos, jak małej dziewczynce. -

Po to przecież są mamki. - Wynosi małego Bowena, nie pozwalając Cecyli dojść do słowa. Na koszuli dziewczyny są ślady mleka płynącego z obrzmiałych piersi.

Służące szykują mnie na przyjęcie przez godzinę. Jestem zbyt ucieszona spotkaniem z Gabrielem i naszym planem ucieczki, żeby przejmować się targaniem za włosy i duszącymi oparami spreju do usztywniania fryzur. Radzą mi wyjąć soczewki, robię to, udając rozczarowanie.

- Twoje oczy zrobią furorę - przekonują.

- Zwłaszcza jeśli będą kamery - dodaje któraś z rozmarzeniem.

Kamery. Cudownie. Nie wiem, jakie są szanse, że mój brat obejrzy transmisję z festynu przesileniowego. Poza tym, podobnych wydarzeń muszą być dziś setki na różnych stacjach. Rowan nigdy nie interesował się takimi sprawami, ale może mnie szuka? To możliwe po tylu miesiącach? Niedługo wrócę do domu. Martwię się, nie wiadomo, czy go tam zastanę. Może wyruszył na poszukiwania albo wyprowadził się, nie mogąc znieść bolesnych wspomnień. Niektóre rodziny opuszczają swoje domy po stracie bliskich. A Rowan to niespokojna dusza.

Zaczekaj na mnie, proszę w myślach. Zobaczymy się niebawem.

Jak zwykle nie ma odpowiedzi.

Muszę przyznać, iż kiedy Deirdre powiedziała, że szyje dla mnie różową suknię, nie byłam zachwycona, lecz teraz, widząc dzieło w całej okazałości, chylę czoło przed jej talentem. Pastelowy połyskujący róż, spódnica jak śnieżna zaspą, szal wyszywany perłami. Makijaż świetnie dobrany do sukni.

- Większość kobiet na pewno wybierze typowo zimowe barwy; preferowany niebieski, biały... - tłumaczy Deirdre. - Będziesz się wyróżniać.

- Jest cudowna - zapewniam, a dziewczynka pęka z dumy.

Linden natomiast cieszy się, że zdjęłam soczewki kontaktowe.

- Dziwnie w nich wyglądałaś - stwierdza Cecyli, stając w progu mojej sypialni z założonymi na piersiach rękami. Ma splątane włosy, sine worki pod oczami i bladą skórę z widocznymi żyłkami. - Myślałam, że dostałaś jakiegoś wylewu. Nie noś ich więcej, co? - Wzdraga się na samo wspomnienie.

Nie jest już wesołą dziewczynką w przebraniu elfa, którą poznałam niecały rok temu, rozmyślałam po jej wyjściu. Tuż przed urodzeniem dziecka skończyła czternaście lat i w

odróżnieniu od Jenny nie omieszkła poinformować o swoich urodzinach całego domu. Był olbrzymi tort z jednorożcami, cały personel musiał jej śpiewać „Sto lat”, dostała od Lindena przepiękny diamentowy naszyjnik, którego nie ma okazji nosić. Chodziła w nim po domu do czasu urodzenia Bowena.

- Wygląda na zmęczoną. Pomagasz jej przy dziecku? - zwracam się do Lindena.

- Kiedy tylko mogę. Też, jak ja, wydaje się zmartwiony. Mówimy przyciszonymi głosami. - Czasem trudno wyrwać małego z ramion dziadka. Jest zachwycony, że wreszcie doczekał się wnuka. - Przerzywa i patrzy na mnie. Domyślam się, o czym myśli. O dziecku Rose, które stracił bezpowrotnie. - Wyglądasz oszalamiająco. - Bierze mnie pod rękę.

Na dworze jest przeraźliwy ziąb, na szczęście Deirdre pomyślała o szalu. Linden pyta żartem, czy otworzyć wszystkie okna. Przymulam się do niego. Zostaw, mówię. Nie potrafię odróżnić w mroku hologramowych drzew od prawdziwych. Kiedy wjeżdżamy do miasta, uważnie śledzę każdy szczegół za oknem. Przysuwam nos do szyby i planuję trasę ucieczki.

Linden uśmiecha się szeroko.

- Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie. Jesteś taka przejęta. - Odgarnia mi za ucho usztywniony lakierem zwinięty w lok kosmyk włosów. - I czarująca.

Zaskakuje mnie komplementem. Zachwyca się swoją żoną, podczas gdy ta właśnie zastanawia się, jak się od niego uwolnić. Mam poczucie winy. Linden całuje mnie w policzek, a ja posyłam mu piękny uśmiech. I wracam do planowania ucieczki.

Pierwszy przystanek to kino. Doskonały punkt orientacyjny - wielki telebim nad wejściem, migający napis na drzwiach: „Otwarte 24 godziny na dobę”. Jest restauracja, serwująca owoce morza, z jaskrawoczerwonymi stolikami i papierowymi lampionami. Przypominam sobie o oceanie. Uważnie przyglądam się jasno oświetlonym jachtom. Z pokładów dobiegają dźwięki muzyki.

- Przyjęcia na wodzie?

- Jachtkluby je organizują. - Linden wygląda przez okno ponad moim ramieniem.

- Wy pływałeś kiedyś?

- Raz. Byłem mały. Nie pamiętam już tego, ale ojciec mówi, że przez kilka dni po rejsie męczyła mnie choroba morska. Mam wyjątkowo słabą tolerancję. Od tamtej pory unikam wody.

- Dlatego nigdy nie wchodzisz do basenu i nie nauczyłeś się pływać. - Kiwa głową. Zgroza, myślę, ale staram się nie okazywać kłębiących się we mnie emocji. Obsesja Vaughna na punkcie kontroli nie ma granic, odebrał synowi nawet namiastkę prawdziwego oceanu. Bo nie

mam wątpliwości, iż historyjka o chorobie morskiej została wyssana z palca. Dziecięce dolegliwości i rzekoma chorowitość to tylko elementy manipulacji, żeby utrzymać syna przy sobie. Dotykam kolana Lindena i mówię: - Nauczę cię pływać, gdy tylko zrobi się ciepłej. To łatwizna. Kiedy już poznasz podstawy, nie utoniesz, choćbyś próbował.

- Bardzo bym chciał się nauczyć.

Przecież latem dawno mnie już tu nie będzie, uświadamiam sobie, rzucając ostatnie spojrzenie na ocean. Fale zdają się sięgać nieskończoności. To jedyne miejsce niedostępne dla Lindena. Ciekawe, czy Gabriel, który uwielbia wszystko, co pływa, umie żeglować.

Przyjęcie odbywa się na piętnastym piętrze drapacza chmur. Z każdym tanecznym krokiem na parkiecie rozbłyskują odciski stóp, pozostają widoczne przez kilka sekund. W powietrzu wiszą sople lodu, odbijają kolorowe światła. Podłogi pokrywa warstwa hologramowego śniegu. Deirdre miała rację: inne żony poubierały się na biało i niebiesko.

Linden niepewnie zatrzymuje się na progu.

- Znasz tu kogoś? - pytam.

- Jest paru kolegów ojca.

Patrzę na niego w fluorescencyjnym świetle i myślę o tym, co powiedziała mi Rose: że Linden jest mrukiem, choć świetnie tańczy. Sprawia wrażenie, jakby miał mdłości. Poczekam na wolną melodię i poproszę go do tańca, postanawiam.

Podchodzimy do bufetu oferującego befsztyki z polędwicy wołowej, zupy i największy wybór wypieków, jaki widziałam gdziekolwiek poza piekarnią na Manhattanie, którą mijalam w drodze do pracy. Musimy wziąć trochę słodkości dla Cecily, mówię. Ma słabość do ciastek z czekoladą.

Kiedy zaczynają grać, wyciągam opornego Lindena na parkiet. Przez chwilę jest zdezorientowany, lecz szybko odnajduje się w tańcu. Nie umiem tańczyć, ale mąż prowadzi tak wspaniale, że i ja wyglądam przy nim dobrze. Wiruję na parkiecie jak zawodowa tancerka, nawet na tych nedorzecznie wysokich obcasach. Dostrzegam wycelowany w nas obiektyw kamery i staram się wyeksponować oczy.

Prowadzimy konwersację z kilkoma osobami. Mężczyźni nie całują mnie w rękę, prawie wszyscy przyszli z żonami. Kobiety także wydają się normalniejsze. Te starsze, z pierwszego pokolenia, rozmawiają z młodszymi. Przyłączam się do dyskusji o rzadkich gatunkach ptaków we wschodniej Kalifornii. Moja wiedza jest co prawda znikoma, lecz przynajmniej nikt mnie nie pyta, kiedy wreszcie pozwolę się zapłodnić.

Linden gawędzi z jakimiś mężczyznami na drugim końcu sali, od czasu do czasu

wymieniamy spojrzenia i machamy do siebie.

- Wyszłaś za męża Lindena Ashby'ego? - pyta młoda dziewczyna.

- Tak. - Przyzwyczaiłam się już do tej myśli.

- Byłam załamana na wieść o śmierci Rose. - Łapie się za serce. - Przyjaźniłyśmy się.

- Ja także się z nią przyjaźniłam. - Patrzę na śmiejącego się Lindena. Naprawdę się śmieje.

- Linden wygląda dobrze. - Dziewczyna się uśmiecha. Przypomina mi trochę Cecily, taką jaką była, nim została mamą. - Cieszę się, że znów zaczyna wychodzić do ludzi. Przestał się z kimkolwiek spotykać od początku choroby Rose. Mój mąż pracuje z jego ojcem, stąd się znamy.

- Bardzo przeżył stratę Rose, ale powoli wychodzi na prostą.

- Musisz mieć magiczny dotyk - komentuje.

Mój mąż porywa mnie ze śmiechem i przedstawia kolegom ojca, ich żonom, a nawet paru osobom, które sam poznał przed chwilą. Nigdy go takim nie widziałam. Jest szczęśliwy. I... wolny.

Wracamy do domu nad ranem. Linden wypił kilka kieliszków wina i jest zmęczony, ale jedzie ze mną na piętro, żeby zajrzeć do Bowena i Cecily. Vaughn chciał urządzić sypialnię dla dziecka na oddzielnym piętrze, lecz ona stanowczo się sprzeciwiła, między Mistrzem a jego najmłodszą synową pojawiło się zauważalne napięcie. Cecily nie pozwoli rozłączyć się z synkiem, a Vaughn uważa, że to grzech marnować tyle wolnej przestrzeni. Drzwi do sypialni Rose na końcu korytarza pozostają zamknięte na cztery spusty i nawet Cecily nie ośmieliła się zaproponować przerobienia pokoju na użytek Bowena. Po prostu wstawiła łóżeczko do siebie.

Podaję Lindenowi pudełko z eklerkami, które przyniosłam dla młodej mamy.

- Jesteś taka troskliwa. - Patrzy mi głęboko w oczy. Cmoka w usta i zostawia na korytarzu.

Idę do siebie. Zmywam makijaż, płuczę włosy w umywalce i przebieram się do snu, ale nie mogę zasnąć. Jestem zbyt pobudzona, moje ciało pragnie tańczyć, a umysł przepełniają muzyka, światła i myśli o bezkresnym oceanie. Gdybym wychowała się w sierocińcu i nie znała nic innego, pewnie mogłabym polubić to nowe życie. Zaczynam rozumieć jego moc przyciągania.

Mam ochotę poprosić Deirdre o wymasowanie obolałych stóp i kąpiel rumiankową (sama nie potrafię odtworzyć skomplikowanej receptury), ale na szczęście w porę przypominam sobie, która jest godzina. Zaglądam do Jenny. Pytam, czy mogę się koło niej położyć. Kiwa

głową bez słowa.

- Pozdrowiłaś ode mnie świat? - pyta, przykrywając mnie kołdrą.

Opowiadam jej o lodowych soplach, hologramowym śniegu i wspaniale zaopatrzoną bufecie.

- Truskawki w czekoladzie - po prostu boskie - mruczę. - Była cała fontanna czekolady. Szkoda, że z nami nie pojechałaś.

- Brzmi nieźle - mówi jakby z wysiłkiem i zaczyna kaszleć. Już wcześniej zwróciłam uwagę na ten kaszel. I na to, że od kilku dni jest bardzo blada. Dotykam jej czoła, ale nie potrafię stwierdzić, czy ma gorączkę. Nie tylko Linden za dużo dziś wypił.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko trochę zmęczona. I mam lekki ból brzucha. Pogoda daje mi się we znaki. - Po kolejnym kasznięciu coś ciepłego łąduje na moim policzku, krew w moich żyłach lodowacieje.

- Jenno?

- Tak?

Chciałabym, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła. Żeby nie musiała dowiadywać się, co dalej. Po prostu pójdę spać, a rano wszystko będzie dobrze.

Włączam światło i patrzę na ślady krwi wokół ust Jenny.

Dziecko nie przestaje płakać. Wykrzywia w grymasie czerwoną buzię. Cecily kołysze małego w ramionach, chodzi po pokoju i mówi mu do uszka miłe rzeczy. Łzy ciekną jej po policzkach, nie ociera ich.

Vaughn bada Jennę. Obmacuje jej twarz okropnymi, szorstkimi rękami, zagląda pod język i do gardła. Widzę, że wcale jej się to nie podoba. Wygląda na bardzo słabą.

Linden bierze Bowena na ręce, chłopczyk milknie, lecz tylko na chwilę. Przykładam pięści do skroni.

- Proszę, zabierzcie go stąd.

Vaughn po raz trzeci zadaje Jennie to samo pytanie: ile ma lat. Po raz kolejny dostaje tę samą odpowiedź. Dziewiętnaście. Tak, jest pewna.

Linden wynosi płaczące niemowlę, ale wciąż je słychać.

- O co chodzi? - wypytuje Cecily. - Co się dzieje?

- To wirus - oznajmia Vaughn z udawanym smutkiem. Oczyma wyobraźni widzę, jak błyskawicznie wysuwa i chowa swój gadzi język. Życie Jenny nic dla niego nie znaczy.

- Nie - dobiega mnie czyjś głos. Po chwili uświadamiam sobie, że należy do mnie. Odpycham Cecily, która usiłuje mnie pocieszyć. - To niemożliwe. Kompletnie bez sensu.

Jenna zamyka oczy. Jest na granicy utraty przytomności. Wie, że umiera? Jak to możliwe, że wirus zaatakował tak nagle i od razu z taką siłą?

- Ale wyleczysz ją, prawda? - Cecily płacze, kołnierzyk bluzki jest mokry od łez. - Pracujesz przecież nad antidotum.

- Niestety, jeszcze nie jest gotowe. Ale może dam radę przedłużyć jej życie do czasu, aż będzie. - Daje Cecily prztyczka w nos, ale tym razem nie jest zachwycona. Cofa się i kręci głową.

- To co ty, do cholery, robisz całymi dniami! - woła głosem drżącym od tłumionego łkania.

Uwierzyła, że Vaughn przesiaduje w piwnicy ciężko pracując, żeby nas uratować. Chciałabym być taka naiwna.

- Kochanie...

- Nie. Zrób coś natychmiast.

Kłóć się, ich przytłumione głosy i szloch Cecily docierają do mnie falami. Nie mogę już tego znieść, niech sobie stąd idą. Vaughn i jego mała pupilka. Kładę się na łóżku obok Jenny, ścieram krew z jej twarzy. Traci przytomność.

- Proszę - szepczę jej do ucha. Nie wiem, o co proszę. Czego od niej oczekuję?

Vaughn wreszcie wychodzi, Cecily dołącza do mnie i Jenny. Znosi się spazmatycznym łkaniem, od którego drży cały materac.

- Przestań - mówię ze złością.

- Przepraszam. - Przytula się do mnie. Od tej pory nie wydaje żadnego dźwięku.

Jenna odpływa w nieświadomość, Cecily i ja zatapiamy się we własnych koszmarach. Cecily kręci się i mamrocze przez sen. Nie potrafię dosięgnąć żadnej z nich. Biegnę bez końca przez las, nie mogąc znaleźć wyjścia. Czasem śni mi się, że tonę. Fale kołyszą mnie w górę i w dół, aż tracę poczucie własnego ciała.

Budzę się zdyszana i wystraszona. Wtulona we mnie Cecily jest cała mokra od potu i łez. Porusza ustami, usiłując coś powiedzieć, marszczy brwi.

Dziecko zanoszą się płaczem na końcu korytarza, koszula młodej matki jest poplamiona mlekiem, Vaughn nie pozwala jej już karmić małego piersią. Zatrudnił mamkę, twierdzi, że tak jest zdrowiej, lecz Cecily cierpi z bólu. Moje siostry więdną jak lilie w ogrodzie mamy, a ja nie wiem, jak tchnąć w nie nowe życie. Nie wiem co robić.

Jenna otwiera oczy.

- Wyglądasz okropnie - odzywa się ochryłym głosem. - Co tak śmierdzi?

- Mleko z piersi.

Cecily wierci się, krztusi własną śliną i narzeka przez sen na okropną muzykę. Nagle przytomnieje i siada na łóżku.

- Co się dzieje? Lepiej się czujesz?

Korytarz nadal rozbrzmiewa wrzaskami Bowena.

- Muszę go nakarmić. - Wychodzi, potykając się o próg.

- Coś z nią nie do końca w porządku - stwierdza Jenna.

- Dopiero zauważyłaś? - Obie parskamy śmiechem.

Jennie udaje się usiąść, namawiam ją, żeby wypła trochę wody. Chyba robi to tylko dla mnie. Ma białą skórę i sine usta. Dziwne: Rose do samego końca często wyglądała zdrowiej niż teraz Jenna. Zastanawiam się, czy cukierki barwiące usta i język na różne kolory były częścią jej kamuflażu. Podobnie jak makijaż. Nienawidziła lekarstw, błagała o spokój, chciała odejść.

- Bardzo cię boli? - pytam.

- Nie czuję rąk ani nóg. - Śmieje się cicho. - Zanosi się, że jednak odejdę stąd przed tobą.

- Nie mów tak. Proszę cię. - Odgarniam jej włosy z czoła.

- Śniło mi się, że byłam z siostrami w tej ciężarówce. A potem otworzyli drzwi i zobaczyłam ciebie i Cecily na ich miejscu. Rhine, ja chyba powoli zapominam ich twarze i głosy.

- Nie pamiętam już brzmienia głosu Rowana - uświadamiam sobie.

- Ale nie zapomnisz, jak wygląda. Bo jesteście bliźniętami.

- Domyśliłaś się.

- Historyjki o bliźniętach są bardzo realistyczne.

- Nie jesteśmy bliźniakami jednojajowymi. To niemożliwe, jeżeli ma się inną płć, wiesz? Zapominam, jak wygląda.

- Zobaczysz go jeszcze - mówi z przekonaniem. - Udało ci się dotrzeć do piwnicy?

Kiwam głową, pociągam nosem i maskuję to kasznięciem.

- Mieliśmy plan, żeby wynieść się stąd w przyszłym miesiącu. Ale jeżeli trzeba, zostaniemy dłużej.

- Nie podpaliłam zasłon dla zabawy. Wynosicie się i już. Będzie cudownie.

- Chodź z nami.

- Rhine...

- Nienawidzisz tego domu. Naprawdę zależy ci na spędzeniu reszty życia w tym łóżku? -
Wiem, że widok oceanu jej nie uleczy, ale chciałabym podarować Jennie choć parę chwil wolności. Obejrzeć z nią zachód słońca. Pochować ją w morzu.

- Rhine, ja nie dożyję przyszłego miesiąca.

- Nie mów tak!

Kładę głowę na jej ramieniu, gładzi mnie po włosach. Walczę ze łzami cisnącymi się do oczu, usta mi drżą z wysiłku. Próbuję być silna dla niej, ale Jenna wyczuwa moją rozpacz.

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

- Chyba oszalałaś.

- Nie. - Odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć. - Jesteś już blisko upragnionego celu.

- A co z tobą? - Podnoszę głos. Zaciskam trzęsące się ręce na kołdrze.

Jej uśmiech jest piękny i beztroski.

- Ja także jestem już prawie u celu.

Linden spędza teraz całe dni z Jenną. Ale inaczej niż ze mną, kiedy byłam ranna czy z

Cecily w połogu. Ich związek pozbawiony jest uczuciowej głębi. Nigdy nie kładzie się przy niej na łóżku, nie dotyka jej. Zastanawiam się, o czym rozmawiają te dwie obce sobie w gruncie rzeczy osoby połączone węzłem małżeńskim. Przypomina mi to odwiedziny w szpitalu u umierającego dalekiego krewnego, wizytę z poczucia obowiązku.

- Wiedziałaś, że Jenna miała siostry? - pyta mnie przy kolacji, którą jemy tylko we dwoje. Cecily nadrabia zaległości w spaniu, a Vaughn pracuje w piwnicy.

- Tak.

- Podobno zginęły w jakimś wypadku.

Jedzenie staje mi w gardle. Jest bez smaku, zmuszam się do przełknięcia. Dlaczego Jenna nie powiedziała mu prawdy? Może uznała, że nie warto. To jej ostatnia forma oporu. Nie chce, żeby Linden ją naprawdę poznał.

- Nigdy jej nie rozumiałem. - Ociera usta serwetką. - Ale wiem, że się przyjaźniłyście.

- Przyjaźniłyśmy? Ona jeszcze nie umarła.

- No tak. Przepraszam.

Reszta posiłku przebiega w milczeniu. Drażni mnie nawet dźwięk sztućców uderzających o jego talerz. Co za niedomyślny człowiek. Po mojej ucieczce Vaughn zapewne przekona go bez trudu, że umarłam, wręczy mu garść popiołu do rozsypania w krzakach. Linden zostanie sam z Cecily, ona będzie tym zachwycona, urodzi jeszcze tuzin dzieci, które zapelnia pustkę w ich życiu. Potem oboje umrą, a Vaughn poszuka następców. Bóg jeden wie, jak długo on jeszcze będzie żył, pierwsze pokolenie jest długowieczne. W naszych sypialniach zamieszkają inne dziewczyny.

Linden i Cecily. Oboje od urodzenia odizolowani od świata, nie mają pojęcia, co ich omija. I tak jest lepiej. Pogrzebią mnie i Jennę w ciemnych zakamarkach serc na resztę swojego krótkiego życia. Odnajdą własne szczęście w mrzonkach i hologramach.

Kim byliby w innym czasie i miejscu?

Służący zabiera talerze, Linden krzywi się, widząc, że niewiele zjadłam.

- Rozchorujesz się.

- Jestem zmęczona. Pójdę się położyć.

Drzwi sypialni Cecily są otwarte, Bowen cichutko gaworzy, nie pali się światło. Pewnie Cecily śpi. Pozostawiony zbyt długo sam sobie w łóżeczku chłopiec zacznie płakać, a kiedy już zacznie, bardzo trudno go uspokoić.

Miałam zamiar pójść spać, ale lepiej wezmę Bowena na rękę, zanim obudzi Jennę i swoją mamę. Okazuje się jednak, że Jenna mnie uprzedziła. Siedzi na krawędzi łóżka, długie

włosy przerzuciła na jedno ramię, pochyla twarz nad trzymanym w ramionach dzieckiem. Cecily śpi.

- Jenno? - odzywam się szeptem.

Uśmiecha się, nie podnosząc głowy.

- Jaki podobny do naszego męża - mówi cicho.

- Ale charakterek to odziedziczył po mamie. Szkoda, że nie poznamy go lepiej.

Jenna wygląda pięknie. W nikłym świetle z korytarza nie widać bladej twarzy ani sinych ust. Koronkowa koszula ładnie układa się na jej ciele, włosy tworzą wspaniałą ciemną kaskadę. Ma w sobie coś macierzyńskiego, emanuje ciepłem, troską i czułością, wodzi smukłymi palcami po buzi Bowena. Opiekowała się siostrami? Dbała o nie tak samo jak o mnie i Cecily?

Ociera łzę z policzka.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Bardzo chcę jej uwierzyć. - Weźmiesz go na chwilę? - Podchodzi do mnie chwiejnym krokiem. Na jej twarzy lśnią kropelki potu, pod oczami rysują się głębokie niebieskie cienie.

Podaje mi Bowena i wychodzi jak duch na korytarz, który przemierzała setki razy z nosem w książce, przechodzi obok miejsca, gdzie flirtowała z oniemiałym z zachwyty służącym.

Przytrzymuje się ściany. Po chwili z jej pokoju dobiegają odgłosy kaszlu.

Bowen spokojnie zasypia w moich ramionach. Zazdroszczę mu spokoju oraz tego, że ma przed sobą jeszcze dwadzieścia pięć lat życia.

Odkładam go do łóżeczka, wracam do siebie, gaszę światło. Zanurzam twarz w poduszce i krzyczę. Cała jestem odrętwiała, jak Jenna nie czuję rąk ani nóg. Cisza dźwięczy mi w uszach. Rowan, rodzice, Rose, dom, Nowy Jork. Wszystko, za czym tęsknię. Wszystko, co kocham. Wszystko, co miałam i straciłam. Chciałabym, żeby mama przyszła pocałować mnie na dobranoc. Żeby tata zagrał dla mnie na fortepianie. Żeby brat czuwał nade mną, kiedy zasnę, i podał kieliszek wódki, gdy ból stanie się nieznośny. Brakuje mi go. Od dawna odsuwam od siebie tęsknotę, ale dziś nie potrafię. Tama się otworzyła. Jestem zmęczona i zagubiona, zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek odzyskam wolność. Czy będę potrafiła otworzyć żeliwną bramę z kwiatowym ornamentem? Ocieram łzy chusteczką od Gabriela, trzymam ją pod poduszką. Wyczuwam zgrubienie haftu, nie mogę przestać płakać, boli mnie gardło. Modlę się o powrót do domu.

Śni mi się, że zostałam wyrzucona do morza. Z rezygnacją pozwalam pochłonąć się falom, nie walczę. Pod wodą jest cicho i spokojnie, po chwili rozlegają się dźwięki granej przez

tatę melodii. Wszystko w porządku.

Rano budzi mnie zapłakana Cecily.

- Jenna jest cała rozpalona. Nie otwiera oczu.

Ma skłonności do przesady, myślę, ale idę za nią rozespana, potykając się, do pokoju Jenny. Jest gorzej, niż opisywała. Trupioblada skóra chorej pokryła się sińcami. Nie, to jak zaognione rany. Jęczy, kiedy dotykam jej czoła. Jenny, szepczę.

Cecily chodzi po pokoju, na przemian zaciska i otwiera pięści.

- Idę po Mistrza Vaughna.

- Nie. - Siadam na łóżku, kładę sobie głowę Jenny na kolanach. - Przynies z łazienki mokry ręcznik.

- Ale...

- On nie może zrobić więcej niż my. - Siłę się na spokój.

Posłusznie idzie do łazienki, słyszę jej szloch przez szum wody, kiedy wraca, jest już spokojna. Rozpina koszulę chorej, żeby pomóc jej się ochłodzić. W oczach Cecily maluje się skrywane przerażenie. Wyglądam podobnie? Gładzę Jennę po włosach, serce mi wali, żołądek się zaciska. To dużo, dużo gorsze niż choroba Rose.

Mijają godziny, może ostatnie godziny Jenny. Nigdy już nie otworzy oczu. Nie spodziewałam się, że koniec nastąpi tak szybko.

Cecily wtula twarz w moją szyję. Nie znam słów, którymi mogłabym ją pocieszyć. Oddychanie pochłania całą moją energię.

- Trzeba zawołać Mistrza Vaughna - powtarza po raz trzeci albo czwarty.

- Ona go nie znosi. - Kręcę głową.

- No - przyznaje Cecily i parska śmiechem.

Dźwięk jest cichy, zduszony, ale natychmiast przyciąga naszą uwagę. Na fioletowych ustach Jenny błąka się uśmiech. Dziewczyna trzepocze rzęsami, otwiera oczy pozbawione charakterystycznego blasku. Zamglone i nieobecne. Ale wciąż tli się w nich iskierka życia. Jenna nadal jest z nami.

- Cześć - szczebiocze Cecily, klęka przy łóżku i ujmuje Jennę za rękę. - Jak się czujesz?

- Fantastycznie. - Oczy uciekają Jenny do tyłu, zamyka je.

- Potrzebujesz czegoś?

- Świetlistego tunelu. - Próbuje uśmiechnąć się ironicznie.

- Błagam cię, nawet tak nie żartuj - prosi Cecily. - Poczytam ci, chcesz? Zrobiłam duże

postępy.

Jenna otwiera oczy i obserwuje, jak Cecily przegląda stosik książek na nocnej szafce. Serce mi się kraje, kiedy słyszę jej chrapliwy śmiech.

- Ta się nie nadaje na lekturę przy łożu śmierci, Cecily.

Potworne. Patrząc na Jennę, a widzę tę straszną rzecz, która ją zabija. Nawet jej głos nie brzmi jak głos dziewczyny, którą znałam.

- Co z tego? I tak przeczytam. Zacznę od miejsca, w którym przerwałam. Będiesz wiedziała, jak się kończy.

- W takim razie przerzuć od razu na ostatnią kartkę. Mam mało czasu. - Dostaje torsji, z jej ust wydobywa się krew zmieszana z wymiocinami. Przewracam ją na bok i masuję plecy. Na twarzy Cecily pojawia się grymas, kapią łzy. Skąd ona bierze tyle łez i siły do płaczu? Ja ledwie znajduję energię, by się poruszać. Utrzymanie się przy życiu wydaje mi się w tej chwili wyczerpujące, chciałabym zagrzebać się w pościeli i zasnąć. Nie do wiary, że wcześniej chodzenie wydawało się czymś naturalnym.

Po śmierci rodziców spałam przez wiele dni. Tygodniami nie wychodziłam z łóżka. Wreszcie mój brat miał tego dość. Wstawaj, powiedział. Oni zginęli, nie my. Żyjemy i mamy dużo do zrobienia.

Jenna dławi się i nabiera ze świstem powietrza. Pod koszulą wyraźnie rysują się żebra. Kiedy tak przeraźliwie schudła? Przestaje kaszleć i wymiotować, sprawia wrażenie, jakby uszło z niej życie. Przewraca się na plecy, zamyka oczy, leży nieruchomo, tylko urywany oddech świadczy, że nie umarła. Nie porusza się nawet, kiedy wyciągamy spod niej pobrudzone prześcieradło.

Przebieramy ją i myjemy wilgotnymi ręcznikami, przesypia cały ranek. Skóra Jenny jest cała pokryta sińcami, przezroczysta z wyraźnie widocznymi żyłami. Dotykam jej z obawą. Niektóre siniaki zaczynają krwawić. Wygląda to niemal, jakbygniła od środka. Włosy wypadają jej garściami, sprzątam je. Cecily czyta głośno powieść o młodych kochankach romansujących w promieniach słońca i szlocha.

Odsyłamy służących z lekami, Jenna jest już za słaba na przełykanie tabletek, zresztą wszystko zwraca. Próbuje chować się za mną lub Cecily, kiedy słyszy odgłos kroków. Wiem, co chce powiedzieć: Rose błagała o to samo. Żeby nie przedłużać jej cierpienia.

Zdaje się jednak tolerować zabiegi Adaira, kiedy ten delikatnie wciera jakąś maść w jej klatkę piersiową. I szybko wychodzi. Rozumie, że jego piękna pani nie chce, żeby ktokolwiek oglądał ją w takim stanie. Chwilę potem Jenna zaczyna oddychać z mniejszym wysiłkiem.

Późnym popołudniem przychodzi zaniepokojony Linden. Zmienia się na twarzy, wyczuwając znajomy odór rozkładu, potu i krwi. Towarzyszył Rose w ostatnich dniach jej życia. Ale nie zbliża się do Jenny. Wiem, że ona zawsze traktowała go chłodno, ten związek opierał się wyłącznie na fizyczności, lecz teraz przychodzi mi na myśl, iż być może Linden przyczynił się bardziej niż sądziłam do tego, jak wyglądała ich relacja. Po stracie Rose bał się nawiązania głębokiej więzi z kimś, kto niedługo umrze. Mam przed sobą dokładnie tyle samo życia, ile on. Cecily więcej. Lecz Jenna...

Linden spogląda żałośnie i przepraszająco na swoje trzy żony przytulone do siebie na gołym materacu. We trzy tworzymy sojusz, którego nie ma odwagi naruszyć.

- Zapomniałam nakarmić Bowena, tak? - przypomina sobie Cecily, widząc synka w ramionach jego taty.

- Nie szkodzi, kochanie. Mamka to zrobiła. Bardziej martwię się o ciebie.

Nie rozumiem, po co w takim razie przyniósł dziecko do pokoju umierającej. Może poczuł się samotny i liczył, że widok synka wywabi Cecily. Nic z tego. Ona wtula twarz w ramię Jenny i zamyka oczy. Też zamykam oczy. Znow jesteśmy w ciężarówce Kolekcjonerów, przytulamy się do siebie w ciemności, szukając oparcia.

- Służba skarży się, że ich nie wpuszczacie. Pozwólcie mi przynajmniej przysłać kogoś ze zmianą pościeli.

- Nie - mruczy Cecily. - Nikogo nie przysyłaj. Niech ją zostawią w spokoju.

- Co mogę zrobić?

- Nic - odpowiadam.

- Nic - wtóruje Cecily.

Nie odzywa się, ale czuję jego obecność. I strach. Przeraza go, że jesteśmy ze sobą tak blisko. Tak jakby jedna umierająca żona mogła zabrać ze sobą dwie pozostałe.

Po chwili wychodzi, nie powiedziawszy ani słowa.

Jenna mówi coś niewyraźnie. To chyba czyjeś imię. Myślę, że którejś z sióstr.

- Nie jesteście tu bezpieczne. - Nie wiem, czy ostrzega nas czy siostry.

Jenna miała rację, odchodzi wcześniej niż ja. Tracimy ją pierwszego stycznia przed wschodem słońca. Jesteśmy przy niej tylko we dwie, spędzamy całe dnie w jej łóżku, choć nie możemy nic zrobić. Ale mówimy do niej, by wiedziała, że nie jest sama. Po miesiącach dzielenia życia z jednym mężczyzną, mieszkania pod tym samym dachem powinnam mieć jej do powiedzenia coś ważnego, a potrafiłam jedynie opisywać pogodę za oknem, przyglądając się, jak umiera.

Nie ma jej już. Wciąż otwarte oczy przybrały ciemniejszy odcień szarości. Pusta skorupa. Jak maszyna odłączona od źródła zasilania. Zamykam jej powieki i całuję czoło. Jest jeszcze ciepłe. Jenna wygląda, jakby za chwilę miała odetchnąć.

Cecily chodzi po pokoju. Łapie się za głowę, przyciska dłoń do piersi.

- Nie rozumiem. To stało się tak szybko.

Wspominam jej zadowolenie po śmierci Rose i natychmiastową gotowość do spółdzenia dziecka z Lindenem. Już rozmawiają o następnym.

- Mistrz Vaughn powinien być w stanie przedłużyć...

- Nie wypowiadaj jego imienia - prychem ze złością, chociaż nie wiem, czemu się na nią denerwuję. Drażni mnie sama jej obecność, odkąd Jenna zachorowała. Nie znam powodu i nie mam czasu się nad tym zastanawiać.

Zakładam długie włosy Jenny za uszy i usiłuję pojąć, co się stało. Jeszcze przed chwilą była człowiekiem, a teraz przypomina figurę woskową. Cecily kładzie się obok niej, wtula twarz w jej szyję i raz po raz powtarza: Jenna, Jenna, Jenna. Tak jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Pojawia się Vaughn, przyszedł zbadać puls chorej. Nawet nie musi podchodzić do łóżka. Domyśla się od razu, widząc łzy Cecily i moje nieobecne spojrzenie. To przykre, mówi. Ale wiedział, że to już nie potrwa długo.

Służący wprowadzają szpitalny wózek na kółkach, przyszli zabrać ciało Jenny, Cecily wciąż leży przytulona do niego, lecz zbyt rozkojarzona, żeby zaprotestować, gdy ręka zmarłej wysuwa się z jej ręki.

- Bądź dzielna - szepcze.

Wkrótce z salonu dobiegają gniewne dźwięki klawiszy. Cecily gra Bacha w tonacji d-moll. Nuty brzmią jak odgłos kroków śmierci pędzącej przez korytarz.

Słucham, leżąc na podłodze w swojej sypialni, nie chce mi się nawet wejść do łóżka. Wyobrażam sobie drobną, małą Cecily, jak wyczarowuje tę doskonałą melodię. Wokół niej czerwone i czarne nuty wirują w powietrzu niczym dżin wypuszczony z lampy.

Czekam na koniec utworu i pojawienie się zapłakanej Cecily, która - jak zawsze, gdy jest zdenerwowana - zapyta, czy może przy mnie chwilę poleżeć.

Nie przychodzi. Zamiast niej dociera kolejna melodia. Bojowa, dodająca animuszu. Bądź dzielna, zdaje się mówić.

Pragnę natychmiast wydostać się z tego domu. Nie jestem w stanie w nim przebywać, wiedząc, że Vaughn bezczęści zwłoki Jenny, podczas gdy nam serwuje się na gorze kolację i herbatę. Cecily nosi wszędzie ze sobą Bowena, jakby był szmacianą lalką. Oboje mają twarze zaczerwienione od ciągłego płaczu. To najbardziej niezadowolone dziecko na świecie. Musi mieć niezłą intuicję.

Po paru godzinach Vaughn wręcza nam urnę z prochami. Cecily przyciska ją mocno do piersi i pyta, czy może trzymać w swoim pokoju. Zgadzam się, w skrytości ducha gardząc jej ignorancją.

Wieczorem ktoś puka do drzwi. Nie odpowiadam. Nie chcę nikogo widzieć, jestem rozkojarzona. Leżę, wpatrując się w ciemność, wsłuchana w odległy szloch dziewczyny, która zamieszkuje moje ciało. Nie ma mnie.

Kiedy dochodzę do siebie, dźwięki, które wciąż wydobywają się z mojego gardła, są przerażająco nieludzkie.

Ktoś otwiera drzwi, cofam się przed światłem wpadającym z korytarza, tak jak wtedy w ciężarówce. Dopiero teraz czuję ciężar swojego ciała i ból gardła zdartego od krzyku. Widzę wszystko przez grubą, moką zasłonę łez.

- Rhine? - Linden. Jego głos wydaje się ledwie znajomy. Nie chcę go widzieć, otwieram usta, żeby mu to powiedzieć, ale wydobywa się z nich jakiś nieartykułowany odgłos. Siada na brzegu materaca i gładzi mnie po plecach. Chcę strącić jego dłoń, ale nie mam siły.

- Słońce, martwię się o ciebie. Nigdy nie widziałem cię w takim stanie.

Racja. Jestem Rhine, przybyłam z placówki hodującej doskonale żony i cieszę się, że tu trafiłam. Może mu się wydaje, iż powinnam być wręcz zadowolona ze śmierci jednej z żon, teraz będzie miał przecież więcej czasu dla mnie. Ale jestem bardziej związana z innymi żonami niż z mężem. Nie wyobrażam sobie bycia tą jedyną.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Klęka przede mną, odgarnia mi włosy z twarzy.

Wpatruję się w niego przez łyżę. Uwolnij mnie, myślę. Oddaj mi miniony rok. Zwróć Jennie jej siostry.

Kręcę głową i zakrywam oczy dłońmi zaciśniętymi w pięści. Odsuwa moje ręce od twarzy, a ja nie protestuję.

- Dziś Nowy Rok - zaczyna łagodnie. - Jutro przyjęcie. Masz na nie ochotę?

- Nie - szlocham.

- Właśnie, że tak. Deirdre już pracuje nad kreacją, nawet Adair jej pomaga.

Adair. Co z nim będzie po śmierci Jenny? Pracował tylko dla niej. Nie miał zresztą zbyt wiele do zrobienia - Jenna była niebywale samowystarczalna i nie potrzebowała wyjściowych strojów. Pewnie pomagając Deirdre, czuje się potrzebny. Nie mogę wzgardzić jego wysiłkami. Przełykam boleśnie i kiwam głową na znak zgody.

- No proszę. Od razu lepiej. - Wiem, że rozumie moje cierpienie. Być może czuł się podobnie po stracie Rose. Kiedy umarła, rzucał przedmiotami i wrzeszczał, żeby zostawiono go w spokoju. Czyżby nie docierało do niego, że ja także wolałabym być teraz sama? Jak widać nie.

- Posuń się - mówi cicho i wsuwa się pod kołdrę. Może sam potrzebuje bliskości, a może chce mnie pocieszyć. Opieram głowę na jego piersi i wybucham płaczem. Chciałabym opuścić na chwilę swoje ciało, odpocząć od tego okrutnego świata, lecz wątle ramiona Lindena zatrzymują mnie na miejscu. Zapadam w krótkie niespokojne drzemki, cały czas czując go obok siebie. Ścisza mnie mocno, nawet nie wiedziałam, że ma tyle siły.

Nazajutrz po południu Deirdre i Adair prezentują swoje wspaniałe dzieło, zachwycającą kreację balową. Na Manhattanie nie ma powodów do świętowania nadejścia Nowego Roku. Robią to przeważnie starsze osoby z pierwszego pokolenia, które nie muszą obawiać się rychłej śmierci ani głodu. Sieroty korzystają z okazji, aby pod nieobecność bawiących się na balach gospodarzy plądrować zamożne domy. Rowan i ja zawsze wzmagaliśmy ostrożność w pierwszych dniach roku, nie spuszczałyśmy z oka naładowanej broni, dodatkowo zabezpieczaliśmy drzwi i okna. Ten okres w roku to wyjątkowa gratka dla Kolekcjonerów: wszędzie mnóstwo pięknych, młodych, pijanych dziewcząt. Rowan nie wypuszczał mnie nawet samej do pracy, za duże ryzyko, twierdził.

Rowan. Jak on sobie radzi sam w pustym domu? Tylko szczury dotrzymują mu towarzystwa.

Służące szorują i woskują moje ciało do połysku, Deirdre zajmuje się makijażem, a Adair włosami. Znowu loki.

- Do twarzy ci z kręconymi włosami. Podkreślają oczy - mówi z rozmarzeniem Adair. Deirdre nakłada mi na usta karminową pomadkę i każe zacisnąć wargi na chusteczce.

Przychodzi Cecily, przygląda się przygotowaniom. Vaughn zabrał dokądś Bowena, żeby mu pobrać krew do analizy. Dokładnie nie wiadomo, co robi nieszczęsnemu dziecku, w każdym razie ma to jakiś związek z opracowaniem formuły antidotum. Bez synka Cecily wydaje się zagubiona. Obserwowałam, jak z frywolnego podlotka zamienia się w kapryśną ciężarną nastolatkę, nie wyobrażając sobie jej w roli matki, tymczasem dziś mała Cecily nie potrafi się już odnaleźć poza tą rolą.

- Pomaluj ją - proszę Adaira, który zajął się niepotrzebnymi poprawkami idealnej kreacji. - Myślisz, że fiolety by do niej pasowały? - zagaduję, byle cokolwiek powiedzieć. Choć trochę rozweselić Cecily.

- Odcienie ziemi - woła Deirdre, wpinając sztuczne kwiatki gipsówki w moje włosy. - Z tymi włosami i oczami? Tylko brązy i zielenie. - Puszczą do mnie oczko w lusterku.

Przesuwam się, żeby zrobić miejsce dla Cecily na otomanie. Siedzimy plecami do siebie i pozwalamy zrobić się na bóstwa. Cecily grozi Adairowi, że go zabije, jeśli wsadzi jej w oko szczoteczkę do malowania rzęs, ale odpręża się, widząc, iż chłopiec wie, co robi. Jest całkiem miło. Jakby naprawdę łączyła nas siostrzana więź i zapowiedź długiego życia.

- Czego spodziewasz się po tym przyjęciu? - Cecily odciska na chusteczce nadmiar szminki.

- Niczego nadzwyczajnego - ucinam, nie chcąc jej sprawiać przykrości. Może po moim odejściu ona będzie chodzić z Lindenem na bale i bankiety. Coś mi mówi, że byłaby zachwycona czekoladowymi fontannami i zainteresowaniem mężczyzn. - Bandy wystrojonych podpitych bogaczy rozmawiających o interesach.

- Przyniesiesz mi eklerki?

- Jasne, jeżeli tylko będą.

Bierze mnie za rękę. Ma dłoń ciepłą i drobną jak u dziecka. Tak się spieszyła dorosnąć w świecie, w którym skurczył się czas. Zastanawiam się, kim byłaby, gdyby miała przed sobą dłuższe życie. Zostanie pierwszą żoną? Dojrzeje? Czuję, że ją w jakiś sposób zawiodłam. Straciła Jenę, a teraz ja odchodzę. Zostanie sama i martwię się, czy sobie z tym poradzi.

Lecz prędzej czy później to się i tak stanie. Jeżeli nie teraz, to za cztery lata. Będzie patrzeć, jak umieram.

Ściskam jej rękę.

- Trzymasz się jakoś?

- Tak - słyszę uśmiech w jej głosie. - Dzięki.

Krótką, odkrywającą ramiona suknią jest uszyta z błyszczącego szmaragdowego materiału. Czarne koraliki pereł tworzą kwiatowo-fajerwerkowy motyw po jednej stronie. Strój dopełniają: naszyjnik-obroża z czarnych pereł, czarne legginsy i długie rękawiczki. Na koniec Deirdre zawiązuje mi na włosach czarną wstążkę i podaje cienki płaszcz ociekający brokatem, który przypomina mi ślubną kreację Cecily. Była taka szczęśliwa i podekscytowana w dniu ślubu.

Dziś podziwiałam moją kreację dziewczynka z kręconymi włosami, wygląda dorosłe, ma perfekcyjny makijaż w kolorach ziemi. Śliczna nawet w pogniecionej koszuli nocnej.

- Prezentujesz się świetnie - chwali. - Wszyscy oniemięją z zachwytu.

Wcale nie mam ochoty iść na przyjęcie. Wolałabym wejść pod kołdrę i się wypłakać. Ale jestem pierwszą żoną i mam obowiązki. Uśmiecham się zatem.

Przeróżające, z jaką łatwością potrafię udawać szczęśliwą i zakochaną kobietę.

Linden przychodzi ubrany w prosty czarny frak - zauważyłam, że to standardowy strój wyjściowy Zarządców - ze szmaragdowymi wykończeniami. Zerkam na nasze odbicie w lustrzanych drzwiach windy - idealna para.

- Bawcie się dobrze! - woła za nami Cecily.

- Nie wydaje ci się, że ostatnio zachowuje się dziwnie? - pyta Linden, kiedy drzwi windy się zasuwały.

Zauważyłam zmianę w jej zachowaniu, ale nie wiem, czy chcę z nim o tym rozmawiać. Jeszcze przed śmiercią Jenny Cecily stała się dziwnie przygnębiona. Myślę, że to przez Vaughna, wciąż zabiera jej Bowena i tak naprawdę nie wiemy, co z nim robi. A przecież nie od dziś wiadomo o powszechnym wykorzystywaniu noworodków do eksperymentów. Vaughn jest jednak niezwykle tajemniczy i nie pozostawia żadnych śladów na ciele dziecka. Chętnie powiedziałabym Lindenowi, co sądzę o tym, że zapłodnił trzynastolatkę, ale wolę nie wywoływać wilka z lasu, boję się, że przypomni sobie o mnie. W wieku siedemnastu lat byłabym już właściwie starą pierworódką.

- Jest zmęczona. Powinieneś więcej jej pomagać przy dziecku.

- O niczym innym nie marzę. Chwilami zapominam, jak wygląda mój syn, tak trudno go wyrwać z objęć mamy i dziadka.

- Lindenie - zaczynam ostrożnie. - Co twój ojciec z nim robi tyle czasu?

- Chyba bada, czy jest zdrowy. - Wzrusza ramionami.

- I to ci się wydaje normalne?

- A co dziś jest normalne? Pierwsze pokolenie dopiero po dwudziestu latach uświadomiło sobie istnienie wirusa. Kto wie, co czeka nasze dzieci?

Muszę przyznać mu rację. Patrzę na swoje połyskujące brokatem obcasy. Oto ja - w ślicznej sukience, a wokół mnie wali się świat. Rozbrzmiewają mi w głowie słowa Jenny: Nie zapominaj, jak tu trafiłaś.

Linden chwyta mnie za rękę. Czasem myślę, że jest tak samo przerażony jak ja. Uśmiecham się leciutko, trąca mnie ramieniem, uśmiecham się szerzej.

- Tak lepiej - mówi.

Wsiadamy do limuzyny, nalewa nam szampana. Nie wypijam całego kieliszka i jemu także nie pozwalam.

- Na przyjęciu będziemy mieć pod dostatkiem alkoholu - przypominam.

- Mówisz jak prawdziwa pierwsza żona. - Śmieje się i cmoka mnie w skroń. Czerwienię się wbrew sobie. Po raz pierwszy wypowiedział na głos te dwa magiczne słowa. Pierwsza żona. Jeszcze tylko przez kilka dni, lecz ze względu na Lindena będę udawać, że do końca życia.

- Myślisz, że będą kamery?

- Mnóstwo. - Wydaje się zmartwiony. - Powinnaś włożyć te zielone soczewki. Nie chcę, żeby cały świat dowiedział się, jaka jesteś Wyjątkowa.

- Moje oczy czynią mnie wyjątkową? - poprawiam mu krawat.

- Nie - odgarnia mi włosy z czoła. - To ledwie kropla w morzu.

Uśmiecham się. Przez chwilę mam wrażenie, że to małżeństwo jest prawdziwe, jak małżeństwo moich rodziców. Ktoś z boku pomyślałby, iż jesteśmy razem od dawna i planujemy przeżyć wspólnie resztę życia. Jestem doskonałą oszustką, wiedziałam to od dawna, nie zdawałam sobie jednak sprawy z umiejętności oszukiwania samej siebie.

Wkraczamy na przyjęcie trzymając się za ręce, głośno gra muzyka, nikt nie zwraca na nas uwagi. Jesteśmy w eleganckim wielopoziomowym barze ze spiralnymi schodami. Dwa najwyższe poziomy mają podłogi z weneckich luster, widzimy ludzi na dole, ale oni nie widzą nas. Oddycham z ulgą, że nikt nie może zajrzeć mi pod sukienkę. Pewnie niejeden z tych mężczyzn skwapliwie skorzystałby z okazji.

Podchodzi do nas jakiś kolega Vaughna w towarzystwie dwóch chichoczących brunetek. Wydają się niewiele starsze od Cecyli. Obie mają na sobie suknie w kolorze fuksji przypominające ceratę owiniętą wokół ich kanciastych figur. Mężczyzna przedstawia je jako swoje żony - bliźniaczki, obie w ciąży - i całuje mnie w rękę, kobiety rzucają mi wrogie spojrzenia.

- Zazdroścą ci urody - szepcze Linden po ich odejściu. - Wyglądasz zjawiskowo. Trzymaj się blisko mnie, żeby nikt cię nie porwał.

Bardzo śmieszne, myślę.

Ale trzymam się blisko niego, żaden z obecnych mężczyzn nie wzbudza mojego zaufania, a większość kobiet w moim wieku już zdążyła się upić. To poprawiny po Nowym Roku, wyjaśnia Linden, przed północą zacznie się odliczanie.

- Po co?

- Bo ja wiem? Tak niewiele razy będzie nam dane celebrować nadejście Nowego Roku. Co nam szkodzi robić to podwójnie?

- Słuszna uwaga.

Wchodzimy na parkiet. Lepiej sobie radzę z tańcem do wolnych melodii, przy których nie trzeba się dużo ruszać, lecz jedno spojrzenie na migające światła wystarczy, by się zorientować, że dziś będą królować skoczne rytmy. Próbuję nadążyć za Lindenem, ale nie mogę przestać myśleć o Jennie. I o tamtym popołudniu, tuż przed huraganem, kiedy uczyła mnie i Cecily tanecznych kroków. Dobrze by się dziś bawiła, mimo niechęci do Lindena. Łamałaby męskie serca i rozgniałała je obcasem, wirując po parkiecie. Chciałabym opowiedzieć jej o wszystkim po powrocie do domu. Na moment zapominam, że już jej tam nie zastanę.

Linden jest w doskonałym humorze. Całuje mnie przelotnie w usta, przytula w tańcu.

- Odbijany. - Zaczepia nas rudowłosy, niski, puciołowaty chłopak o bardzo jasnej karnacji. Przy nim stoi wysoka blondynka w czerwonej sukience dobranej kolorem do pomadki. Wygląda na trzeźwą i taksuje Lindena spojrzeniem.

Mąż zerka na mnie niepewnie.

- No, szkoda czasu, no! Jeden taniec. Zamiana żon.

- Zgoda. - Linden podaje rękę blondynce i przekazuje mnie rudzielcowi. - Ale się nie przyzwyczajaj. Nie oddam ci Rhine.

Robi mi się niedobrze. Mężczyzna pachnie mięsem i alkoholem, depta mi po nogach, zostawiając na butach brudne ślady. Jest niższy ode mnie, zerkam ponad jego głowę na Lindena i blondynkę. Sprawia wrażenie zachwyconej. Pewnie wołałaby takiego męża jak Linden. Ale on jest mój!

Zatrzymuję się gwałtownie w pół kroku, piegowaty pulpet wpada twarzą w mój biust i parska śmiechem.

- Ależ z ciebie niezdara, kiciu. - Nie zwracam na niego uwagi. Jak to mój? Przecież Linden wcale nie jest mój, udawałam tylko. Przyjęcia, karta do windy, status pierwszej żony - to

wszystko bez znaczenia. Za kilka dni ucieknę z Gabrielem, a to życie stanie się ledwie odległym wspomnieniem. Co też mi przyszło do głowy?

Odwracam wzrok od Lindena i blondynki. Kiedy muzyka wreszcie na moment cichnie, schodzę z parkietu. Zapakuję trochę słodyczy dla Cecily, dopóki jeszcze jest wybór. Służący proponuje, że przechowa je dla mnie w lodówce do końca przyjęcia.

Staję z boku, obserwuję tańczących i chaotyczne kolorowe światła. W powietrzu wirują różnobarwne gwiazdki. Unoszę się na szklanym talerzu. Pod moimi stopami, na dole, także bawią się ludzie, migają światła, dudni muzyka. Większość kobiet wygląda jakby się owinęły w folię spożywczą, przez co podwójnie doceniam talent projektantki Deirdre. Mnóstwo srebra, połyskliwego różu, zieleni i błękitu, buty na niebotycznych platformach, ogromne, ciężkie naszyjniki. Makijaże tak mocne, że we fluorescencyjnym świetle sprawiają wrażenie radioaktywnych. Błyszczące zęby.

Kilka kobiet wciąga mnie do roztańczonego kręgu. Chętnie ulegam, dobra okazja, żeby pokazać się kamerom. Lepsze to niż taniec z podchmielonymi mężczyznami. Zaczynam się całkiem dobrze bawić. Wiele kobiet też kiepsko tańczy. Pobrząkujemy biżuterią i wyginamy się niczym w konwulsjach, trzymamy za ręce, nasz śmiech pochłania muzyka. Po raz pierwszy nie mam powodu bać się Nowego Roku - nie ma tu Kolekcjonerów ani włamywaczy. Mogę swobodnie delektować się jedzeniem, pięknym strojem, muzyką i własnym niezdarnym tańcem. Kelnerzy kursują z tacami pełnymi połyskliwych kolorowych kieliszków. Sięgam po drinka, nie przestając się poruszać w takt skocznej piosenki i wypijam jednym haustem. Alkohol przyjemnie rozgrzewa. Dobrze mi zrobiło dzisiejsze wyjście z domu.

W powtarzalności tych imprez znajduję coś kojącego. Mają jedno przesłanie: Ciesz się życiem, dopóki trwa.

Nagle światła przestają tańczyć i cichnie muzyka, ktoś odzywa się przez głośniki - za minutę dwunasta. Kobiety rzucają się na poszukiwanie swoich mężów, zostaję sama, lecz tylko na kilka sekund. Linden przytula się do mnie od tyłu, bierze za rękę.

- Tu jesteś. Szukałem cię.

- A gdzie twoja dziewczyna? - Nie zdołałam się powstrzymać.

- Co? O czym ty mówisz?

- Nic. - Odwraca mnie, żeby na niego spojrzeć. - Zapomniałam, że masz słabość do blondynek.

- Ach, ona. Współpracuję z ojcem jej męża. Nie chciałem go drażnić.

- Nieważne. - Obserwuję ogromny ekran odmierzający sekundy do północy.

Dwadzieścia... Dziewiętnaście...

- Nie gniewaj się. - Linden ściska mnie za ręce, spocone w czarnych rękawiczkach. -
Mnie też nie podobało się, że z nim tańczyłaś. Od razu chciałem cię przeprosić, ale zniknęłaś mi
z oczu.

Dziesięć... Dziewięć...

Unosi mój podbródek, zmuszając, żebym na niego popatrzyła. Tylko on może mnie tak
dotykać. Znam go, jest moją namiastką domu w tym obcym miejscu.

- Jesteś jedyną blondynką, do której mam słabość - przekonuje. Nie mogę powstrzymać
śmiechu, powiedział to z patosem. On także się śmieje, ujmuje moją twarz w dłonie. - Kocham
cię.

Trzy... Dwa... Jeden.

Całujemy się pośród sztucznych fajerwerków i gwiazd. Świętujemy razem udawany
Nowy Rok. Słowa, które wypowiadam, wydają się zupełnie na miejscu wśród tej całej ułudy.

- Ja ciebie też kocham.

Wracamy do domu jak zwykle nad ranem, przez okno sypialni wpada szarawe światło przedświt. Cecily zasnęła przy otwartych drzwiach, słyszę jej oddech i szelest satynowej pościeli, kiedy się porusza. W sypialni Jenny panuje okropna cisza, która nie pozwala mi zasnąć. Przewracam się z boku na bok, po czym wstaję i idę do pokoju zmarłej.

Drzwi skrzypią przy otwieraniu, łóżko jest pościelone, na stoliku leży zaczęta powieść. To jedyna niedokończona rzecz, jaką po sobie zostawiła. Papierek po cukierku znaczy ostatnią stronę, którą przeczytała w swoim życiu.

Jej zapach już wywietrzał. Delikatna mieszanka perfum i kremów przyprawiająca chłopców o zawrót głowy. W ostatnich dniach przytłumiona intensywnym zapachem maści Adaira, ale ten zapach też się ulotnił. Ślady jej kroków na dywanie zabrał odkurzacz, podobnie jak wgłębienia kółek szpitalnego wózka, na którym ją wywieźli.

Czekam. Żeby mnie nawiedziła jako zjawą, odezwała się. Czuję obecność Rose w gaju pomarańczowym przez wiele miesięcy po jej odejściu. Nawet jeżeli to była tylko moja wyobraźnia. Lecz ducha Jenny nie ma w sypialni. Może jest w jakimś innym miejscu na ziemi. W jej lustrze nie pojawia się żaden cień.

Odsuwam kołdrę i kładę się na łóżku. Pościel pachnie nowością i pewnie jest nowa, po raz pierwszy widzę fioletowy kwiatowy wzorek. Kołdra z całą pewnością nie należała do Jenny, jej miała w rogu płamę po soku wiśniowym. Jenna odeszła, nie zostawiając po sobie prawie nic poza jedną niedoczytaną książką. Nigdy się nie dowiem, co z nią zrobił Vaughn w swojej piwnicy. Nie ucieknie ze mną i nie zobaczy oceanu. Nie zatańczy, nie odetchnie świeżym powietrzem.

Przyciskam twarz do materaca w miejscu, gdzie umarła, wyobrażam sobie, że gładzi mnie po włosach. Z wysiłkiem przypominam sobie brzmienie jej głosu.

Wynosicie się i już. Będzie cudownie.

- Dobrze - odpowiadam jej.

Zapadam w głęboki, pozbawiony marzeń, sen.

Po raz ostatni nic mi się nie śni. Ciągle myślę o Gabrielu zamkniętym w strasznej piwnicy. Jego skóra z pewnością poszarzała z braku świeżego powietrza, z ust z każdym oddechem wydobywa się para. Zamykam wieczorem oczy, myśląc, że on także zasypia, a

gdzieś niedaleko jego łóżka stoi lodówka ze zwłokami Rose i Jenny.

Boję się o niego. Jeżeli Vaughn odkryje nasz plan, zabije Gabriela. Powiedział, że zaczął pracować nad antidotum tuż po narodzinach Lindena. Jeżeli zależy mu na kimkolwiek, tą osobą jest Linden. A po jego śmierci - Bowen.

Którejś nocy śni mi się okropny koszmar. Bowen, wysoki i smukły jak jego ojciec, całuje opierającą się pannę młodą w sypialni, gdzie kiedyś mieszkała jego matka. Mówi, że ją kocha, a ona ukrywa za plecami nóż. Jest piękna i mściwa, czeka na dogodny moment, żeby go zabić. Nie ma nikogo, kto mógłby go ostrzec. Nie ma matki. Zna tylko Vaughna, starego szalonego człowieka, który godzinami tkwi w piwnicy, gorączkowo rozczłonkując ciało Lindena, z obłąkańczą nadzieją na odkrycie czegoś ważnego. A ja? Od dawna nie żyję, jak pozostali jestem doskonale zakonserwowanymi zwłokami. Leżymy obok siebie, we czworo, nasze palce niemal się stykają, w otwartych oczach zastygło przerażenie, na rzęsach błyszczą zamrożone krople.

Krzyczę, kiedy ktoś mnie dotyka. Serce mi wali, usiłuję wydostać się z piwnicy Vaughna.

- Hej - odzywa się ktoś szeptem. - Ciii... no już, już dobrze. Miałaś zły sen. - Przekręcam się na bok, w moim łóżku leży Linden, ledwie widoczny w słabym świetle księżycy. Odgarnia mi włosy z twarzy. - No chodź. - Pozwalam mu się przytulić. Chwytam drżącymi palcami poły jego koszuli. Jego ciepłe ciało roztopia wspomnienie lodowatej skóry ze snu.

Bowen dostaje czkawki, a potem wybucha płaczem. Podnoszę się, żeby do niego pójść, ale Linden mnie powstrzymuje.

- Muszę iść. To ja go obudziłam.

- Drżysz. - Dotyka mojego czoła wierzchem dłoni. - I chyba masz gorączkę. Jesteś chora?

- Nie jestem.

- Leż. Ja pójdę.

Chcę zobaczyć Bowena, upewnić się, że jest małym dzieckiem, a nie wysokim chłopakiem z mojego snu. Jeszcze nie. Linden idzie za mną do pokoju Cecily, która podnosi się zaspiana z łóżka.

- Śpij - mówię szeptem. - Ja się nim zajmę.

- Nie. - Odpycha mnie od łóżeczka. - Ja jestem jego matką, nie ty. - Bowen kwili i czka w jej ramionach. Cecily kołysze go, nuci uspokajającą melodię, siada na bujanym fotelu i

rozpina koszulę. Bowen odwraca się z krzykiem od jej piersi.

Linden staje za mną, kładzie mi dłonie na ramionach.

- Cecily, kochanie, może powinniśmy wezwać mamkę.

Zwraca na niego oczy pełne łez.

- Ani mi się waż - syczy ze złością. - Jestem jego mamą. To mnie potrzebuje. - Jej głos zaczyna się załamywać. Przenosi swoją uwagę z powrotem na synka: - Bowen, błagam cię...

- Ojciec twierdzi, że to normalne zachowanie kilkutygodniowego niemowlęcia. Zanim przyzwyczai się do piersi.

- Ale on już jadł normalnie. Coś jest nie tak. - Cecily zapina koszulę i wstaje, tuląc Bowena. Chodzi z nim w tę i z powrotem, to go uspokaja, szybko zasypia.

- Po prostu nie był głodny - zauważam.

Cecily nie odpowiada, kładzie Bowena do łóżeczka i całuje go w czoło. Czy ona także miewa złe sny o swoim synu? Myśli o tym, że będzie zaledwie małym epizodem w jego życiu, stanie się odległym wspomnieniem rudych włosów i pięknej muzyki? O ile w ogóle zostanie w jego pamięci.

- W laboratorium moich rodziców był żłobek - opowiadam, łamiąc własną zasadę, aby ukrywać przed Lindenem informacje o mojej przeszłości. - Personel nie miał czasu zajmować się każdym dzieckiem z osobna, więc nastawiano kołysanki, żeby je uspokoić. Ale te, które przytulano, wydawały się bystrzejsze. Częściej się śmiały i szybciej uczyły się nowych rzeczy.

Kiedy mówiłam, Cecily wpatrywała się w Bowena, teraz podnosi wzrok na mnie.

- Co to znaczy?

- Że dzieci potrzebują dotyku. Wyczuwają, gdy ktoś o nie dba.

- Ja nie pamiętam nikogo - szepcze. - Wychowałam się w sierocińcu, nie pamiętam, by kiedykolwiek ktoś o mnie dbał. Chciałabym po prostu, żeby Bowen wiedział, że jestem jego mamą. Że jestem przy nim i troszczę się o niego.

- Na pewno wie. - Obejmuję ją.

- Nie musi słuchać kołysanek z głośników. - Ociera łzy. - Ma matkę. Ma mnie.

- Właśnie.

Zakrywa usta, żeby zdusić szloch. Cecily zawsze była uczuciowa, lecz po narodzinach Bowena i śmierci Jenny stała się jeszcze wrażliwsza. Każdego dnia jest jej coraz mniej. Miałam nadzieję, że Linden zdoła pocieszyć Cecily po moim odejściu, ale nawet on nie potrafi do niej dotrzeć. Jej smutek chyba go przerasta. Cecily mocno chwyta mnie za rękę, nasz mąż stoi w drzwiach jak cień.

- Prześpij się jeszcze. - Prowadzę ją do łóżka i okrywam kołdrą. Od razu zamyka oczy.
Jest ciągle zmęczona.

- Przepraszam, Rhine.

- Za co?

Nie odpowiada. Zasnęła.

Kiedy się odwracam, Lindena nie ma już w pokoju. Wymknął się niepostrzeżenie, zapewne nie chcąc ryzykować rozdrażnienia Cecily. Bardzo łatwo ją zdenerwować, zwłaszcza ostatnio. Wydaje mi się, że temperament Cecily i głębia przeżywania żałoby po Jennie przerażają Lindena. Może za bardzo przypominają o stracie Rose.

Stoję w drzwiach zaszuchana w oddech Cecily i Bowena, patrzę na zarysy ich sylwetek w słabym świetle księżyca. Nagle uderza mnie okropna świadomość nietrwałości życia. Niedługo Cecily będzie się musiała pożegnać ze mną, za niecałe cztery lata zostanie wdową. Pewnego dnia całe piętro opustoszeje, nawet duchy nie dotrzymają towarzystwa Bowenowi.

A potem on także odejdzie.

Niezależnie, jak bardzo jest kochany przez matkę. Nie da się nikogo zatrzymać na tym świecie samą miłością.

W ostatnim miesiącu przed ucieczką często zaglądam do zaśnieżonego ogrodu. Spaceruję po gaju pomarańczowym. Gram sama ze sobą w golfa. I czas jakoś mija.

Rano, w dzień planowanej ucieczki, leżę na trampolinie, wsłuchując się w jej skrzypienie. To było ulubione miejsce Jenny, jej własna wyspa.

Tam znajduje mnie Cecily, na jej rudych włosach osiadają płatki śniegu.

- Hej.

- Hej.

- Mogę się obok ciebie położyć? - Przywołuję ją gestem.

- Gdzie twój mały nieodłączny towarzysz? - pytam.

- Z Mistrzem Vaughnem - odpowiada ponuro. Kładzie się i ujmuje mnie obiema rękami pod ramię. - Co teraz?

- Nie wiem.

- Naprawdę nie wierzyłam, że ona umrze - wybucha nagle. - Myślałam: ma jeszcze cały rok, do tego czasu będzie już lekarstwo i... - Urywa.

Leżę nieruchomo, wpatrując się w chmurki naszych oddechów.

- Cecily. Zrozum wreszcie, że nie będzie żadnego lekarstwa.

- Nie bądź taką pesymistką. Mistrz Vaughn to genialny lekarz i ciężko pracuje. Ma taką teorię, że problem zaczął się od sztucznego poczęcia. Dlatego dzieci poczęte i urodzone w sposób naturalny mają szansę na wyleczenie przez - przerywa, przypominając sobie słowa, po czym wypowiada je starannie, jakby bała się, że je uszkodzi - ingerencję z zewnątrz.

- Jasne. - Parskam okrutnym śmiechem. Nie zamierzam jej tłumaczyć, że moi rodzice poświęcili życie pracy nad lekiem, byli o wiele lepszymi ludźmi i naukowcami od Vaughna. Nie powiem jej o ciele Rose, które widziałam w piwnicy, ani o podejrzeniu, że Jenna także tam jest, przechowywana w zamrażarce lub pocięta na nierozpoznawalne kawałki.

- Znajdzie ten lek - upiera się Cecily. - Musi. - Rozumiem, czemu nie chce zaakceptować prawdy. Życie jej dziecka zależy od wyimaginowanego antidotum Vaughna. Jednak ja nie jestem w nastroju, żeby udawać. Kręcę głową wpatrzona w płatki śniegu spadające z białego nieba. Świat wydaje się taki czysty, gdy się spogląda w niebo.

- Musi - powtarza. Siada na mnie okrakiem, zasłania widok chmur. - Zostań i pozwól

się wyleczyć. Nie myśl, że nie wiem o twoich planach ucieczki.

- Co takiego? - Podrywam się.

Zamyka moją rękę w swoich dłoniach i przysuwa się bliżej.

- Widziałam, jak całowałaś się ze służącym. Wiem wszystko.

Hałas na korytarzu.

- To byłaś ty? - Mój głos brzmi dziwnie i obco, jakbym przysłuchiwała się rozmowie dwóch nieznanych osób.

- Odciągał cię od obowiązków żony. Uznałam, że jeśli go nie będzie, docenisz bardziej Lindena. Zobaczysz wszystko w innym świetle. I tak się stało, prawda? Dobrze się bawisz na przyjęciach?

Oddychanie nagle zaczyna sprawiać ból.

- Powiedziałaś Vaughnowi.

- Dla twojego dobra. - Ścisną moją dłoń. - I on, i ja mieliśmy na względzie wyłącznie twoje dobro. Dlatego przeniósł służącego do innej części domu.

Wrywam rękę, chcę natychmiast znaleźć się jak najdalej od Cecily, lecz z jakiegoś powodu tkwię w miejscu.

- Co jeszcze mu powiedziałaś?

- Wiem więcej, niż ci się wydaje. Miałycie z Jenną swój mały klub, do którego mnie nie przyjęłyście, i swoje sekrety. Nie jestem głupia. Pomagała ci spotykać się z tym chłopakiem z kuchni. Nie rozumiesz, że tak nie wolno? Linden cię kocha, a ty jego! Jest dla nas dobry, a Mistrz Vaughn nas wyleczy. Zostaniemy tu na długo.

Jej słowa rozbrzmiewają mi w głowie z wielokrotnionym echem, mój oddech staje się szybszy. Przypominam sobie, co usłyszałam od Vaughna o Jennie: Jest zimna jak ryba. Chętnie wyrzuciłbym ją z powrotem do wody.

- Czy ty masz świadomość, co zrobiłaś?

- Pomogłam ci!

- Zabiłaś ją! - Zakrywam oczy rękami, chce mi się krzyczeć. Długo siedzę bez ruchu, próbując się uspokoić, żeby nie zrobić niczego, czego będę żałować.

Cecily nie daje za wygraną.

- Co? O czym ty mówisz? O co ci chodzi? - powtarza, aż wreszcie nie wytrzymuję.

- Zabiłaś Jennę! O to mi chodzi! Naskarżyłaś Vaughnowi, że spiskuje, a on ją zabił! Nie wiem, w jaki sposób, ale zrobił to! Od dawna szukał pretekstu, żeby się jej pozbyć, ty mu go dałaś. To, że Gabriel siedzi w tej okropnej piwnicy, to też twoja wina.

W brązowych oczach Cecily maluje się niedowierzanie, rozpaczliwa próba zaprzeczenia.

- Nie. - Odwraca wzrok i z przekonaniem kiwa głową. - Jennę zabił wirus, a...

- Miała dopiero dziewiętnaście lat. Zmarła w ciągu tygodnia. Rose żyła jeszcze przez kilka miesięcy po pierwszych objawach. Wyjaśnij mi, jak to możliwe, skoro twój ukochany też jest genialnym medykiem, że Jenna zmarła pod jego opieką.

- Ka... każdy przypadek jest inny - jąka się. - Czeka! Dokąd idziesz?

Nie mogąc już dłużej znieść jej widoku, zeskakuję z trampoliny i uciekam, ale Cecily biegnie za mną. Słyszę za plecami odgłos kroków na śniegu. Dogania mnie i chwyta za rękę, odpycham ją mocno. Tak mocno, że upada.

- Nie jesteś lepsza od niego! Oboje jesteście potworami! Twoje dziecko także wyrośnie na potwora! Ale się o tym nie przekonasz, bo za sześć lat czeka cię śmierć. Linden będzie już wtedy martwy, a Bowen zostanie nową zabawką Vaughna.

Ma zaczerwienione od łez oczy, uparcie kręci głową.

- Nie, nie, nie. To nieprawda. - Ale już zaczyna rozumieć. Na jej twarzy maluje się rozpacz. Uciekam, nie chcąc zrobić Cecily krzywdy, czuję, że jeszcze sekunda i nie zapanuję nad sobą. Wykrzykuje moje imię. Przerażliwie, jakby ktoś ją mordował. I być może tak jest. Ale powoli. Będzie umierać przez całe sześć lat.

Ostatni dzień w domu Lindena. A raczej w domu Vaughna. On uczynił z tego miejsca to, czym jest. Linden i jego wybranki to pionki. Gdybym tylko potrafiła podtrzymywać w sobie nienawiść do męża, o ileż łatwiej przyszłoby mi uciec od jego okrutnej tyranii bez oglądania się wstecz. Lecz w głębi serca wiem, że nie jest złym człowiekiem. Powinnam się z nim pożegnać, przynajmniej tyle jestem mu winna. Rano, kiedy się obudzi, mnie już nie będzie. Po jakimś czasie uzna mnie za zmarłą, rozrzuci moje prochy. A może Cecily postawi je obok urny z prochami Jenny.

Cecily. Jedyne żyjąca siostra. Starannie jej unikam przez całe popołudnie. Zresztą ona mnie także. Nie schodzi nawet na kolację, wzbudzając tym niepokój Lindena. Martwi się, że omija posiłki. Pyta, czy zauważyłam ostatnio coś dziwnego w jej zachowaniu. Odpowiadam, że ma się nieźle, zważywszy na smutne okoliczności. Linden nie do końca pojmuje naszą rozpacz po śmierci Jenny. Więc kiedy przypisuję irracjonalne zachowanie Cecily żalobie po naszej siostrze, przyjmuje to wyjaśnienie bez dalszych pytań.

Słabo znał Jennę. Vaughn z całą pewnością, teraz to wiem, nie kupił synowi trzech żon, aby go pocieszyć po stracie pierwszej. Potrzebował nowego materiału genetycznego do

eksperymentów. Jenna od początku została spisana na straty. Cecily ma być maszynką do robienia dzieci. A ja oczkiem w głowie Lindena.

Po kolacji, około dwudziestej, dzwonię po Deirdre, proszę o kąpiel rumiankową. Dziewczynka jest ostatnio smutna, bo po śmierci Jenny Adair został sprzedany na aukcji. Nie tylko ja straciłam kogoś ważnego. Bez przerwy przekłada kosmetyki na toaletce, bojąc się zostać bez zajęcia. Co z nią będzie po moim odejściu? Czy także zostanie sprzedana do innego domu? Może zostanie opiekunką Bowena. Jest młodsza od Cecily i zostanie z nim dłużej. Mogłaby ocierać mu łzy i opowiadać o świecie. Na przykład o plaży, którą malował jej ojciec.

- Chodź tu i porozmawiaj ze mną przez chwilę - mówię. Siada na brzegu wanny, próbuje się uśmiechnąć, lecz ona także, jak całe nasze piętro, pogrążona jest w smutku.

Gdy zastanawiam się, w jaki sposób się z nią pożegnać, nie zdradzając swoich planów, ku mojemu zaskoczeniu ona odzywa się pierwsza:

- Jesteś inna niż pozostali.

- Hm?

Opieram głowę o zwinięty ręcznik na brzegu wanny, Deirdre zaplata mi włosy.

- Przypominasz... promień słońca.

Otwieram oczy.

- Słucham?

- To komplement. Od czasu, kiedy tu zamieszkałaś, zaczęły się dziać dobre rzeczy.

Zrobiło się jakby jaśniej.

To ma być żart? Gabriel został uwięziony w piwnicy, a Jenna nie żyje.

- Nie bardzo rozumiem.

- Zarządca Domu stał się silniejszy i szczęśliwszy. Wcześniej był bardzo... delikatny. Po prostu teraz jest lepiej.

Dziękuję jej uśmiechem za miłe słowa.

To prawda? Nie wiem. Przypominam sobie obietnicę złożoną w drodze na przyjęcie. Kiedy woda w basenie robi się ciepła, nauczę go pływać. Ucieszył się. Muszę to dopisać do listy niedotrzymanych obietnic, razem z przysięgą złożoną Rose. Kiedy prosiła mnie o zaopiekowanie się Lindenem, nie знаła Cecily. Tych dwoje lepiej do siebie pasuje. Ona jest niezwykle oddana Lindenowi. Tak bardzo, że doniosła Vaughnowi na mnie i na Jennę. I nie mogła się doczekać urodzenia jego dziecka. Będą razem szczęśliwi jak oswojone papużki nierozłączki w klatce. Ja nie pasuję do Lindena, interesują mnie tylko mapy, atlasy... I co z tego, że trochę przypominam Rose? Nie jestem nią, ona musiała odejść i ja także muszę.

- Kończymy kąpiel?

- Tak. - Przebieram się w koszulę nocną, a Deirdre przygotowuje posłanie. - Pomalujesz mnie? - Siadam na otomanie.

- Teraz?

Kiwam głową.

Po raz ostatni tworzy na mojej twarzy swoje dzieło sztuki.

Naciskam przycisk i proszę służącego, żeby przysłał Lindena.

- Chciałaś się ze mną widzieć? - zjawia się po kilku minutach. Milknie na mój widok. Rozpuszczone włosy opadają mi naturalną falą na plecy. Mam na sobie leciutki jak chmurka sweterek i czarną spódnicę bombkę mieniającą się czarnymi diamentami.

- Ślicznie wyglądasz.

- Pomyślałam sobie, że nigdy nie byłam na werandzie.

- No to chodź. - Podaje mi rękę.

Na werandę wychodzi się z parteru, przez rzadko używaną salę balową pełną stołów i krzeseł poprzykrywanych białymi prześcieradłami. Przypominają duchy, które zasnęły zmęczone wspaniałym przyjęciem. Omijamy je idąc obok siebie i przystajemy przed szklanymi rozsuwanymi drzwiami. Sypiący się z czarnego nieba śnieg wygląda jak szczątki gwiazdy rozbitej na miliard kawałków.

- Nie za zimno na wyjście? - pyta.

- O czym ty mówisz? Cudowna noc.

Weranda to właściwie zwyczajny ganek z ławeczką na dwie osoby i wiklinowymi fotelami. Linden odgarnia śnieg, siadamy na ławce, nie zważając, że wciąż prószy. Długo siedzimy w milczeniu.

- To normalne, że za nią tęsknisz - mówię. - Była miłością twojego życia.

- Nie jedyną. - Obejmuje mnie, wdycham zapach zimnej wełny jego płaszcza. Mamy przed sobą kurtynę śniegu. - Za często o niej myślę.

- Powinieneś o niej myśleć. Codziennie. Nie szukaj jej gdzie indziej, bo nie znajdziesz. Możesz ją zobaczyć na zatłoczonej ulicy, ale kiedy się odwróci, będzie kimś innym.

Przechodziłam przez to miesiącami po śmierci rodziców. Linden wlepia we mnie wzrok, dotykam miejsca na jego piersi, gdzie bije serce.

- Zachowaj ją tutaj. Tylko w ten sposób na zawsze będziecie razem.

Uśmiecha się, błyskając złotymi zębami. Kiedyś uznałam je za symbol bogactwa, dziś wiem, że to blizny, pamiątka po chorobie, która zniszczyła zęby małego chłopca. Linden nie jest

niebezpiecznym człowiekiem, za jakiego go uważałam.

- Dużo wiesz o stracie.

- Trochę wiem. - Opieram głowę na jego ramieniu. Jest ciepły i pachnie mydłem.

- Nie wiem, skąd pochodzisz. Czasem myślę, że spadłaś z nieba.

- Ja też.

Splata palce z moimi. Oboje mamy na sobie białe rękawiczki, ale wydaje mi się, że wyczuwam jego puls przez tkaninę. Nasze ręce kłamią i jednocześnie mówią prawdę. Wyglądają jakby należały do męża i żony - na moim palcu widnieje zarys obrączki - pasują do siebie idealnie.

Nic w tym geście nie wskazuje, że to nasz ostatni dotyk. Nigdy już nie pójdziemy razem na przyjęcie. Nie będziemy mieli dziecka. Nie podzielimy bólu umierania.

Czy będziemy konać w tym samym czasie na przeciwległych krańcach kraju? Mam nadzieję, że Cecily potrzyma go za rękę, przeczyta mu książkę, pocieszy. Oby o mnie zapomniał i odnalazł spokój.

Oby Vaughn nie okazał się takim draniem, za jakiego go uważam. Oby skremował ciało syna w nienaruszonym stanie i rozsypał prochy w gaju pomarańczowym.

Staram się nie myśleć o swojej śmierci. Wystarczy, że spędzę ostatnie lata w domu na Manhattanie, z bratem. I może także z Gabrielem. Wprowadzę Gabriela w mój świat, pomogę mu znaleźć pracę w porcie. Musi się czymś zająć, kiedy odejdę.

- O co chodzi, słońce? - pytanie Lindena uświadamia mi, że mam oczy pełne łez.

- Och, nic takiego. Pomyślałam, że zostało nam niewiele czasu.

Patrzy, jakby chciał mnie przejrzeć na wylot. Zrozumieć i zostać zrozumianym.

Kim bylibyśmy dla siebie, gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach?

Cóż za nedorzeczne pytanie, odpowiadam sobie. Nie byłabym jego żoną, a on nie byłby więźniem swojego ojca. Linden Ashby zrobiłby karierę jako architekt, może mieszkałabym w zaprojektowanym przez niego domu z prawdziwym mężem i dziećmi, które miałyby przed sobą długie życie.

Zaśmiewam się, próbując zagłuszyć smutek, ściskam go za rękę.

- Jak mało czasu ludzie spędzą w twoich pięknych domach.

Przyciska czoło do mojej skroni, zamyka oczy.

- Na wiosnę pokażę ci kilka. Lubię obserwować zmiany, które wprowadzają domownicy: zwierzęta, huśtawki, ślady obecności. Czasem tyle wystarczy, żeby zapomnieć.

- Bardzo bym chciała, Lindenie.

Na tym kończy się nasza rozmowa. Siedzimy w ciszy, przytuleni, dopóki chłód nie wygania nas do środka. Linden odprowadza mnie do pokoju, całujemy się po raz ostatni, dotykając zmarzniętymi nosami.

- Dobranoc, słońce.

- Dobranoc, słońce - odpowiadam jak gdyby nigdy nic. Niczego się nie domyśla. Drzwi windy rozdzielają nas na zawsze.

Cecily próbuje nakarmić opierającego się Bowena.

- Błagam, jedz - szlocha cicho, żałośnie. Ale on nie chce. Vaughn kłamał, mówiąc, że sprowadził mamkę. Widziałam, jak dawał Bowenowi butelkę, a kiedy dziecko spróbuje słodkiego smaku sztucznego mleka, nigdy nie wróci do naturalnego. Dowiedziałam się tego od rodziców. Jednak Cecily nie ma pojęcia. Mistrz stopniowo odbiera jej syna, zaczyna go kontrolować, tak jak kontroluje Lindena. Chce, żeby Cecily pomyślała, że Bowen jej nie kocha.

Przyglądam im się chwilę przez otwarte drzwi, stojąc na korytarzu. Cecily przemieniła się z wesołej dziewczynki w zmęczoną bladą kobietę. Wspominam jej szaleństwa na basenie, wspólne nurkowanie. Dobre dni w świecie iluzji.

Przyniosła mi kiedyś kwiaty.

Nie potrafię się pożegnać. Odchodzę niepostrzeżenie, zostawiam ją sam na sam ze wszystkim, o czym niegdyś marzyła. Pewnego dnia wybaczę Cecily, która jest przecież jeszcze dzieckiem - naiwną małą dziewczynką, ofiarą Vaughna. Na razie jej widok kojarzy mi się z zimnym ciałem Jenny pozostawionym w piwnicy na pastwę szalonego naukowca. Cecily odpowiada za śmierć Jenny.

Ostatni przystanek to sypialnia Jenny. Długo stoję w progu, rejestrując wszystkie szczegóły. Szczotka do włosów na toalecie mogłaby należeć do każdego, książka zniknęła. Tylko zapalniczka, którą ukradła służącemu, leży w widocznym miejscu, przypomina o Jennie. Przedmiot niezwracający uwagi. Chowam ją do kieszeni na pamiątkę. Nie znajduję nic bardziej osobistego. Łóżko wygląda jak nowe. Może wkrótce zaśnie w nim jakaś inna dziewczyna.

Nie mam się tutaj z kim pożegnać. Nie ma tańczącej dziewczyny o łobuzerskim uśmiechu. Odeszła do swoich rodzonych sióstr. Jest już wolna.

- Ruszaj - powiedziałyby, gdyby tu była.

Zegar na szafce wskazuje dwudziestą pierwszą pięćdziesiąt. Na mnie już pora.

Wychodzę bez pożegnania.

Zjeżdżam windą na dół i przecinam kuchnię, która powinna być o tej porze pusta. Kładę dłoń na klamce, kiedy zatrzymuje mnie czyjś głos.

- Nie za chłodno na spacer?

Odwracam się i staję twarzą w twarz z szefową kuchni, właśnie weszła, odgarnia z czoła przetłuszczone włosy.

- Nie mogę zasnąć. To będzie krótki spacer.

- Uważaj na siebie, blondie. W takiej śnieżycy można się łatwo zagubić, wyjść na chwilę i nigdy nie wrócić. - Uśmiecha się chytrze. - Nikt by tego nie chciał, co?

- Oczywiście, że nie - odpowiadam z namysłem. Czy ona coś wie?

- Na wszelki wypadek masz tu na rozgrzewkę. - Podaje mi gorący termos.

- Dziękuję.

Otwiera przede mną drzwi.

- Uważaj. - Poklepuje mnie po ramieniu. - Jest naprawdę zimno.

Zamknęła za mną drzwi, zanim zdążyłam jej jeszcze raz podziękować.

Śnieg pada coraz gęściej. Idę bardzo wolno, starając się zacierać za sobą ślady. Po przejściu kilkuset metrów zaczynam szeptać imię Gabriela, słowa ulatują z wiatrem. Przypomina mi się huragan, tylko teraz na dodatek pada śnieg. Przywieram do drzew, idę na oślep, trzymając się brzegu lasu. Coraz głośniejsze wołam Gabriela. Wreszcie znajduję hologram, dotykam drzewa i trafiam w próżnię. Jestem już daleko od domu, mogę krzyknąć:

- Gabriel! Gabriel!

Nie przychodzi. Będę musiała dokonać wyboru: uciekać w pojedynkę albo wrócić przez ścianę śniegu, żeby go odszukać. Tak czy inaczej opuszczam dziś ten dom. Gabriel zna się na żeglowaniu lepiej ode mnie, choć nigdy tego nie robił. Co ważniejsze, nie będzie tu bezpieczny po moim odejściu, Vaughn domyśli się, że mi pomagał. Nie, nie mogę go zostawić. Muszę zawrócić.

- Rhine. - Ktoś łapie mnie za nadgarstek.

Odwracam się i padam w ramiona Gabriela. Po raz kolejny, jak w huraganie, tak i w zamieci, przyszedł podtrzymać mnie na duchu. Mam mu tyle do powiedzenia, tak dużo się

wydarzyło w czasie tego strasznego miesiąca bez niego, ale nie ma czasu na rozmowę, a wiatr zagłusza słowa. Rzucamy się biegiem w ciemność.

Wycie wiatru zdaje się nieść ze sobą ludzkie głosy. Słyszę w nim śmiech mamy i taty, pohukiwania Rowana budzącego mnie w nocy, płacz Bowena i miłosne wyznania Lindena. Słucham uważnie, ale nie odpowiadam. Co jakiś czas któreś z nas się potyka, podtrzymujemy się nawzajem. Razem jesteśmy niezwycześeni. Dobrnęliśmy do bramy, oczywiście jest zamknięta.

Moja karta nie przechodzi przez czytnik. Naprawdę sądziłam, że zadziała?

- I co teraz? - Gabriel przekrzykuje wiatr. Idę wzdłuż ogrodzenia, może gdzieś się kończy, lecz nadzieja okazuje się płonna. Mur okrąża całą posiadłość, ciągnie się kilometrami.

Co teraz?

Nie wiem. Nie wiem.

Wolność jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki, mogę jej dotknąć przez kraty. Rozglądam się gorączkowo. Nie uda nam się wspiąć na drzewo - gałęzie są za wysoko - ani po oblodzonych kratkach bramy. Mimo to próbuję, raz po raz, dopóki Gabriel mnie nie odciąga. Rozpina wełniany płaszcz i opatula nas. Przysiadamy pod zaspą. Wiem, co chce mi powiedzieć. Nie ma stąd wyjścia. Zamarzniemy.

Wtedy, w huraganie, byłam gotowa na śmierć, a jednak coś kazało mi iść naprzód, nie poddawać się. Ze szczytu latarni zobaczyłam bramę. Nie wierzę, że wszystko poszło na marne. Nie jestem gotowa, żeby się poddać.

Gabriel całuje mnie w czoło. Jego usta są lodowate. Nasuwam mu na uszy kołnierz płaszcza, on ogrzewa mi szyję dłońmi.

Wyjmuję z kieszeni zapalniczkę Jenny, trudno ją zapalić na wietrze. Odsuwam się od Gabriela, osłania płomień dłońmi. Sytuacja przywołuje w moich myślach skojarzenie z bajką przeczytaną w bibliotece Lindena, o umierającej dziewczynce, ogrzewała się zapalkami. Każdy nowy płomień był kolejną historią z jej życia. A ja, patrząc na nietrwałą iskierkę w naszych dłoniach, myślę tylko o Jennie. I o tym, jak bardzo chciałabym puścić z dymem całe to ciemne miejsce. Przyglądać się ogniovi trawiącemu całą posiadłość, nie tylko paskudne różowe zasłony. Podpaliłabym jedno drzewo, ogień rozprzestrzeniłby się na pozostałe. Może gdyby nie śnieżyca... Vaughn ją na nas sprowadził, myślę irracjonalnie. Boję się, że rano znajdzie nasze zamrożone ciała, tak żałośnie blisko bramy.

Nie ma mowy. Nie dam mu tej satysfakcji.

Poważnie rozważam podpalenie drzewa, kiedy przez wycie wiatru przebija się czyjś

głos. Czyżbym miała urojenia? Ale Gabriel także patrzy w stronę szarej sylwetki zbliżającej się do naszego małego światełka.

Podrywam się na równe nogi, ciągnąc za sobą Gabriela. To Vaughn. Przyszedł nas zabić albo jeszcze gorzej: zaciągnąć do piwnicy, żeby torturować i okaleczać. Przywiązać do stołów operacyjnych w chłodni z ciałami Jenny i Rose. Rzucam się do ucieczki, ale Gabriel mnie powstrzymuje. To nie Vaughn.

Nerwowo służący, który zajął miejsce Gabriela.

Wymachuje z daleka kartą. Porusza ustami, wiatr zabiera jego słowa, zanim do nas docierają. Przesuwa kartę przez czytnik, brama otwiera się, lekko zacinając na zamrożonym śniegu.

Stoję jak zaklęta, nie wiem, co myśleć, komu ufać. Boję się, że lada moment zza drzewa wyłoni się Vaughn i nas zastrzeli.

- Idźcie, idźcie! - Służący niecierpliwie macha ręką.

- Dlaczego? - Podchodzę do niego, przekrzykuję wiatr. - Dlaczego nam pomagasz? Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Twoja siostra mnie przysłała. Ta mała ruda.

Biegniemy i biegniemy. Ścieżka wydaje się nie mieć końca, jest tylko ona i drzewa, i ciemność. Reszta świata przestała istnieć. Zatrzymujemy się dla złapania oddechu, ale mroźne powietrze rani płuca. Jesteśmy przemarznięci i wyczerpani, szaleje śnieżyca.

Czytałam książkę pod tytułem „Boska komedia” Dantego Alighieri, w części o piekle były opisane różne kręgi, gdzie ludzie trafiają po śmierci. W jednym z kręgów znaleźli się kochankowie ukarani za cudzołóstwo, uwięzieni w niekończącej się burzy. Nie mogli ze sobą rozmawiać ani zaznać chwili odpoczynku.

To o nas, myślę. Tyle że nam nigdy nie było nawet dane zostać kochankami, co wydaje mi się bardzo smutne. Służący i żona wbrew woli, którzy nawet nie zdążyli się dobrze poznać. Wciąż mam na palcu obrączkę.

Po jakimś czasie, kiedy uznajemy, że odbiegliśmy już daleko, trochę się odprężamy i zwalniamy tempo. Nie pojmuję, jak to możliwe, że droga tak się dłuży. Samochodem do miasta jedzie się parę minut. Czyżbyśmy źle skręcili? W śniegu mogliśmy nawet zejść z szosy i nie zauważyć. Świat się skończył albo krążymy po własnym piekle, myślę. W tej samej chwili naszym oczom ukazują się światła miasta, mija nas żółty pług śnieżny.

Udało się. Jesteśmy na miejscu. Miejski krajobraz pojawia się nagle, jak za odsłonięciem kurtyny. Budynki, pługi śnieżne, nawet paru przechodniów z wysiłkiem stawiających czoło wichurze na oświetlonych latarniami chodnikach. Na kinowym telebimie reklama całonocnego maratonu filmów o zombi.

Świat spokojnie sobie trwał, kiedy my walczyliśmy ze śmiercią na jałowej ziemi. Potrząsam Gabrielem, zaśmiewając się nerwowo.

- Widzisz? Widzisz, co cię omijało? - Wskazuję kinowe afisze.

- Co to jest zombi?

- Nie wiem. Ale możemy się dowiedzieć. Możemy zrobić, cokolwiek zechcemy.

Ciepłe wewnątrz kina pachnie rozpuszczonym masłem i środkiem do czyszczenia dywanów. Nie mamy pieniędzy. Nawet gdybym pomyślała, żeby jakieś ukraść, nie wiedziałabym, gdzie szukać. W domu nie używano pieniędzy, Linden nie nosił ich przy sobie.

Jakoś udaje nam się niepostrzeżenie wejść na salę. Jest dużo ludzi i giniemy w tłumie. Trzymamy się za ręce, żeby nas nie rozdzielono. Anonimowość to dla nas bezpieczeństwo.

Filmy są przerażające, efekty specjalne tandetne.

- Taki właśnie jest Manhattan - oznajmiam entuzjastycznie.

- Ludzie wychodzą tam z grobów?

- Nie. Chodzą do kina.

Seanse trwają do rana, jeden groteskowy horror za drugim. Połowę przesypiam. Tracę poczucie czasu, nie wiem już, czy jest noc, czy dzień. W północy rejestruję wrzaski i wycie, ale jestem świadoma, że to wszystko fikcja. Czuję się bezpieczna. Gabriel trzyma mnie za rękę. Budzę się i widzę, że wodzi palcem po obrączce, która już nic nie znaczy. Jeżeli kiedykolwiek byłam żoną Lindena Ashby'ego, już nią nie jestem. W moim przekonaniu małżeństwo się nie liczy, jeśli obie strony nie powiedzą „tak”.

- Naprawdę nazywam się Rhine Ellery - mówię sennie.

- Ja nie mam nazwiska.

- Wymyśl sobie jakieś.

Parska śmiechem, a potem się uśmiecha. Lubię ten jego nieśmiały uśmiech. Ekran jest biały, a fotele wokół nas puste.

- Czemu mnie nie obudziłeś?

- Tak słodko spałaś. - Przygląda mi się niepewnie, wreszcie nachyla się do pocałunku.

Nie musimy się obawiać, że ktoś nas zobaczy, i czujemy się wspaniale. Ujmuje mnie pod brodę, a ja obejmuję go za szyję. Jesteśmy całkiem sami w ciemnym kinie. Wolni jak nigdy dotąd.

Przerywa nam skrzypnięcie otwieranych drzwi. Ktoś przyszedł posprzątać salę.

- Zamykamy.

- Chodźmy. - Zerkam na Gabriela.

- Dokąd?

- Do domu, oczywiście.

Przed nami daleka droga, jeszcze nie wiem, w jaki sposób ją pokonać. Rowan nie ma telefonu. Ale gdy tylko opuścimy Florydę, poszukam budki telefonicznej i spróbuję się z nim skontaktować przez fabrykę. Oby się udało. Bardzo się boję, że zagubił się gdzieś w świecie, szukając mnie.

Miasto tuż przed świtem jest bardzo spokojne, choć nie całkiem uśpione. Pług sprzątają z ulic czarną pośniewową breję. Jacyś przechodnie niespiesznie wracają do domów. Niebo różowieje na horyzoncie, nie mamy zbyt dużo czasu. Rano odkryją nasze zniknięcie. Teraz pewnie jeszcze nic nie wiedzą, Cecyli o to zadbała.

Cecily. Przysłała nam służącego do pomocy. Mam powody, aby nie wierzyć w czystość jej intencji. Tym niemniej nie ścigają nas jeszcze radiowozy na sygnałach. Nikt na nas nie poluje. Stoimy trzymając się za ręce i patrzymy na spokojne ulice.

Dlaczego mi pomogła?

Podczas wczorajszej rozmowy na trampolinie użyła właśnie tego słowa. Pomoc. Pomogłam ci, zawołała. A potem, kiedy zdała sobie sprawę z pomyłki, na jej buzi odmalowało się autentyczne przerażenie.

- Co dalej? - Gabriel wrywa mnie z zamyślenia.

- Chodź. - Sól trzeszczy pod butami, kiedy idziemy chodnikiem. Mija nas kilka osób. Jedna czy dwie kiwają głowami w pozdrowieniu, większość przechodzi obojętnie. Jesteśmy dwojgiem ludzi w wełnianych płaszczach w drodze do domu.

Przystań wygląda inaczej niż z okien limuzyny. Z bliska jest pełna życia. Powietrze pachnie solą, łódki uderzają o siebie. Musimy się spieszyć, trzeba szybko znaleźć coś odpowiedniego i wypłynąć. Ale widząc zachwyty w oczach Gabriela, pozwalam mu nacieszyć się chwilą.

- Tak zapamiętałeś ocean?

- Ja... - Urywa wzruszony. - Tylko mi się wydawało, że go zapamiętałem.

Przysuwam się do niego, ściska mnie za ramię.

- Potrafisz sterować którąś z tych łodzi?

- Nie będzie problemu.

- Na pewno?

- Najwyżej utoniemy.

- Świetnie - odpowiadam ze śmiechem.

Pozwalam Gabrielowi wybrać łódkę, nie mamy zbyt dużo czasu, a on jest kimś w rodzaju eksperta. Decyduje się na niedużą łódź rybacką ze sterem w zabudowanej kabinie. Nie ma czasu tłumaczyć mi szczegółów i nazw technicznych, w każdym razie ochroni nas od zimna i wiatru. Zadziwiająco sprawnie odczepia cumę. Próbuję mu pomagać, lecz tylko przeszkadzam. Mówi, żebym pilnowała, czy nikt nie idzie.

I wypływamy w morze.

Gabriel u sterów wygląda poważnie i dumnie, nie przypomina nieśmiałego chłopaka roznoszącego posiłki w domu Vaughna. Jego oczy utkwione w horyzont przybrały kolor wody. Wreszcie znalazł się na swoim miejscu. Może wśród przodków byli marynarze.

Jesteśmy wolni. Nareszcie. Mam mu tyle do opowiedzenia. O Jennie. O Cecily. On

pewnie także pragnie mi wiele powiedzieć. Na razie wszystko może poczekać. Podziwiam go z daleka, nie chcąc zakłócać ważnej chwili. Płyniemy ponad zatopionymi lądami do innego świata, Floryda staje się tylko wspomnieniem.

Może, myślę, dopłyniemy na plażę, którą malował tata Deirdre. Weźmiemy do rąk prawdziwą rozgwiazdę. Taką, która nie umyka dotykowi jak duch. W każdym razie będziemy musieli znaleźć jakiś brzeg. Przybić do portu, gdzie zapytamy o drogę. Nikt tam nie będzie nas znał jako żonę Lindena Ashby'ego i jego służącego. Nikt nie słyszał o rozległej posiadłości Vaughna Ashby'ego. Płyniemy wzdłuż wybrzeża, wiatr przybiera na sile.

Gabriel obejmuje mnie ramieniem. Przykrywam dłonią jego rękę trzymającą ster.

- Spójrz - szepcze mi do ucha.

W oddali dostrzegam latarnię morską. Nie wiem, dokąd jej światło zawiedzie nas tym razem.

Podziękowania

Dla mojej cudownej kochającej rodziny za ciepło i wsparcie. Ze szczególnym uwzględnieniem moich małych kuzynów o wielkiej wyobraźni. Jesteście czarodziejami, byliście ogromną inspiracją.

Dla nauczycieli ze szkoły podstawowej za czytanie moich pierwszych niezdatnych prób literackich z wyrozumiałością i zachętą do dalszej pracy.

Dla pani doktor Susan Cole i pana profesora Charlesa Rafferty'ego oraz kolegów i koleżanek z warsztatów pisarskich w Albertus Magnus College za wspólną naukę. A także dla pani Debory Frattini i doktora Paula Robichauda za zwrócenie uwagi na autorów, których twórczość stała się dla mnie inspiracją.

Dla zachwycającej agentki nie z tej ziemi Barbary Poelle, bez jej geniuszu i optymizmu ta książka nie trafiłaby do druku. Dla Aleksandry Cooper, cudownego wydawcy, za wspólną podróż do krainy wyobraźni. Dla Lizzy Bromley za zaprojektowanie zapierającej dech w piersi okładki. Dla wszystkich pracowników Działu Literatury dla Dzieci i Młodzieży Wydawnictwa Simon & Schuster za ciężką pracę i entuzjazm.

Dla Allison Shaw, która uważnie pochylała się nad każdą stronicą moich manuskryptów w przerwach między lekcjami, w restauracjach i czytelnich, a potem dzieliła się ze mną wnikliwymi obserwacjami - dzięki nim wszystko, co piszę, jest lepsze. Dla Harry'ego Lama za długie rozmowy telefoniczne, dyskusje o szczegółach, wykłady z logiki i stawianie wyzwań. Dla Amandy Ludwig-Chambers za to, że jest moją największą i najbardziej uduchowioną fanką. Dla April Plummer za przeczytanie pierwszego szkicu powieści, podzielenie się swoimi spostrzeżeniami i dobre słowo na zachętę. Dla Laury Smith, koleżanki po fachu, za towarzystwo i wspólny śmiech udręczonych artystek.

A także dla wszystkich, którzy wspierali moją pracę, czytając fragmenty przychodzące na ich skrzynki e-mailowe i służąc radami.

Nie byłabym w stanie napisać i wydać tej książki bez pomocy wielu osób.